

Jacek Salij OP

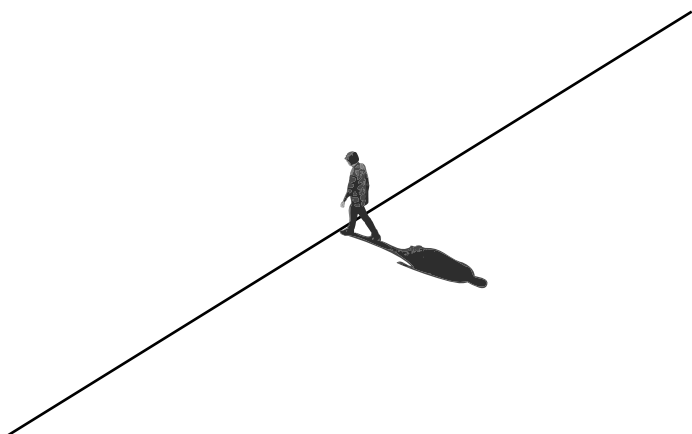


h o r y z o n t y
o s t a t e c z n e

w|drodze
⌘

h o r y z o n t y
o s t a t e c z n e

Jacek Salij OP



h o r y z o n t y
o s t a t e c z n e

w|drodze
w

© Copyright for the text by Jacek Salij, 2015

© Copyright for this edition by Wydawnictwo W drodze, 2015

Redaktor

Paulina Jeske-Choińska

Redakcja techniczna

Justyna Nowaczyk

Projekt okładki i stron tytułowych

Alicja Maliszewska

Fotografia na okładce

Norbert Kuczko OP

ISBN 978-83-7033-984-5

Cum permissione auctoritatis ecclesiasticae

Wydawnictwo Polskiej Prowincji Dominikanów

W drodze sp. z o.o., 2015

ul. Kościuszki 99, 61-716 Poznań

tel. 61 852 39 62, faks 61 850 17 82

www.wdrodze.pl sprzedaz@wdrodze.pl

Druk i oprawa: Drukarnia Grafarti, Łódź

I.

„Stworzyłeś nas dla
siebie, Boże...”

Cel życia

„Sen śmiesznego człowieka”

Człowiek może uznać swoje życie za bezcelowe. Czy miał rację Dostojewski, że otwiera to drogę do odczłowieczenia? W każdym razie warto przypomnieć tę przejmującą scenę z noweli pt. *Sen śmiesznego człowieka*, której bohater wybiera się popełnić samobójstwo z tego jednego jedynego powodu, że doszedł do przekonania o kompletnej bezsensowności i bezcelowości swojego życia.

Drogę zabiegła mu mała dziewczynka, cała w panice, natarczywie błagająca go o pomoc, bo coś złego dzieje się z jej matką. Ten dzikim wrzaskiem dziecko odpędził. Przecież wkrótce nie byłoby już kogo prosić o pomoc – przekonuje sam siebie, że postąpił słusznie – bo idę stać się zerem, zerem absolutnym. „Przecież właśnie dlatego zatupałem i wrzasnąłem nieludzko na nieszczęsne dziecko, że, widzicie, nie tylko nie czuję litości, ale choćbym nawet popełnił najhaniebniejszy uczynek, to teraz mi wolno, bo za dwie godziny wszystko ustanie”.

Zdaniem Dostojewskiego, kto uznaje swoje życie za bezcelowe, konsekwentnie całą rzeczywistość będzie uważał za jakby iluzoryczną i będzie się czuł upoważniony nadawać jej, niby plastelinie, dowolne własne sensy. „Wy-dawało mi się jasne – snuje swoje myśli ów nieszczęśnik – że życie i świat teraz jakby ode mnie zależą. Można po-wiedzieć nawet tak, że świat jakby teraz dla mnie same-go istnieje: wystarczy, bym się zastrzelił, a świata nie bę-dzie, przynajmniej dla mnie”. Moralny solipsyzm wydaje się portem, ku któremu nieuchronnie zmierza zwątpienie w to, że życie człowieka może mieć jakiś absolutny cel.

Cele doraźne w horyzoncie bezcelowości ostatecznej

Popularnymi postaciami tego zwątpienia są hedonizm i utylitaryzm. Hedonizm – w tej przynajmniej wersji, w jakiej demaskuje go prorok Izajasz – bierze się z tego, że człowiek rozpoznaje siebie samego jedynie jako ciąg ulotnych wrażeń, zatem dąży do tego, żeby przynajmniej były to wrażenia miłe i przyjemne. Skoro bowiem życie jest ewidentnie bezcelowe, wyznaczmy sobie przynajmniej jakąś namiastkę celu: „Jedźmy i pijmy, bo jutro pomrzemy” (Iz 22,13; 1 Kor 15,32).

Postawą psychologicznie zupełnie odmienną jest utylitaryzm. Ludzi realizujących tę postawę cechuje zazwyczaj wysokie poczucie celowości życia. Pomyłka utylitaryzmu polega na wzięciu środków za cel ostateczny. „Zamienili

swą Chwałę na wizerunek [złotego] cielca” (Ps 106,20) – to chyba sama istota tej postawy. Krótkofalowo, postawa ta może wydać się nader pozytywna, dynamizuje bowiem ludzi do celowego działania, do przekraczania stagnacji, charakterystyczne zaś dla tego stanowiska pragnienie sukcesu owocuje nieraz dobrymi skutkami społecznymi, nie tylko osobistą satysfakcją tego, kto sukces osiągnął.

Jaka jest konsekwencja pomyłki utylitarystycznej? Jakie skutki wynikają z umieszczenia celu ostatecznego w horyzoncie doczesnym człowieka? Po pierwsze, człowiek nieuchronnie zaczyna wówczas sam siebie postrzegać jako system produkcyjno-konsumpcyjny. Do tego stopnia, że nawet kulturę traktuje się jako produkowanie i konsumowanie dóbr duchowych. Co więcej, w optyce produkcji oraz sukcesu widzi się nawet wartości moralne. Dobroć moralną sprowadza się więc do czynienia (jakby produkowania) dobra, nie dostrzegając znaczenia dobroci samego podmiotu działań moralnych.

Moralność utylitarystów cechuje ignorowanie wartości tych postaw moralnych, które nie rokują sukcesu, oraz lekceważenie tych działań moralnych, które do sukcesu nie doprowadziły. W społeczeństwach, w których króluje utylitaryzm, ginie więc, bo musi ginać, zrozumienie dla cnoty i kształtowania charakteru, zrozumienie dla moralnej doniosłości mądrego znoszenia zła (tego, co chrześcijanie tradycyjnie nazywają niesieniem krzyża), szerzy się natomiast przeświadczenie, że wartość życia człowieka mierzy się wielkością jego osiągnięć oraz że są jakoby sytuacje, kiedy życie człowieka nie ma już żadnego sensu.

Niezrozumienie własnego człowieczeństwa prowadzi – nieuchronnie – do zagubienia poczucia samej ludzkiej godności. Pojawia się w nas wówczas gotowość do instrumentalnego posługiwania się drugim człowiekiem, a nawet zgoda na to, żeby ktoś mnie używał za narzędzie i środek do swoich celów. Dodajmy nawiasem, że w zjawiskach tych *Katechizm Kościoła Katolickiego* dostrzega jedno z istotnych źródeł tworzenia się niesprawiedliwych struktur społecznych: „Zamiana środków i celów, która prowadzi do nadania wartości celu ostatecznego temu, co jest jedynie środkiem do jego osiągnięcia, lub do traktowania osób jako zwykłych środków ze względu na jakiś cel, rodzi niesprawiedliwe struktury...” (KKK, 1887).

Kiedy dehumanizacja staje się czymś nieuchronnym...

Dostojewski potrafił w sposób przejmujący odsłonić faktyczną bezcelowość wszelkich postaci życia ludzkiego, jeśli je zamkniemy wyłącznie w granicach śmierci. Samo nawet doświadczenie śmierci – trudno się tu z Janem Pawłem II nie zgodzić – „rzuca cień absurdu na całą egzystencję człowieka” (*Evangelium vitae*, 7). Otóż życie ludzkie staje się dosłownie absurdalne, jeśli zanegujemy jego transcendencję wobec śmierci. Od ostatecznej absurdalności nie uchroni go nawet – dostępne przecież tylko bardzo nielicznym ludziom – dążenie do uzyskania Nagrody Nobla i zdobycie jej, czy inne najwyższe osiągnięcia. Niepokój zaś Dosto-

jewskiego, że zamknięcie się człowieka w granicach śmierci musi prowadzić do dehumanizacji, na pewno zasługuje na coś więcej niż niecierpliwe wzruszenie ramion.

Warto jeszcze zauważyć, iż żaden człowiek nie potrafi swego życia uczynić idealnie bezcelowym. Bo nikt stworzony przez Boga, sam nawet diabeł, nie potrafi zatrzeć do końca tej prawdy, że jest Bożym stworzeniem. Tak jak odejście od Boga zawsze związane jest ze zwróceniem się ku jakimś bogom fałszywym, tak jak zło czynimy, uznając je za dobro, podobnie nie da się porzucić celu ostatecznego, nie kierując się ostatecznie ku jakiemuś innemu celowi, choćby to miało być coś ewidentnie bezsensownego.

Potrafimy jednak, niestety – i o tym od samego początku teraz mówimy – w ogóle nie przejmować się naszym celem ostatecznym. Bierze się to z naszego zapomnienia o Bogu. Człowiek – jak to trafnie formułuje ostatni sobór (KDK, 13) – „wzbraniając się często uznawać Boga za swój początek, burzy należyty stosunek do swego celu ostatecznego, a także całe swoje uporządkowane nastawienie czy to w stosunku do siebie samego, czy do innych ludzi i wszystkich rzeczy stworzonych”. Jak widzimy, na temat dehumanizacji wszystkiego, co ludzkie, kiedy zgubimy ostateczny cel naszego życia, soborowa konstytucja mówi mniej więcej to samo, co tak wstrząsająco pokazał Dostojewski.

W nauce wiary tradycyjnie wskazuje się na ścisły związek między naszym stosunkiem do Boga jako Początku wszystkiego a naszym ukierunkowaniem na ostateczny cel naszego życia. „Dwa pytania: pytanie o początek i py-

tanie o cel są nierozdzielne. Obydwa decydują o sensie i o ukierunkowaniu naszego życia i naszego działania” (KKK, 282). Zazwyczaj kryzys celu życia bierze się z zapomnienia o Bogu. Trudno sobie nawet wyobrazić, żeby ktoś nieznający Boga prawdziwego, transcendentnego wobec wszystkiego co stworzone, mógł się domyślać transcendentnego wobec doczesności celu naszego życia.

W encyklice *Evangelium vitae* spostrzeżenie to pojawia się w formie komentarza do znanej formuły soborowej, że „stworzenie bez Stwórcy marnieje”: człowiek nieznający Boga „nie potrafi już postrzegać samego siebie jako kogoś przedziwnie odmiennego od innych ziemskich stworzeń; uznaje, że jest tylko jedną z wielu istot żyjących, organizmem, który – w najlepszym razie – osiągnął bardzo wysoki stopień rozwoju”. I to jest logiczne: jeśli zapomni się o Bogu, transcendentnym Stwórcy świata, zaczyna się widzieć świat jako odwieczną i bezcelową grę materii, i nie ma żadnych przesłanek po temu, ażeby życie ludzkie mogło mieć w takim świecie jakiś cel ostateczny.

Konsekwencje decyzji, ażeby żyć tak jakby Boga nie było, idą jednak nieubłagane dalej: nie tylko niknie nam wówczas z horyzontu cel naszego życia, ale trudny do uzasadnienia staje się jakikolwiek jego sens. „Nie można wykreślić rzeczywistości Boga – zauważa Walter Kasper w książce *Bóg Jezusa Chrystusa* – i oczekiwać, że wszystko inne pozostanie dalej po staremu. Słowo »Bóg« w historii ludzkości rozumiane jest jako ostateczny fundament i ostateczny cel człowieka i jego świata. Jeśli Bóg wypada, wówczas świat popada w bezcelowość i pozostaje bez

fundamentu, wtedy istnieje niebezpieczeństwo, że wszystko stanie się bezsensownym. Bowiem coś posiada sens jedynie wówczas, kiedy odnajduje się w większym, sensownym z siebie samego kontekście. Wraz z utratą sensu całości, wraz ze zgubieniem wszystko określającej, podtrzymującej, wszystkim zawiadującej rzeczywistości Boga, w ostateczności także część staje się bezsensowna”.

Oczekiwanie, że w świecie bez Boga da się zachować na dłużej wiarę w sens życia oraz elementarną chociażby moralność stosunków między ludźmi, Włodzimierz Sołowjow porównuje do wiary dziuromodłców w skuteczność swojej modlitwy. Podstawowy kult sekty dziuromodłców polegał na tym, że – spostrzeżenie Sołowjowa streszcza w *Metafizycznej pauzie* Czesław Miłosz – „chłopi wiercili dziurę w ścianie chaty i modlili się do niej: »moja święta dziura, moja święta izba«. Ale podobni, według Sołowjowa, do tych sektantów byli dziuromodłcy wykształceni, których nauka szerzyła się wśród inteligencji. Ich nawoływania do powszechnej dobroci, sprawiedliwości i braterstwa oznaczały przyjęcie etycznych wskazań chrześcijaństwa, z odrzuceniem jego metafizycznej podstawy, czyli nie były niczym innym niż modleniem się do dziury, do pustki”.

Tutaj właśnie leżą podstawowe źródła współczesnej nonszalancji wobec życia ludzkiego. Człowiek – ubolewał św. Jan Paweł II – „nie traktuje już życia jako wspaniałego daru Bożego, który został powierzony jego odpowiedzialności, aby on strzegł go z miłością i czcił jako rzeczywistość świętą. Życie staje się dla niego po prostu rzeczą,

którą on uważa za swą wyłączną własność, poddającą się bez reszty jego panowaniu i wszelkim manipulacjom” (*Evangelium vitae*, 22).

Życie przebija się przez śmierć!

W jakimś sensie nie należy się dziwić temu naszemu zagubieniu. Zawinione oddalenie od Boga jest częścią naszego ludzkiego losu na tej ziemi. Przyszliśmy na świat już jako oddaleni do Boga, i to z powodu tego oddalenia jesteśmy poddani śmierci, która – że jeszcze raz przywołam to sformułowanie – „rzuca cień absurdu na całą egzystencję człowieka”.

Dopiero ci, którym doskwiera absurdalność naszego zagubienia w horyzoncie śmierci i ostatecznej bezcelowości życia, mogą docenić i naprawdę uradować się „pojawieniem się naszego Zbawiciela, Chrystusa Jezusa, który przeżył śmierć, a na życie i nieśmiertelność rzucił światło przez Ewangelię” (2 Tm 1,10). Właśnie z tej perspektywy, z perspektywy kogoś beznadziejnie uwikłanego we własną grzeszność i śmiertelność, radował się darem zbawienia apostoł Paweł: „Nieszczęsny ja człowiek! Któż mnie wyzwoli z tego ciała, tak naznaczonego śmiercią? Dzięki niech będą Bogu przez Jezusa Chrystusa Pana naszego!” (Rz 7,24).

Gdzieś w tym miejscu leży różnica między wiarą w życie wieczne a mitologicznym uznawaniem wierzeń chrześcijańskich na temat życia wiecznego. Wiara w życie wieczne jest przechodzeniem już teraz, dzięki Chrystusowi Panu i uczestnictwu w Jego zmartwychwstaniu, ze śmierci

do życia: „Kto słucha mego słowa i wierzy w Tego, który Mnie posłał (...) ze śmierci przeszedł do życia” (J 5,24). Rzecz jasna, „słuchać słowa Chrystusa” to znaczy słuchać całym sobą, wydając owoce w postaci czynów miłości: „My wiemy, że przeszliśmy ze śmierci do życia, bo miłujemy braci” (1 J 3,14).

Zatem wiara w życie wieczne jest to rzeczywiste ukierunkowanie ku ostatecznemu celowi życia, natomiast czerpanie z chrześcijaństwa swoich mitologicznych przeświadczeń w żaden sposób do życia wiecznego jako do celu ostatecznego człowieka nie zwraca. Może to jeszcze warto uściślić, że nawet nieszczęście grzechu śmiertelnego nie niszczy w człowieku wierzącym wiary do końca, nie niszczy również do końca naszego ukierunkowania ku życiu wiecznemu, jednak czyni je bezskutecznym.

Tylko dla porządku przypomnę, że wiara w życie wieczne – a więc rzeczywiste ukierunkowanie na ostateczny cel naszego życia – dla nas, urodzonych w grzechu pierworodnym, możliwa jest dlatego, że „począwszy od Abrahama, Boże błogosławieństwo przenika historię ludzi, która zmierzała ku śmierci, by skierować ją do życia, do jego źródła” (KKK, 1080). Owo błogosławieństwo Boże nad pogrążoną w grzechu ludzkością osiągnęło swój szczyt w przyjściu do nas Tego, który jest „drogą i prawdą, i życiem” (J 14,6), a który sam o sobie powiedział: „Ja jestem zmartwychwstaniem i życiem; kto we Mnie wierzy, choćby i umarł, żyć będzie” (J 11,25).

Miarą naszego gruntownego pogrążenia w śmierci i bezsensie okazało się to, że odważyliśmy się wówczas „zabić

Dawcę życia” (por. Dz 3,15). Zatem grzech i śmierć, jakie w sobie nosimy, nie są w nas zwyczajnym brakiem życia ukierunkowanego na życie wieczne; nosimy w sobie realny bunt przeciwko Bogu, są w nas jakieś ciemne energie skierowane przeciwko życiu, zwłaszcza przeciwko temu życiu, które jest transcendentne wobec śmierci.

To właśnie dlatego nasza droga do życia wiecznego domaga się unicestwiania w sobie tych sił śmiertelności: „Nosimy nieustannie w ciele naszym konanie Jezusa, aby życie Jezusa objawiło się w naszym ciele” (2 Kor 4,10). Ku temu właśnie zadaniu skierowana jest łaska chrztu: „Przez chrzest zanurzający nas w śmierć zostaliśmy razem z Chrystusem pogrzebani po to, abyśmy i my wkroczyli w nowe życie” (Rz 6,4). A dzieje się to wszystko mocą Tego, który może o sobie powiedzieć: „Byłem umarły, a oto jestem Żyjący na wieki wieków” (Ap 1,18).

Niepojęte wywyższenie człowieka

W tym miejscu wolno mi wreszcie mówić bezpośrednio o ostatecznym celu życia człowieka. Posłużę się dwoma sformułowaniami katechizmowymi: „Celem ostatecznym całej ekonomii Bożej jest wejście stworzeń do doskonałej jedności Trójcy Świętej” (KKK, 260). W tym sformułowaniu podkreślono przede wszystkim niepojęte wywyższenie stworzeń, wezwanie nas – aż strach o tym mówić – do doskonałej wspólnoty z Ojcem i Synem, i Duchem Świętym.

Sformułowanie drugie bardziej akcentuje to, że Bóg prawdziwy nie jest istotą pozaświatową, jak sobie może nieraz wyobrażamy, oraz że Jego chwała będzie źródłem naszego szczęścia: „Celem ostatecznym stworzenia jest to, by Bóg, będący Stwórcą wszystkiego, stał się ostatecznie wszystkim we wszystkim, zapewniając równocześnie i własną chwałę, i nasze szczęście” (KKK, 294).

To właśnie w tym niepojętym wywyższeniu człowieka leży ostateczne źródło naszej godności. „Człowiek jest jedynym stworzeniem na tej ziemi, którego Bóg chciał dla niego samego” (KDK, 24).

Tutaj również znajduje się ostateczne uzasadnienie świętości życia ludzkiego i jego nietykalności.

Życie ludzkie jest święte, ponieważ od samego początku domaga się stwórczego działania Boga i pozostaje na zawsze w specjalnym odniesieniu do Stwórcy, jedynego swego celu. Sam Bóg jest Panem życia, od jego początku aż do końca. Nikt, w żadnej sytuacji, nie może rościć sobie prawa do bezpośredniego niszczenia niewinnej istoty ludzkiej (Kongregacja Nauki Wiary, Instrukcja *Donum vitae*, Wstęp, 5).

Jeżeli wolno zabić słabego, to życie nas wszystkich nie ma sensu!

Tradycja oświeceniowa, nieraz wroga Kościołowi i chrześcijaństwu, w zasadzie dzieliła z chrześcijaństwem przekonanie zarówno o godności i podmiotowości każdego człowieka, jak o świętości i nietykalności życia ludzkiego.

Wprawdzie odzywały się wewnątrz tej tradycji pojedyncze głosy, domagające się prawa do zabijania w określonych przypadkach – czy to poczętych dzieci, czy to ludzi głęboko upośledzonych umysłowo, czy to chorych w stanach terminalnych. Jednak dopiero od lat siedemdziesiątych ubiegłego stulecia tendencje te do tego stopnia zdominowały ową postchrześcijańską tradycję, że w kolejnych państwach zaczęto ogłaszać prawa uderzające bezpośrednio w zasadę świętości i nietykalności życia ludzkiego.

Można się domyślać, że olbrzymia większość zwolenników – a może i promotorów – tych praw nie zauważa faktu, że są one skierowane nie tylko przeciwko poczętym dzieciom czy innym grupom ludzi najsłabszych, ale również przeciw człowieczeństwu nas wszystkich. Samo istnienie tych praw relatywizuje bowiem sens człowieczeństwa i ludzkiej godności. Jest zarazem smutnym potwierdzeniem prawdy, że „tracąc wrażliwość na Boga, traci się także wrażliwość na człowieka” (*Evangelium vitae*, 21).

Na szczęście nie jest tak, by dopiero trzeba było być chrześcijaninem i u samego Chrystusa nauczyć się prawdy o ostatecznym celu życia, ażeby rozpoznać świętość i nietykalność życia ludzkiego. Wie o tym każde prawe i niewypaczone sumienie. Jednak, rzecz jasna, znajomość tej prawdy o człowieku, jaką przyniósł nam Jezus Chrystus, stawia nas w sytuacji uprzywilejowanej. Wynika stąd między innymi to, że wprawdzie każdy człowiek ma obowiązek stawiać w obronie każdego niewinnie zagrożonego życia ludzkiego, jednak wydaje się, że my, chrześcijanie, jesteśmy do tego zobowiązani w sposób szczególnie przymuszający.

Medytacja o przemijaniu

Przemijanie jako coś pozytywnego

Tego, że niekiedy deformujemy biblijne pojęcie przemijania, zacząłem się domyślać dopiero w trakcie szperania po patrystycznych objaśnieniach znanej wypowiedzi apostoła Pawła: „Przemija (...) postać tego świata” (1 Kor 7,31). Zależało mi na rozwiązaniu zagadki, o co chodziło pierwszym chrześcijanom, kiedy modlili się – cytuję teraz *Didache*, tekst mniej więcej współczesny Apokalipsie, napisany ok. roku 100 – „Niechaj przyjdzie Twa łaska i niech przemienie ten świat!”.

Pierwsze zaskoczenie przeżyłem podczas lektury św. Ireneusza. Przypomnijmy, że jest on jednym z najstarszych pisarzy chrześcijańskich – jego mistrz, biskup Polikarp, był bezpośrednim uczniem apostoła Jana. Otóż dla Ireneusza przemijanie to coś ze wszech miar pozytywnego i upragnionego. Przede wszystkim nie dotyczy ono ani świata,

ani naszego życia, ale tylko obecnej postaci jednego i drugiego.

Ireneusz cieszy się na myśl, że przeminie postać tego świata – podobnie jak rodząca marzy o chwili, kiedy usłyszysz głos swojego dziecka i skończą się jej bóle, podobnie jak żołnierz nie może się doczekać końca męczących manewrów. Przemijająca postać tego świata ustąpi miejsca jego postaci ostatecznej. Ireneusz jest absolutnie pewien tego, że ziemia zostanie przemieniona w niebieskie Jeruzalem, a wszyscy Boży przyjaciele dostąpią chwalebnego zmartwychwstania.

I nie wolno tego brać za alegorię – twierdzi stanowczo nasz autor – gdyż wszystko będzie tu mocne i prawdziwe, i rzeczywiste: sam Bóg tego dokona dla szczęścia ludzi. Podobnie jak prawdziwy jest Bóg, który wskrzesza człowieka, tak samo prawdziwie, a nie alegorycznie zmartwychwstanie człowiek. Prawdziwość tego zmartwychwstania na tym będzie polegała, że [człowiek] prawdziwie dostąpi niezniszczalności, rozwinie się i rozkwitnie w czasach Królestwa, aby mógł dostąpić chwały Ojca (*Adversus haereses*, 5, 35, 2).

Bardzo podobnie mówili na temat przemijania inni ojcowie. Orygenes, bezdyskusyjnie najwybitniejszy teolog Kościoła męczenników, pisał:

Wyobraź sobie, w jaki sposób przemija niebo i ziemia, oraz jak przemija postać tego świata. Usuń sprzed swego wzroku blask tego słońca i daj owemu światu, który ma nadejść, siedmiokrotną światłość słońca, albo raczej daj mu samego Pana jako blask. Wyobraź sobie obecnych przy Nim anio-

łów chwały... Wyobraź sobie ponadto, jak mogą być tam obchodzone święta Pana, jakie się tam odbywają uroczystości, jaka panuje tam radość... Przebywając na tym świecie, świętujemy tylko po części, a nie w pełni... Wówczas nastanie prawdziwe i nieprzerwane święto, a Księciem tego święta, Oblubieńcem i Panem, będzie sam Jezus Chrystus, nasz Zbawiciel.

Dopiero po znalezieniu kilku następnych patrystycznych objaśnień tej wypowiedzi, że „przemija postać tego świata”, zerknąłem do jej wersji greckiej. I tu czekała mnie niespodzianka. Przecież *paragein* znaczy również „odchodzić” (Mt 9,9 i 27; J 8,59), „przechodzić” (Mk 1,6; 2,14), „mijać” (J 9,1). Odejście, mijanie, nie mogło się ludziom mówiącym po grecku kojarzyć z przemianą w naszym rozumieniu. A w każdym razie mogło im się tak nie kojarzyć. Tak czy inaczej, modlitwę: „Niech przeminie ten świat” umieściłbym razem z pragnieniem dziecka: „Kiedyż wreszcie przeminie moje dzieciństwo i stanę się człowiekiem dorosłym”, i z marzeniami więźnia: „Obym wreszcie miał już za sobą ten czas mojej niewoli”.

Potwierdzeniem tego jest słynny zapis z listu apostoła Piotra, że należy starać się o przyspieszenie końca świata:

Staracie się przyspieszyć przyjście dnia Bożego, który sprawi, że niebo zapalone pójdzie na zagładę, a gwiazdy w ogniu się rozsypią. Oczekujemy jednak, według obietnicy, nowego nieba i nowej ziemi, w których będzie mieszkała sprawiedliwość (2 P 3,12 i nast.).

Nowość prawdy, że świat jest stworzony przez Boga

Warto jeszcze zastanowić się, skąd się brało u starożytnych chrześcijan to niebywale stanowcze przeświadczenie, którego świadkami są nie tylko Ireneusz czy Orygenes, ale również wielu innych starożytnych ojców, że świata oraz poszczególnym ludziom przeznaczona jest jakaś ostateczna, ponadhistoryczna doskonałość. Odpowiedź, że brało się to z głębokiej wiary, byłaby chyba zbyt prosta. Dziś przecież ludzi bardzo głębokiej wiary też nie brakuje, ich oczekiwania eschatologiczne również są jasne i jednoznaczne, a jednak nie ma już w nas tej psychologicznej intensywności, jaką nasycona była pewność chrześcijan starożytnych.

Rozwiązanie zagadki, skąd się brała ta intensywna pewność co do naszej eschatologicznej przyszłości, wydaje się następujące. Chodzi tu o efekt absolutnej nowości, jaką dla chrześcijańskich konwertytów, wychowanych w kulturze greckiej, była biblijna nauka o stworzeniu. Starodawne mity mówiły o przedwiecznym, istniejącym niezależnie od bogów, chaosie. Boskie działania przy założeniu świata wyobrażano sobie jako jedynie porządkowanie tego, co współwieczne bogom, albo nawet od nich wcześniejsze.

Przyjęcie nauki o stworzeniu oznaczało dla ówczesnych ludzi radykalną rewolucję światopoglądową. Bo skoro świat został stworzony, czyli powołany do istnienia z nicości, to Boga Stwórcy nie da się porównać z jakimkolwiek ludzkim rzemieślnikiem. Piekarz, krawiec czy stolarz – i na ich po-

dobieństwo mitologiczny demiurg – jedynie przetwarzają uprzednio istniejące tworzywo. Stworzyć to znaczy udzielić istnienia również tworzywu, które jest przekształcane. Jeżeli świat został stworzony, to także pierwotny chaos – biblijne *tochu uawochu*, „bezład i pustkowienie” (Rdz 1,2) – otrzymał swoje istnienie od Boga.

Jeśli zatem wszystko, co istnieje, całkowicie i bez reszty zawdzięcza swe istnienie Bogu, to jest On jedynym i wszechogarniającym Panem swoich stworzeń. W całym świecie i w poszczególnych jego częściach nie ma nic, co byłoby od Niego niezależne i całkowicie Mu nie podlegało. Ponieważ zaś świat nie jest wieczny, jak głosiły dawne mity, ale miał swój początek (w którym został stworzony), zatem zmierza do jakiejś ostatecznej, wyznaczonej mu przez Stwórcę pełni – i pełnię tę niezawodnie osiągnie, jako że spod władzy Boga nic się nie wymknie.

Jak widzimy, wiara w stworzenie świata pociągała za sobą linearne rozumienie czasu. W sytuacji, kiedy świadomość takiej właśnie struktury czasu kształtowała się w wyniku światopoglądowej rewolucji, optymistyczne spojrzenie na tajemnicę przemijania łatwo nasycalo się nie tylko pewnością wiary, ale również pewnością psychologiczną. Skoro bowiem Bóg jest niepodzielnym i bezspornym, ale zarazem kochającym Panem wszystkiego, to zarówno świat, jak poszczególny człowiek (jednak ten tylko, który jest Bożym przyjacielem) jedynie w tym sensie przemijają, w jakim to, co niedoskonałe, przekształca się w to, co doskonałe.

Niebo i ziemia przemina w tym znaczeniu, że staną się nowym niebem i nową ziemią. Przemija też obecne życie Bożych przyjaciół, bo ostatecznie znajdują się oni poza jakąkolwiek zależnością od grzechu i będą uczestniczyć w zmartwychwstaniu Chrystusa.

W tysiącach sformułowań przedstawiali chrześcijanie to zmierzanie czasu do wieczności. „Jako rzeźbiarz pracuje w materii, ażeby materią być przestała – pisał Norwid – tak w czasie Historia też pracuje człowieczymi ramionami, aby czasem być przestała, aby tenże w wieczność wypełnił się”. Natomiast Anna Kamińska, w *Ósmym dniu tygodnia*, napisała po prostu, że „tak mozolnie czas destyluje się w wieczność”.

Nad relacją między czasem i wiecznością medytował publicznie również Jan Paweł II

Czas jest darem Bożym – mówił w przemówieniu śródowym z 19 listopada 1997 roku. – Stwarzany ustawicznie przez Boga, znajduje się w Jego rękach. Bóg kieruje jego rozwojem według swoich planów. Każdy dzień jest dla nas darem Bożej miłości. (...) Jedynie Bóg wie, jaka będzie przyszłość. My natomiast wiemy, że będzie to przyszłość łaski, że będzie to wypełnienie się Bożego planu miłości wobec całej ludzkości i wobec każdego człowieka. Dlatego też, patrząc w przyszłość, bądźmy pełni ufności i nie poddawajmy się lękowi.

Prawdziwe niebezpieczeństwo polega nie na przemijaniu czasu – kontynuował tę myśl w przemówieniu z 10 grudnia tegoż roku – lecz na jego złym wykorzystywaniu, gdy odrzuca się życie wieczne ofiarowane przez Chrystusa. Pragnienie życia i szczęścia wiecznego musi być nieustannie odnawiane w sercu ludzkim. Obchody jubileuszu mają za

zadanie właśnie wzmocnić to pragnienie, pomagając wierzącym i ludziom naszego czasu otworzyć serca na życie bez kresu.

Czas, w którym przemijamy, naszym sprzymierzeńcem

Medytacja na temat przemijania nabiera dramatyczności dopiero wówczas, kiedy główną uwagę skupimy na obecnym kształcie naszego życia. Biblii – zwłaszcza Staremu Testamentowi – również to ujęcie nie jest obce.

„Człowiek zrodzony z niewiasty ma krótkie i bolesne życie – płacze Hiob. – Wyrasta i więdnie jak kwiat, przemija jak cień chwilowy” (Hi 14,1 i nast.). „Oto wymierzyłeś moje dni tylko na kilka piędzi – wtóruje Hiobowi Psalmista – i życie moje jak nicość przed Tobą. Doprawdy życie wszystkich ludzi jest marnością. Człowiek jak cień przemija, na próżno tyle się niepokoi; gromadzi, lecz nie wie, kto to zabierze” (Ps 39,6 i nast.). Podobna myśl znalazła się nawet – co prawda tylko jeden jedyny raz – w Nowym Testamencie: „Bo czymże jest życie wasze? Parą jesteście, co się ukazuje na krótko, a potem znika” (Jk 4,14).

Warto jednak zwrócić uwagę na to, że niemal z reguły biadanie na krótkość i kruchość ludzkiego życia kończy się aktem zawierzenia siebie Bożej dobroci. „A teraz w czym mam pokładać nadzieję? – kontynuuje swoją modlitwę autor cytowanego przed chwilą psalmu. – W Tobie jest moja nadzieja!” (Ps 39,8).

Zagłębmy jeszcze do innego psalmu: „Dni człowieka są jak trawa. Kwitnie jak kwiat na polu: ledwie muśnię go wiatr, a już go nie ma, i miejsce, gdzie był, już go nie poznaje” (Ps 103,15 i nast.). I zaraz potem: „A łaskawość Pańska na wieki wobec Jego czcicieli, a Jego sprawiedliwość nad synami synów, nad tymi, którzy strzegą Jego przymierza i pamiętają, by pełnić Jego przykazania”.

W Księdze Izajasza to sam Bóg uświadamia nam, że niebo i ziemia przemijają, a nasze ludzkie życie jest kruche, i podpowiada nam, że tylko w Nim warto złożyć nadzieję ostateczną: „Zaiste, niebo jak dym się rozwieje i ziemia zwiotczeje jak szata, a jej mieszkańcy wyginą jak komary. Lecz moje zbawienie będzie wieczne, a sprawiedliwość moja zmierzchu nie zazna” (Iz 51,6).

A tak na marginesie: zależność naszej polskiej wyobraźni od Biblii jest w odniesieniu do tematu przemijania zupełnie wyjątkowa. Niemal wszystkie nasze metafory i przysłowia wzięte są z Pisma Świętego: „Wszystko na świecie przemija jak sen” (por. Hi 20,8), „jak dym” (Ps 102,4), „jak cień” (Ps 102,12), „jak para” (Jk 4,14), „jak trawa” (Ps 103,15), „jak kwiat polny” (Hi 14,2). Wśród przysłów polskich na temat przemijania udało mi się znaleźć tylko jedno niewątpliwie niezależne od Biblii: „Wszystko przemija jak brzęk dzwonu”.

Wróćmy jednak do naszego głównego tematu. Przemijanie staje się prawdziwym nieszczęściem, jeśli nie jest drogą ku temu, co doskonałe i ostateczne. Niestety, ten bezsensowny styl przemijania również bywa przez ludzi wybierany: „Widziałem, jak występny się pysznił i rozpierał się

jak cedr zielony. Przeszedłem obok, a już go nie było; szukałem go, lecz nie można było go znaleźć” (Ps 37,35 i nast.).

Człowiek, który w takich czy innych dobrach doczesnych znalazł ostateczny sens i cel swojego życia, podobny jest – powiada św. Augustyn – do pięknej, ale głupiej dziewczyny, w której zakochał się książę i której zostawił, jako zadatek swojej miłości, zaręczynowy pierścień. Ona, zachwycając się wspaniałym pierścieniem, skupiła na nim całą swoją uwagę i w ogóle zapomniała o narzeczonym. Otóż różne dobra tego świata są poniekąd takim zaręczynowym pierścieniem. Są one przecież darem Bożym dla nas i zadatkiem Jego miłości. Toteż zachowujemy się i niemądrze, i przewrotnie, jeśli – zamiast przyjmować je jako przypomnienie Jego miłości – kochamy je zamiast Boga.

Święty Grzegorz Wielki, formułując tę samą przestrozę, potrafi wspaniale wykorzystać biblijne porównanie naszego obecnego życia do trawy i kwiatu polnego: „Niech was nie skusi ułuda zwodniczego szczęścia, bo zaiste, niemądry to wędrowiec, który pociągnięty urokiem ukwieconych łąk, zapomina, dokąd miał zamiar skierować swe kroki”.

Podsumujmy: czas, w którym przemijamy, nie jest naszym przeciwnikiem, ale sprzymierzeńcem. Już samo to, że podlegamy przemijaniu i że jesteśmy tego świadomi, wydaje się wskazywać na naszą transcendencję wobec czasu. Z właściwą sobie błyskotliwością zwrócił na to uwagę Clive Staples Lewis:

Jesteśmy tak mało pojechni z czasem, że nas zdumiewa jego istnienie. Wykrzykujemy: Jak on urósł!, Jak ten czas

„STWORZYŁEŚ NAS DLA SIEBIE, BOŻE...”

leci!, tak jak gdyby było dla nas ciągle nowością to, co jest przecież powszechnym doświadczeniem. Jest to tak dziwne, jak gdyby ustawicznym zaskoczeniem dla ryby była mokrość wody. A to byłoby rzeczywiście dziwne; chyba że przeznaczeniem ryb byłoby stać się kiedyś zwierzęciem lądowym.

Tymczasem nasze podleganie czasowi – a w konsekwencji, nasza przemijalność – rzeczywiście jest dla nas ustawicznym zaskoczeniem. O czymś to świadczy, również wówczas, kiedy się przeciwko tej naszej przemijalności buntujemy.

Czy ja naprawdę wierzę w życie wieczne?

Spróbujmy podjąć następujące pytanie: Czy ja naprawdę wierzę w życie wieczne? A może jest to tylko taka wiara na niby, zwyczajne oszukiwanie Pana Boga i siebie. Czy są jakieś sposoby, żeby to sprawdzić, czy moja wiara w życie wieczne jest autentyczna?

Jakoś do szczęścia wiecznego mi się nie śpieszy!

W *Opowieściach pielgrzyma*, najwspanialszym chyba dokonaniu duchowości rosyjskiej, opisana jest spowiedź, podczas której penitent otrzymał od spowiednika mniej więcej taką reprimendę: „Co ty tu się z drobiazgów spowiadasz, gdy tymczasem pomijasz to, co najważniejsze! Przecież ty ani Pana Boga prawdziwie nie kochasz, ani w życie wieczne tak naprawdę nie wierzysz!”.

I z pomocą spowiednika penitent ów uświadamia sobie grzechy następujące:

Nie kocham Boga, bo przecież gdybym Go kochał, to wciąż bym o Nim myślał ku radości mego serca, a każda myśl o Bogu przynosiłaby mi radosną słodycz. Przeciwnie, znacznie częściej i chętniej rozmyślam o sprawach zwyczajnych, codziennych, a rozmyślanie o Bogu przynosi mi utrudzenie i oschłość. Jeślibym Boga kochał, to rozmowa z Nim poprzez modlitwę ożywiałaby mnie, napełniała słodyczą i pociągała ku stałemu z Nim obcowaniu, ale jest przeciwnie: nie tylko nie rozkoszuję się modlitwą, ale zajmując się nią, odczuwam utrudzenie, zmagam się z niechęcią, osłabiam się poprzez oddawanie się lenistwu i gotów jestem z chęcią zająć się czymkolwiek błahym, byle tylko modlitwę przerwać lub całkiem jej zaprzestać. Podczas pustych zajęć czas mija mi niezauważenie, a gdy zajmuję się Bogiem, stając w Jego obecności, czuję, że każda godzina jest długa jak rok.

Podobną małodusznością może być naznaczona nasza wiara w życie wieczne:

Gdybym ja – uświadamia sobie pielgrzym dzięki spowiednikowi – wierzył mocno i był przekonany, że po śmierci czeka mnie życie wieczne i odpłata za ziemskie czyny, to wciąż bym o tym myślał i prowadziłbym życie przybysza, gotującego się wkroczyć do swej ojczyzny. Przeciwnie, nawet nie pomyślę o wieczności, a kres ziemskiego życia traktuję jako granicę mego istnienia. Skrycie tkwi we mnie myśl: kto wie, co będzie po śmierci? Jeśli nawet mówię, że wierzę w nieśmiertelność, to mówię to tylko rozumem, bo serce moje

dalekie jest od pewności, o czym wyraźnie świadczą moje czyny i stała troska o dobre urządzenie się w życiu zmysłowym.

Święta Blandyna nie była wyjątkiem

Z drugiej strony jednak, wielkim uproszczeniem jest twierdzić, że „nikomu się jakoś do szczęścia wiecznego nie śpieszy”. Toteż zanim podejmę postawione na samym początku pytanie, spróbuję przedstawić przykłady chrześcijan, którym właśnie bardzo się do nieba śpieszyło.

Najłatwiej postawy takie znaleźć wśród męczenników. Wydaje się jednak, że powód tego jest przede wszystkim zewnętrzny: śmierć męczenników jest umieraniem na widoku publicznym i ma znacznie większe szanse na to, że otaczająca ją światłość zostanie zauważona przez wielu i wejdzie do społecznej pamięci Kościoła, aniżeli zwyczajna śmierć człowieka świątobliwego, którego tęsknotę za ostatecznym spotkaniem z Bogiem widzą jedynie bliscy i przyjaciele.

Zacznę może od historii, która zawsze wywiera na mnie wielkie wrażenie, ilekroć o niej czytam. Mam na myśli opis męczeństwa chrześcijan z Lyonu w roku 177, sporządzony przez bezpośredniego świadka tych wydarzeń i umieszczony na początku piątej księgi *Historii kościelnej* Euzebiusza z Cezarei. Jak się wydaje, tamtejsze władze prześladowcze szczerze uwierzyły, że chrześcijaństwo jest to ruch degeneratów, uprawiających kanibalizm

i kazirodztwo – tak bowiem (na potwierdzenie prawdy, że krzywe oko krzywo widzi) odczytały docierające do nich informacje na temat tajemnicy Eucharystii oraz wzajemnego braterstwa. Ponieważ chrześcijanie do zbrodni tych – naturalnie – się nie przyznawali, poddano ich wyszukany i długotrwałym torturom.

Wśród torturowanych wyróżniła się szczególnie młoda Blandyna, którą ogarnął duch właściwy raczej uczcie weselnej niż miejscu męczarni, i swoją postawą potrafiła zarazić współwynawców, tak że odtąd nikt już więcej nie zaparł się swojej wiary ze strachu przed torturami. Oprawcy szybko zrozumieli, ile osiągną, jeśli uda się im ją złamać, toteż znęcali się nad nią szczególnie. Oprócz tortur zadawanych jej bezpośrednio, Blandyna musiała znieść aresztowanie i tortury swego piętnastoletniego brata Pontikosa, ponadto wraz z bratem przyprowadzano ją codziennie do amfiteatru, aby patrzyła na zabijanie kolejnych chrześcijan.

Po zabiciu wśród tortur na jej oczach Pontikosa, „wreszcie sama Blandyna, ostatnia ze wszystkich – niby czcigodna matka, która wlała otuchę swoim dzieciom i przecierpiawszy wszystkie walki swych dzieci, wysłała je jako zwycięzców przed sobą do Króla – pobiegła pełna radości i wesela na tę swoją podróż, jak gdyby wołano ją na ucztę weselną, a nie rzucono na pastwę dzikich zwierząt”. Jak stwierdza autor tego opisu – a jest nim prawdopodobnie św. Ireneusz, późniejszy wielki biskup Lyonu, który sam ćwierć wieku później poniósł śmierć męczeńską – Blandyna „żyła bowiem nadzieją i pewnością dóbr obiecanych przez Boga, i rozmawiała z Chrystusem”.

Wiara w życie wieczne uzdolniła tę dziewczynę do zachowania, które przekracza siły człowieka. Jednak Blandyna nie była wyjątkiem. Narsalus, jeden z męczenników scylikańskich, usłyszawszy wyrok śmierci, skwitował go zdaniem: „Jeszcze dziś będziemy w niebie, Bogu niech będą dzięki”.

Młoda Potamiena z Aleksandrii (rok 202), kiedy prowadzący ją na śmierć żołnierz Bazylides bronił jej przed napastami tłumu, „przyjęła przychylnie dowody jego życzliwości i zwróciła się do niego z wezwaniem, by umocnił swego ducha. Będzie się bowiem po śmierci za niego modliła do swego Pana i wkrótce mu się odwdzięczy za to, co dla niej uczynił”. Zapewne nikt by się o tych słowach młodej męczennicy nie dowiedział, gdyby nie zdecydowały one o tym, że wkrótce sam Bazylides został chrześcijaninem i męczennikiem.

Tylko bardzo realną i dosłowną wiarą w życie wieczne można wyjaśnić radość, z jaką chrześcijanie przyjmowali wiadomości o męczeństwie swoich przyjaciół i znajomych. „Bardzo się ucieszyłem, że jego nieposzlakowana działalność zakończyła się tak zaszczytnie” – pisze św. Cyprian do kleru rzymskiego na wiadomość o męczeńskiej śmierci papieża Fabiana.

Oczekujecie codziennie z radością zbawczego dnia Waszego zgonu – pisze tenże Cyprian do uwięzionej grupy duchownych i świeckich chrześcijan – i już, już mając ten świat opuścić, śpieszycie się, aby otrzymać obiecane męczennikom dary i mieszkanie Boże. Po ciemnościach tego świata ujrzycie najczystsze światło i otrzymacie chwałę, która swym blaskiem przewyższa wszystkie cierpienia i walki.

Na ten list czterej uwięzieni biskupi tak odpisują Cyprianowi: „Jesteś naszym nauczycielem i przyjacielem, toteż gorąco pragniemy, abyś otrzymał koronę za swe wielkie wyznanie”. Dlatego bardzo wiarygodnie brzmi protokolarny zapis sądu pogańskiego z procesu św. Cypriana, że kiedy usłyszał wyrok śmierci, powiedział tylko krótko: „Bogu niech będą dzięki!”. Bo w życie wieczne Cyprian wierzył przecież realnie, ono nie było dla niego żadnym symbolem, ale rzeczywistą obietnicą samego Boga.

Atmosferę święta i radości podczas śmierci męczeńskiej odnotowują również dzieje męczenników nowożytnych i współczesnych. Kiedy do jezuity Ludwika, ukrzyżowanego w roku 1597 w Japonii, „pewien chrześcijanin zawołał, iż wkrótce będzie w raju, on radosną postawą całego ciała zwrócił na siebie oczy wszystkich patrzących”. Zaś Herman Lange, niemiecki ksiądz stracony 10 listopada 1943 roku za głoszenie poglądu, iż za zbrodnie hitlerowskie czeka Niemców kara Boża, tak pisał z celi śmierci: „Jakaż pociecha, jaka cudowna siła płynie z wiary w Chrystusa, który poszedł przed nami drogą śmierci. Czyż może coś się stać dziecku Boga? Czyż miałbym się bać? Przeciwnie, radujcie się, i jeszcze raz wam mówię, radujcie się”.

Życia obecnego ani spraw doczesnych nie wolno nam lekceważyć!

Żaden z wymienionych męczenników nie pchał się jednak do śmierci. Przeciwnie, raczej starali się jej unikać. Nie

tylko cechowała ich bowiem głęboka wiara w życie wieczne, ale równie żywo wierzyli oni w sens swojej służby na tej ziemi. Święty Cyprian, którego entuzjazm dla śmierci męczeńskiej przed chwilą poznaliśmy, wręcz ukrywał się przed prześladowcami. Podobnie zachowywało się wielu innych późniejszych męczenników.

W Kościele starożytnym obowiązywał nawet kanon, zakazujący wiernym prowokowania władz do stawiania ich przed sądami. Przykład pełnej gotowości zarówno na śmierć, jak na dalsze życie, dał już apostoł Paweł: „Z dwóch stron doznaję nalegania: pragnę odejść, a być z Chrystusem, bo to o wiele lepsze, pozostawać zaś w ciele – to bardziej dla was konieczne. A ufny w to, wiem, że pozostanę, i to pozostanę nadal dla was wszystkich, dla waszego postępu i radości w wierze” (Flp 1,23–25).

Zatem nawet bardzo żarliwa wiara w życie wieczne wcale nie domaga się niecierpliwych tęsknot za jak najszybszym odfrunięciem z tej ziemi. Gordon W. Allport – psycholog, żaden kaznodzieja czy teolog – zauważył wręcz prawidłowość następującą: „Prawdopodobnie moglibyśmy dowieść, że w biegu historii ci chrześcijanie, którzy w najbardziej praktyczny sposób zasłużyli się światu doczesnemu, byli równocześnie tymi, którzy najgorliwiej wierzyli w świat przyszły”.

To prawda, że większość z nas, kiedy znajdzie się w poważnej chorobie, chciałaby odsunąć zbliżającą się śmierć. Czy jednak postawa taka, wzięta sama w sobie, świadczy o niewierze w życie wieczne? Wszak nawet pannie młodej, która bardzo pragnie ślubu, zdarzy się czasem, że bardzo chciałaby

sam moment ślubu odsunąć bodaj o kilka minut. A przecież wzięcie ślubu nie wiąże się z żadnymi cierpieniami.

Spójrzmy jeszcze na ten problem w świetle pewnej postawy dość nieprzeciętnej i raczej skrajnej. Mianowicie zachowały się wiarygodne świadectwa wielkich chrześcijan, którzy w swojej żarliwej miłości do Boga chcieli jak najszybciej umrzeć, ażeby w ten sposób zjednoczyć się z Nim już naprawdę bez reszty. Coś takiego przeżywała na przykład św. Teresa od Jezusa. Sądzę, że nawet taki chrześcijanin nie czułby się uprawniony do tego, żeby przyspieszać swoją śmierć poprzez zaniedbanie leczenia swoich chorób. Podobnie jak prawie nie było męczenników, którzy by nie zrobili wszystkiego, ażeby się nie dostać w ręce prześladowców. Zarazem ci sami ludzie potrafili – jak widzieliśmy – radować się, kiedy ich męczeństwo już nadchodziło.

Trzy kryteria

A jednak pytanie: „Czy ja naprawdę wierzę w życie wieczne?” – bardzo zasługuje na to, żeby się nad nim zastanawiać. Ze szczególną wyrazistością przychodzi ono wówczas, kiedy mnie samemu śmierć zaczyna już zaglądać w oczy, ale również wówczas, kiedy śmierć oddziela mnie kolejno od różnych moich bliskich i znajomych. Ale uwaga: wiary w życie wieczne nie mierzy się naszym jej odczuwaniem. Nie mierzy się jej również naszą zdolnością do wyobrażania sobie, na czym życie wieczne będzie polegało.

Istnieją co najmniej trzy kryteria, po których można rozpoznać, że w życie wieczne wierzę naprawdę. Znakiem pierwszym jest pielęgnowanie w sobie zawierzenia, które można wyrazić w formie modlitwy na przykład następującej:

Panie Jezu, Ty tak często mówiłeś nam o życiu wiecznym i tak często nam je obiecywałeś! Po to, żeby obdarzyć nas wiecznym zbawieniem, przeszedłeś przez mękę krzyżową! Ja wierzę każdemu Twemu słowu! Wierzę też całym sercem w udzieloną nam przez Ciebie obietnicę życia wiecznego, ale Ty wzmacniaj wiarę moją! Wspomagaj mnie swoim światłem i mocą, abym coraz bardziej zbliżał się do Twojego zbawienia! Pozwól mi też jak najwięcej przyczynić się do tego, aby również moi bliźni życie wieczne osiągnęli!

Drugim kryterium, po którym mogę poznać, że ja naprawdę wierzę w życie wieczne, jest wybieranie drogi Bożej również wówczas, kiedy sprzeciwia się to prawom tego świata. Według praw tego świata jest rzeczą nierozsądną trwać w wierności małżeńskiej, jeśli się zostało niesprawiedliwie przez współmałżonka opuszczonym. Prawa tego świata pozwalają też czynić zło, jeśli nie ma innego sposobu uratowania się przed jakimś poważnym zagrożeniem. Duch tego świata podpowiada nawet zabicie poczętego dziecka albo człowieka umierającego, jeśli przemawiają za tym jakieś poważne powody. Otóż jeśli ten duch jest mi gruntownie obcy i mam niezłomną wolę chodzenia Bożymi drogami również wówczas, kiedy jest to bardzo trudne i „nierozsądne”, wolno mi ufać, że moja wiara w życie wieczne jest rzetelna i autentyczna. Niezależnie od tego, jak ją psychicznie odczuwam.

„STWORZYŁEŚ NAS DLA SIEBIE, BOŻE...”

Kryterium trzeciego dostarcza odpowiedź na pytanie, czy ja staram się korzystać ze źródeł życia wiecznego, do jakich zaprasza nas Chrystus Zbawiciel. Oto najważniejsze Jego słowa na ten temat: „Zaprawdę, zaprawdę, powiadam wam: Jeżeli nie będziecie spożywali Ciała Syna Człowieczego i nie będziecie pili Krwi Jego, nie będziecie mieli życia w sobie. Kto spożywa moje Ciało i pije moją Krew, ma życie wieczne, a Ja go wskrzeszę w dniu ostatecznym” (J 6,53 i nast.).

Dotknięcie przez kochającego Boga

Takich doświadczeń nie da się zaplanować

Poniższy list robi wrażenie:

Najpierw się krótko przedstawię: lat około 40, inżynier, mężatka, troje dzieci. Przez długi, długi czas niewierząca, lub, jak się to eufemistycznie nazywa, „wierząca niepraktykująca”. Wracalam do Boga powoli, małymi krokami. Ostatnie osiem–dziewięć lat mojego życia to okres intensywnych poszukiwań, regularnego uczęszczania do kościoła, jednak niewsparte to było modlitwą i przystępowaniem do sakramentów (przystępowałam zwyczajowo, dwa razy w roku, na Wielkanoc i Boże Narodzenie, i wtedy było trochę modlitwy „akcyjnej”, przez tydzień po przystąpieniu do Eucharystii).

Niedawno wybraliśmy się z mężem na Kretę. Kiedy zwiedzaliśmy jakieś starożytne miasto, oddaliłam się od grupy. W upale szłam powoli wzdłuż płotu, słuchając ptaków, wdychając zapach roślin i rozgrzanej ziemi. Myślałam sobie, że od czasów Rzymian i biskupa Tytusa ta ziemia nie-

wiele się zmieniła, a Ziemia Święta, gdy wędrował po niej Jezus, była pewnie podobna: ten sam upał, zapach roślin i śpiew ptaków.

I w tej chwili poczułam obecność Boga taką namacalną i pewną jak słońce na niebie. ON był we mnie, był mną bardziej niż ja sama, był bliski, bliższy niż jakikolwiek człowiek, niż nawet ja sama dla siebie. I był niewyobrażalną miłością i miłosierdziem. Wcale nie myślałam o swoich grzechach, bo one były po prostu nieważne wobec tej miłości.

Przeżyłam już uniesienia miłości między dwojgiem ludzi, przeżyłam szczęście macierzyństwa, ale to było znacznie, znacznie większe i piękniejsze i bardziej jakby rzeczywiste niż tamte uczucia. Nie potrafię tej bliskości i obecności Boga porównać z niczym. Pomyślałam sobie wtedy tylko: „Aha, więc to tak wygląda...”, bo wiedziałam, że to jest meta, kres i właściwe miejsce człowieka. No cóż, opis chaotyczny, nieadekwatny do mego przeżycia, ale słowa tu zawodne.

Powoli zbliżyłam się do grupy. Myślałam: „Boże, jeżeli aż tak bardzo jesteś we mnie, to tak samo mocno jesteś obecny w każdym z tych ludzi”. I aż do gardła podeszło mi uczucie tkliwości i miłości do tych ludzi. Podeszłam z pytaniami: może zrobię zdjęcie, a pani pożyczę czapkę od słońca, może przetłumaczyć coś na angielski lub pożyczyć kamerę... Po prostu słałabym się im pod nogi, gdyby zechcieli.

Jaki jest mój problem? Otóż czuję się niejako wybrana. Jasne dla mnie jest, że na pewno nie za jakieś swoje zasługi. Myślę, że nakłada to na mnie jakiś obowiązek, odpowiedzialność. Jak jednak rozpoznać wolę Bożą? Co zrobić z tym darem, żeby go nie zmarnować?

Życie moje zmieniło się o tyle, że tęsknię za obecnością Pana. Najchętniej poświęcam czas modlitwie, chodzę dwa, trzy razy w tygodniu na mszę, bo chcę Go znowu spotkać. Ale czy to jest wszystko, czego On ode mnie oczekuje?

Mam wrażenie pewnego chaosu. Poświęcić się tylko modlitwie nie mogę, bo jestem matką trojga sprawiających kłopoty dzieci.

Przecież ten wielki dar dostałam po coś. Jeszcze raz pytam: Jak poznać wolę Pana? I drugie pytanie: Jak wrócić do tej chwili, najpiękniejszej dla człowieka? Tak bardzo za tym tęsknię. Myśl o śmierci, której tak się bałam, jest mi teraz niestrasza, bo tam czekają otwarte ramiona i miłość.

Boże, chcę Cię kochać jak najwięcej!

Autorka stawia sobie pytanie, w tych okolicznościach w pełni zrozumiałe. Nas, z zewnątrz, interesuje jeszcze inne pytanie: Jakie są kryteria, po których poznaje się autentyczność opisanych tu doświadczeń duchowych? Nie wszystkie przecież duchowe przeżycia są autentycznie duchowe, nieraz nawet mogą być sprawką tego naszego nieprzyjaciela, który potrafi udawać anioła światłości (por. 2 Kor 11,14). Osobiście nie mam wątpliwości co do tego, że opisane wyżej doświadczenie było rzeczywiście wspaiałym darem Bożym. Spróbuję pokazać, na jakiej podstawie tak sądzę.

Według świadectwa autorki listu, jej przeżycie było niedającym się opisać uniesieniem miłości do Boga. Istotnym znakiem jego autentyczności jest to, że dominowało w tym przeżyciu doświadczenie miłości właśnie, a nie przyjemności, choć przyjemność i radość też odczuwała ta kobieta ogromnie. I co ważniejsze: doświadczenie miłości Boga spontanicznie wzmocniło w niej miłość do bliźnich.

Bardziej intensywne i niemające cech ucieczki od zwyczajnych obowiązków życie religijne, jakie podjęła ona wskutek tego przeżycia, to trzeci znak jego autentyczności. Po czwarte, nie miała ona najmniejszej wątpliwości co do tego, że to był niezasłużony dar Boży i że głupotą byłoby z powodu jego otrzymania wynosić się nad innych ludzi. Po piąte, wiedziała również z całą oczywistością, że tego rodzaju dary stanowią zaproszenie do głębszego włączenia się w Kościół i nie było w niej żadnych pokus stawiania siebie ponad Kościołem. Szóstym wreszcie znakiem autentyczności tego rodzaju doświadczeń jest wynikający z nich pokój, a mówiąc dokładniej, „miłość, radość, pokój, cierpliwość, uprzejmość, dobroć, wierność, łagodność, opanowanie” (Ga 5,22).

Jeszcze na jedno pragnę zwrócić uwagę, zanim podejmę pytanie autorki tego świadectwa. Mianowicie, nie trzeba dążyć do powtórki tamtego doświadczenia intensywnej obecności Tego, który jest samą Miłością. Naszego oddania Bogu nie mierzy się intensywnością własnych przeżyć. Jeśli takie przeżycia się pojawiają, dziękujmy za nie Bogu. Ale jeśli ich nie ma, cieszymy się, że możemy Go prawdziwie kochać, nawet jeśli nie odczuwamy z tego powodu specjalnej satysfakcji. Tego rodzaju doświadczenie jest darem Bożym, ale kiedy ono znika, też jest to dar Boży, bo łatwiej nam wtedy wyzwać się z egocentryzmu w naszej relacji do Boga.

Jak rozpoznać – pyta autorka powyższego świadectwa – czego Bóg ode mnie oczekuje? Bez żadnej zasługi wie ona to, z czego nie zdaje sobie sprawy wielu ludzi, skąd-

iną wierzących w Chrystusa i modlących się: że wola Boża w stosunku do nas jest pełna dobroci i miłości, że Bogu bardziej zależy na moim dobru niż mi. Dlatego pragnienie pełnienia woli Bożej jest dla niej czymś oczywistym. Lęka się ona tylko tego, żeby się z wolą Bożą bezwiednie nie rozminąć.

W poszukiwaniu odpowiedzi na swoje pytanie proponuję jako podstawową wytyczną wziąć sobie następujące słowa Pana Jezusa: „To jest wola Ojca mego, aby każdy, kto widzi Syna i wierzy w Niego, miał życie wieczne” (J 6,40). „Albowiem wolą Bożą jest wasze uświęcenie” – powtarza za Panem Jezusem, tyle że swoimi słowami, apostoł Paweł (1 Tes 4,3).

Wola Boża względem nas jest przeciwieństwem jakiegokolwiek zaprogramowania. Wola Boża to w istocie miłość Boża, która na nas spoczęła i chce nas ogarniać coraz bardziej, która uzdalnia nas do wydawania dobrych owoców i prowadzi do życia wiecznego. Owszem, w odniesieniu do zła wola Boża jest kategoryczna: zła czynić się nie godzi. Nawet dla ratowania życia nie godzi się czynić zła. Ale nie z innego powodu wola Boża jest tu tak kategoryczna, tylko dlatego, że Bogu na nas zależy, że On nas kocha. Zresztą wówczas, kiedy wypełnienie Jego woli wymaga szczególnego trudu, Bóg też człowieka szczególnie wspomaga.

Natomiast w odniesieniu do dobra wola Boża podobna jest do matki wychowującej swoje dzieci. Przychodzi ona do nas na co dzień w różnych wydarzeniach i sygnałach, pobudza nas do aktywności i do korzystania z naszej

wolności. W odniesieniu do dobra jest zazwyczaj mało kategoryczna, dopuszcza różne warianty, wśród których my sami wybieramy. Bóg tylko z tkliwością zachęca nas do tego, żebyśmy nie marnowali swego życia, żebyśmy szli przez życie, czyniąc dobro. Tylko czasem człowiek z całą pewnością wie, że Bóg żąda ode mnie tego a tego. Jednak nawet wówczas dzieje się to bez przymusu, ale w miłości, z wielkim szacunkiem dla mojej wolności.

Najważniejsze, żebyśmy wolę Bożą starali się ukochać – także wówczas, kiedy przychodzi do nas jasno sprecyzowana, pobudzając nas do aktywności ku dobremu. Starajmy się uwierzyć całym sercem w Jego miłość do nas. Bóg z pewnością „zasługuje” na to, żebyśmy Mu całkowicie uwierzyli.

Wielkie wrażenie zrobiła kiedyś na mnie wycytana gdzieś uwaga, że przygotowanie jednego obiadu przez Matkę Najświętszą miłsze było w oczach Bożych niż męczeństwo św. Wawrzyńca. Trudno znaleźć męczennika, który by miał bardziej okrutną śmierć niż św. Wawrzyniec, i na pewno była w tym świętym męczenniku wielka miłość Boża, skoro przez swoje tak straszne tortury przeszedł zwycięsko. I nie można mieć wątpliwości co do tego, że jego śmierć była bardzo drogocenna w oczach Bożych. Rzecz jednak w tym, że Matka Najświętsza była wypełniona miłością nieporównanie wspanialszą.

Sensem tej paradoksalnej uwagi jest podkreślenie, że ostatecznie w oczach Bożych liczy się miłość i tylko miłość. Oczywiście, błędem byłoby lekceważyć znaczenie dobrych czynów. „Wiara bez uczynków jest martwa”

(Jk 2,20). Jednak nasz dobry czyn wtedy dopiero jest czynem wiary, kiedy jest wypełniony miłością. I tym bardziej cenny jest dla Boga, im więcej w nim miłości.

Znamienne, że po tak wyrazistym dotknięciu przez Bożą miłość pełnienie woli Bożej polega przede wszystkim na wywiązywaniu się z miłością ze swoich obowiązków rodzinnych i zawodowych; ponadto każdego dnia człowiek stara się wówczas naprawdę zauważać bliźnich, jakich Pan Bóg stawia mu na drodze. Rzecz jasna, pełnić wolę Bożą to również Bogu powierzać swoje ewentualne niepowodzenia i rozczarowania, słabości i zniechęcenia. I w miarę możliwości robić to zwyczajnie i z prostotą, bez psychicznego napinania się.

Miłości do Boga człowiek nie potrafi sam w sobie spowodować ani powiększyć, ona jest darem Bożym. Rodzi się zatem pytanie: Czy wolno mi pragnąć kochać Boga więcej niż inni ludzie? Gdyby ktoś z nas kiedyś stanął przed takim problemem, radzę wtedy modlić się mniej więcej tak: „Panie Boże, Ty wiesz, że Cię kocham i że chcę Cię kochać jak najwięcej! Ale tak bardzo bym chciał, żeby inni ludzie, żeby wszyscy ludzie kochali Cię więcej, niż ja Cię kocham! Mnie wystarczy, że będę Cię kochał jak najwięcej i coraz więcej, całym sobą!”.

Jeszcze jedno świadectwo

Zaczęło się to wszystko na krótko przed wyjazdem na pielgrzymkę. Nachodziły mnie tchnienia jakiegoś czaru,

magiczne chwile radosnego błogostanu, kiedy nie wiedziałam, co to jest i dlaczego tak się dzieje. Najpierw myślałam, że zaczyna się klimakterium, potem łączyłam te przeżycia z modlitwą, następnie z Łaską Matki Bożej, Jej kochającym pocieszeniem, czymś tak ujmującym, że brakuje słów. Potem pielgrzymka z wielkimi poruszeniami serca, powrót do normy, znowu magia odgrywana na emocjach. Czułam się dosłownie uwiedziona przez jakąś tajemniczą siłę.

W Wielki Piątek po pracy poszłam do katedry, żeby się wypowiadać, ale klębiące się przed konfesjonałami tłumy ludzi zupełnie mnie załamały. Zrezygnowana usiadłam przed obrazem Matki Bożej. I znowu naszła mnie fala Dobroci, która spowodowała, że otworzył się we mnie jakiś kanał, ale tak, jak nigdy chyba dotąd. Słowa same przychodziły mi na myśl, układały się bez mojego udziału w piękną modlitwę, jakiej w życiu bym nie wykrzesала z siebie.

Niestety, po przejściu tego stanu nie potrafię powtórzyć ani zapisać wypowiedzianych wcześniej słów. Po prostu nie pamiętam. Jak to możliwe? Zaznaczam, że nigdy nie chodziłam na spotkania odnowy w Duchu Świętym. Teraz z perspektywy widzę, że Matka Boża za pomocą swoich czarów, słodyczy i dobroci prowadziła mnie do swojego Syna, który wkroczył w Wielkanoc jak wiatr do mojego serca.

Teraz już nie ma mowy o słodkim błogostanie, chociaż to też jeszcze się zdarza. To jest Moc ożywcza i uzdrawiająca. Nagle patrzę na wszystko innym wzrokiem, więcej widzę, uświadamiam sobie różne sprawy, których przedtem nie dostrzegałam lub nie rozumiałam. To mnie zaskakuje, wydaję się sama sobie taka mądra. Pacjentom wstawiam taką gadkę, że zamierają z wrażenia. Jeden powiedział, że jestem rewelacyjna, drugi całował moje ręce, trzeci się popłakał jak bóbr. To istne szaleństwo! Proszę się modlić za mnie, bym wytrzymała napór tej Mocy. (...)

Ostatnie przeżycie było najsilniejsze i poraziło mnie swoją niecodziennością. Skończyłam już przyjęcia, wypełniłam wszystkie możliwe formularze zalecone przez reformę Służby Zdrowia. Zrobiłam sobie herbatę i postanowiłam się trochę pomodlić, bo ostatnio modłę się jak szalona – ja, która kiedyś nie robiłam tego prawie wcale. Nie jest to jednak jakiś przymus, tylko potrzeba serca. A więc modłę się i nagle ogarnia mnie jakieś roztkliwienie, wzruszenie, które powoduje, że łzy zaczynają mi spływać po twarzy. W moim przypadku łzy mają duże znaczenie, gdyż sprawiają, że pękają we mnie wszystkie hamulce, blokady i kompleksy. Rozczuliłam się ogromnie, stałam się bezbronna, ze wszystkimi swoimi zranieniami i skrzywieniami, które się obnażyły.

Poczułam się nagle taka samotna i opuszczona, że mogłam zrobić tylko jedno – upaść na kolana i oddać się całkowicie Bogu. Przypomniałam sobie instrukcję z jakiejś książki, że trzeba Bogu powiedzieć TAK. Zrobiłam to nawet trzy razy. Nagle poczułam, że unosi mnie jakaś wielka siła i ogarnia mnie Miłość – tak wspaiała i porywająca, że oddałam się jej całkowicie i bez reszty. To było coś fantastycznego, nie do opisanie. Tyle Miłości tylko dla mnie!

Czułam, że jest to Miłość Ojca, a ja jestem Jego córką. W przestrzeni mojej świadomości byliśmy tylko my dwoje: On – Stwórca, i ja – stworzenie. Było mi tak dobrze! W ogniu tej Miłości rozkwitałam, czułam się piękna. Miłość mojego Ojca leczyła moje rany, zblizniały się one jedna po drugiej. Zatapiałam się w tej Miłości. Przenikaliśmy się nawzajem, nasze duchy się pomieszały – mój, ludzki, i Jego, boski. Najpiękniejsza komunia świata: Bóg mi daje siebie poprzez swoją ogromną miłość, a ja biorę ją, jakby mi się należała.

Powiem więc: Ten wielki, wspaiały Bóg, Stwórca, który mnie stworzył i pokochał szaleńczo, doprasza się ode mnie miłości wzajemnej. Czy nie jest to rozczulające? Jak

można nie kochać takiego Ojca, w dodatku Boga! Upajałam się tym obcowaniem aż do zatracenia, ale zatracenie nie jest tutaj odpowiednim słowem, ponieważ zachowałam swoją integralność – nie roztopiłam się, nic mi nie ubyło, a jednak zjednoczyłam się całkowicie z Bogiem w Miłości!

To wszystko rozgrywało się w przestrzeni duchowej. Moje ciało zostało gdzieś daleko. Straciłam wzrok i słuch, przeniosłam się w zupełnie inny wymiar. W moim ciele czułam tylko trawiący ogień w klatce piersiowej. To Pan Bóg wypalał moje zapyziałe od grzechów wnętrzości, ale nie robił mi żadnych wyrzutów, nie gderał i nie narzekał. To była Miłość absolutna i bezwarunkowa. Zanurzałam się całkowicie w tym oceanie Miłości, jak dziecko w ramionach ojca. Bóg był tak osobowy, że mogłabym Go chyba pociągnąć za brodę, gdyby ją miał. Nie było jednak brody ani ramion – to gwoź ścisłości.

Przeżycie podlegało intensyfikacji, nasilało się coraz bardziej. W pewnej chwili popełniłam błąd. Przestraszyłam się lub zawahałam na ułamek sekundy. Bałam się, że nie wrócę z powrotem. Natychmiast kontakt uległ przerwaniu. Poczulałam nagle tępienie emocjonalne i także fizyczne, jakbym z dużą siłą została wciśnięta w fotel (a przecież siedziałam w nim cały czas spokojnie). Skończyło się... Odzyskałam wzrok i słuch, ogień w piersiach rozlał się po całym ciele jako przyjemny żar, a ja siedziałam jak oglupiała. Nie czułam się jednak odepchnięta. (...) Może Bóg uznał, że już więcej nie wytrzymam i dlatego przerwał to nasze spotkanie?

Po pewnej chwili wróciłam do rzeczywistości. Doprowadziłam się szybko do porządku, gdyż twarz miałam zapłakaną. Uświadomiłam sobie nagle, że drzwi od gabinetu nie były zamknięte na klucz i gdyby ktoś wszedł i zobaczył mnie w tym stanie... wolę nie myśleć. Pan Bóg postawił na straży anioła z halabardą. Kochany! Pomyślał o wszystkim.



„Gdzież jest, o śmierci,
twoje zwycięstwo?”

Przekleństwo śmierci i śmierć w Chrystusie

Problem pierwotnej nieśmiertelności człowieka

Napisany w roku 1786 artykuł Immanuela Kanta pt. *Domniemany początek ludzkiej historii* był chyba pierwszą w nowożytnej Europie tak radykalną próbą redukcjonistycznej interpretacji biblijnej opowieści o sprawiedliwości pierwotnej i grzechu pierworodnym. Raj byłby, według tej interpretacji, sytuacją przedludzką naszych praprzodków. Rozwój ludzkości zaczął się – zdaniem Kanta – wtedy, kiedy nasi prarodzice uświadomili sobie, że jest w nich jakaś zdolność do przeciwstawienia się prawom natury i decydowania o swoim własnym sposobie życia. Pojawiła się wtedy w nich, domyśla się Kant, świadomość, że mogą panować nad popędami, ponadto świadomość przyszłości, i po trzecie, świadomość przewagi nad zwierzętami.

Ta interpretacja implikuje negację pierwotnej nieśmiertelności człowieka. Nieśmiertelność pierwszych rodzi-

ców byłyby zwyczajną nieświadomością podlegania śmierci. Byliby oni nieśmiertelni, podobnie jak nieśmiertelne są psy, koty czy krowy, w tym sensie, że nie byliby świadomi śmierci. Również grzech pierworodny nie byłby według tej redukcjonistycznej interpretacji żadnym grzechem, polegałby po prostu na przekroczeniu progu człowieczeństwa.

Dlaczego jako chrześcijanin nie mogę się zgodzić z takim wyjaśnieniem początków ludzkości? Bo wierzę, że człowiek został stworzony przez Boga. Jeżeli zaś sam Bóg stworzył człowieka, to niewątpliwie nie stworzył go grzesznym; człowiek spod ręki Bożej wyszedł święty i sprawiedliwy. O tym zaś, że i ja sam, i wszyscy bez wyjątku ludzie jesteśmy grzeszni, wiem aż nadto dobrze. Gdyby było tak, jak domyślał się Kant, a za nim wielu innych (na przykład Hegel, a stosunkowo niedawno Erich Fromm), ludzka grzeszność byłaby tylko nieuniknioną konsekwencją rozwoju naszego gatunku, z którą moglibyśmy poradzić sobie sami, tak że niepotrzebny byłby aż Syn Boży i Jego śmierć na krzyżu, ażeby nas z tej sytuacji wyzwolić.

Zatem istnieją bardzo poważne argumenty wiary przeciwko naturalistycznej redukcji prawdy o grzechu pierworodnym. Na początku ludzkich dziejów musiała mieć miejsce jakaś tajemnicza moralna katastrofa ludzkości. Mówię „katastrofa”, bo trudno inaczej nazwać ten jedyny w ludzkich dziejach grzech popełniony przez ludzi naprawdę i dosłownie bezgrzesznych. Nawet nie jesteśmy w stanie wyobrazić sobie, jak wielkie musiało być natężenie zła, ażeby istoty bezgrzeszne dopuściły się grzechu. Toteż nic dziwnego, że konsekwencje tego wyboru były katastrofalne.

W perspektywie naszej refleksji nad śmiercią – niezależnie od tego, jak niewiarygodnie to brzmi dla współczesnej mentalności – sądzę, że przekaz biblijny o pierwotnej nieśmiertelności człowieka należy rozumieć dosłownie. Świętość i sprawiedliwość naszych prarodzców, ich niewyobrażalna dla nas bliskość z Bogiem, który jest przecież źródłem życia, owocowała m.in. darem nieśmiertelności. „Śmierci Bóg nie uczynił ani się nie cieszy ze zguby żyjących. Śmierć weszła na świat przez zawiść diabła i doświadczą ją ci, którzy do niego należą” (Mdr 1,13; 2,24).

Zarazem nigdy dość przypominania, jak usilnie tradycja chrześcijańska starała się nie dopuścić do mitologicznych interpretacji tej pierwotnej nieśmiertelności. Przypomnę najbardziej popularne interpretacje wielkich ojców i doktorów Kościoła, których celem była ochrona nauki wiary o początku człowieka na ziemi przed zmitologizowaniem. Taki św. Teofil z Antiochii pisze już w połowie II wieku, że Adam

został stworzony ani śmiertelnym, ani nieśmiertelnym. Gdyby bowiem od początku stworzył go Bóg nieśmiertelnym, byłby on uczyniony bogiem. Gdyby zaś śmiertelnym, wówczas Bogu należałoby przypisać przyczynę jego śmierci. Zatem stworzył go Bóg ani śmiertelnym, ani nieśmiertelnym, lecz zdolnym do jednego i drugiego, w ten sposób, że gdyby skłaniał się on do tego, co prowadzi do nieśmiertelności, przez zachowywanie Bożych przykazań, otrzymałby on w nagrodę nieśmiertelność i stał się bogiem. Gdyby zaś skłaniał się do tego, co prowadzi do śmierci, nie słuchając Boga, sam stałby się sprawcą swojej śmierci.

Zatem, według Teofila, człowiek był raczej wezwany do nieśmiertelności i zdolny do niej, niż nią obdarzony; nieśmiertelność była przedmiotem obietnicy i rzeczywiście człowiek otrzymałby ją, gdyby wytrwał w zawierzeniu Bogu.

Z kolei św. Augustyn wyjaśniał, że wolność od śmierci, jaką cieszyli się pierwsi rodzice, była jakościowo różna od nieśmiertelności, którą będziemy obdarzeni w życiu wiecznym. Mianowicie nieśmiertelność w raju polegała na tym, że „mogli oni nie umrzeć” (*posse non mori*), podczas gdy w życiu wiecznym polega ona na tym, że śmierć w ogóle nie będzie miała do nas dostępu (*non posse mori*). Krótko mówiąc, pierwsi rodzice cieszyli się nieśmiertelnością „negatywną”, mogli nie umierać. Natomiast nieśmiertelność życia wiecznego będzie nieśmiertelnością pozytywną, będzie wewnętrzną niemożnością umierania.

Niezwykłe głęboko wyjaśniał pierwotną nieśmiertelność św. Tomasz z Akwinu. Wrażliwy na empirię ludzkiego bytu, wychodzi on od następującego pytania: Czy śmierć, jakiej podlegamy, jest karą za grzech, czy też czymś dla człowieka naturalnym? Czy nauka wiary, że śmierć przyszła do nas jako owoc grzechu, kłóci się z odczuciem zdrowego rozsądku, który nam podpowiada, że istoty cielesne, a zatem i człowiek, ze swojej natury podlegają śmierci? Żeby odpowiedzieć na pytanie, co dla człowieka jest naturalne – podejmuje ten problem Tomasz – musimy najpierw zapytać, co to jest ludzka natura. Składa się na nią pierwiastek duchowy i cielesny; człowiek jest jednocześnie duchowy i cielesny, przy czym duch jest w nas ważniej-

szy niż ciało. To, co duchowe, jest z natury niezniszczalne (św. Tomasz woli mówić o „niezniszczalności” duszy, choć terminu „nieśmiertelność” nie unika), natomiast ciało z natury podlega śmierci. Zatem zgodne z naturą człowieka jest zarówno niepodleganie śmierci, jak jej podleganie – pierwsze jest zgodne z naturą tego, co w nas duchowe, natomiast ciała nasze z natury są śmiertelne. Ponieważ jednak duch jest w nas ważniejszy niż ciało, bardziej naturalne dla człowieka jest to, żeby nieśmiertelność ducha ogarniała ciało. I taka właśnie była sytuacja ludzi w stanie sprawiedliwości pierwotnej.

Co się stało wskutek grzechu? Człowiek przestał być przyjacielem Boga, który przecież jest źródłem życia. Odlączony od Boga, człowiek nie jest już w pełni panem samego siebie: nasza wola nie zawsze już okazuje posłuszeństwo rozumowi, sama zaś często nie potrafi panować nad zmysłami oraz innymi władzami niższymi. Również dusze nasze stały się zbyt słabe, żeby swoją nieśmiertelnością „ogarniać” ciała.

Dzięki powyższej analizie Tomasz z Akwinu może udzielić na postawione sobie pytanie odpowiedzi podwójnie twierdzącej: Nasze podleganie śmierci jest zarówno owocem grzechu (bo gdyby nie grzech, dusza udzielałaby również ciału swojej nieśmiertelności), jak czymś naturalnym (bo dla ciała czymś naturalnym jest podleganie śmierci i tylko dzięki stanowi sprawiedliwości ta właściwość ciała była zawieszona).

We wszystkich tych trzech interpretacjach widać troskę, żeby pierwotnej nieśmiertelności nie wyobrażać sobie

mitologicznie (to znaczy żeby nie wyobrażać jej sobie jako takiej przeszłości, która nigdy nie była teraźniejszością), żeby przedstawiać ją jako rzeczywistość historyczną. Warto jeszcze odnotować czwartą próbę katolickiej interpretacji pierwotnej nieśmiertelności, rozróżniającą śmierć i umieranie. Mianowicie człowiek nawet w stanie sprawiedliwości pierwotnej podlegałby umieraniu, które jednak byłoby spokojnym, wolnym od lęku i bólu przejściem do życia wiecznego, natomiast wskutek grzechu pojawiła się śmierć, czyli to wszystko, co w ludzkim umieraniu jest drapieżne, okrutne, przekłete, straszne, budzące lęk. U nas w Polsce zwolennikiem tej interpretacji był o. Jacek Bolewski. Jakkolwiek samo rozróżnienie jest pochodzenia pelagiańskiego i nie zna go *Katechizm Kościoła Katolickiego*, wydaje się, że wiara katolicka z gruntu go nie wyklucza.

Co się stało z człowiekiem wskutek grzechu?

Grzech sprowadził na nas przekleństwo śmierci. Zauważmy najpierw, że nie ma nic przeklętego w tym, że śmierci podlegają zarówno zające, jak wilki. I nie byłoby nic przeklętego w śmierci człowieka, gdyby podlegały jej tylko nasze ciała. Niestety, śmierć, jakiej podlegają nasze ciała, jest konsekwencją i znakiem śmierci głębszej, jaką sprowadzili na siebie i na nas nasi prarodzice. Mianowicie zerwali oni przyjaźń z Bogiem, zwątpili w Jego życzliwość względem siebie. Przestało im zależeć na łączności z Tym,

który daje życie, toteż padli ofiarą śmierci w najgłębszym słowa znaczeniu, śmierci wiecznej, która polega na rozdzieleniu człowieka od Boga. Zewnętrznym wyrazem tego tragicznego rozdzielenia jest śmierć ciała, która przychodzi wskutek jego rozdzielenia od duszy.

Katechizm Kościoła Katolickiego wielokrotnie posługuje się tradycyjną definicją śmierci: że jest ona rozdzielaniem duszy i ciała. Pierwotny bezsens śmierci da się opisać mniej więcej następująco. Śmierć – rozłączenie duszy i ciała, które z natury są przecież jednością – jest skutkiem i znakiem odłączenia od Boga. Jest naocznym dowodem naszej zależności od szatana (por. Mdr 2,24) – bo gdzie bardziej widać, że pełny powrót do Boga przekracza możliwości grzesznika? Śmierć, tak jak ją opisuje Pismo Święte, ma więc strukturę symboliczną: to, co się dokonuje na płaszczyźnie biologii, ujawnia i przypieczętowuje śmierć duchową. Śmierć jest zatem – w swoim pierwotnym bezsensie – jakby antysakramentem, sakramentem szatana.

Warto jeszcze sobie uprzytomnić, że Bóg w swoim miłosierdziu stara się zarówno grzesznych prarodziców, jak nas wszystkich, osłonić przed skutkami tej katastrofy. Wystarczy przypomnieć, że już w opisie grzechu pierworodnego znajdziemy sygnały, że niemal bezpośrednio po grzechu Bóg opiekuje się pierwszymi grzesznikami (por. Rdz 3,21; Mdr 10,1), a także obietnicę Zbawiciela (por. Rdz 3,15).

Ojcowie Kościoła wielokrotnie podkreślali ten moment, że nawet wobec grzesznika, który w Niego zwątpił i nie chce być Jego przyjacielem, Bóg jest miłosierny. Święty Jan Złotousty wyjaśniał na przykład, że nawet na-

sze obecne podleganie śmierci jest znakiem Bożego miłosierdzia wobec nas. Bo cóż by to było, gdyby nasze odejście od Boga nie spowodowało żadnych dotkliwych dla nas konsekwencji? Aż strach pomyśleć: człowiek mógłby się wtedy przyzwyczaić do stanu nieprzyjaźni z Bogiem i już nie pragnąłby powrotu do utraconej bliskości ze swoim Stwórcą:

Takie są obyczaje naszego Pana – powiada św. Jan Chryzostom w *In Genesim* – że zsyłając karę, okazuje nam nie mniejszą troskę, niż kiedy udziela dobra. Albowiem wymierza nam tę karę w celu upomnienia. Przecież gdyby wiedział, że bezkarność grzechu nie uczyni nas gorszymi, nigdy by nas więcej nie karał. Żeby jednak powstrzymać nasze staczanie się ku gorszemu i usunąć wzmagającą się przewrotność, trwa Bóg w swojej przyjaźni do człowieka i wymierza mu karę. (...) Kary wymierzane przez Boga pełne są wielorakiej dobroci.

Pismo Święte stwierdza to wielokrotnie, że śmiercią w całym słowa znaczeniu jest śmierć duchowa, a śmierć ciała jest „tylko” jej epifenomenem. Toteż właśnie ze śmiercią duchową związane jest najgłębsze przekleństwo śmierci. Przypomnijmy tu straszną alternatywę, wobec której postawiona została biblijna Zuzanna: albo zgrzeszysz i zachowasz opinię kobiety uczciwej, albo oskarżymy cię niesłusznie o cudzołóstwo i zostaniesz ukamienowana jako rozpustnica. Znamienne, że ona śmiercią nie nazywa morderstwa, na które miała niesprawiedliwie zostać skazana, tylko grzech, którego nie chce popełnić (Dn 13,22). Tę samą optykę w rozumieniu śmierci widzieliśmy w przyto-

czonym już tu zapisie z Księgi Mądrości, znajduje się ona również w znanym upomnieniu z Apokalipsy: „masz imię, że żyjesz, a jesteś umarły” (Ap 3,1).

Dosłownie przepaść dzieli z jednej strony biblijne, transcendujące wymiar empiryczny spojrzenie na śmierć jako na oderwanie się człowieka od Boga, pociągające za sobą ogrom bezsensu i przekleństwa, lęku i bólu, samotności i poniżenia, z drugiej zaś strony tanatologię filozofów greckich, którzy – mimo iż między sobą bardzo różnili się w ujmowaniu śmierci – zgodnie swoją uwagę skupiali na pytaniu, czym jest nasze ludzkie przemijanie i jak sobie poradzić ze strachem przed śmiercią.

Czym była śmierć Jezusa Chrystusa?

Przekleństwo śmierci – dla tych wszystkich, którzy nie chcą mu podlegać – zostało zdjęte, a znaczenie ludzkiej śmierci zostało gruntownie przewartościowane, przez to, że śmierć zgodził się przyjąć na siebie Pan nasz, Jezus Chrystus. On, Syn Boży, przyjął naszą ludzką naturę, stał się jednym z nas, ażeby nas wyzwolić z niewoli szatana, grzechu i śmierci, i żeby rozproszone dzieci Boże zgromadzić w jedno i pojednać ze swoim Ojcem. Swojego dzieła dokonał On przez przyjęcie na siebie całego przekleństwa śmierci i pokonanie szatana w miejscu jego największego zwycięstwa nad nami.

Przypatrzmy się zatem tajemnicy śmierci Chrystusa Pana. Zauważmy najpierw, że był On jedynym człowie-

kiem, który nie podlegał konieczności umierania. Jest On bowiem, również w swojej ludzkiej naturze, Synem Bożym, zatem kimś całoosobowo i nierozzerwalnie złączonym z Przedwiecznym Ojcem. Zresztą pojęcie złączenia z Ojcem, Źródłem życia, zbyt słabo oddaje istotę Jego stosunku do Ojca. Raczej trzeba powiedzieć, że Syn Boży Jezus Chrystus jest „jedno z Ojcem” (por. J 10,30), toteż jest On jedynym człowiekiem, o którym można prawdziwie powiedzieć, że jest On „życiem i zmartwychwstaniem” (J 11,25), a zatem kimś niewyobrażalnie więcej niż osobą nierozzerwalnie złączoną z Bogiem.

Nowy Testament wielokrotnie podkreśla, że Jezus nawet w swoim dobrowolnie przyjętym uniżeniu nie podlegał konieczności umierania. Śmierć przyjął On na siebie w pełnej dobrowolności, a umarł jako ktoś suwerenny nie tylko wobec tej nienawiści, która doprowadziła do Jego ukrzyżowania, ale również wobec własnej śmierci. W przeciwieństwie do każdego z nas, Jezus nie podlegał konieczności śmierci: umarł nie dlatego, że musiał, ale dlatego, że chciał oddać za nas swoje życie. „Nikt nie ma większej miłości od tej, gdy ktoś życie swoje oddaje za przyjaciół swoich” (J 15,13).

To prawda, że Pan Jezus stał się ofiarą ludzkiej nienawiści, ale to w tym sensie, że suwerennym aktem swej woli zgodził się na to, aby wymierzona przeciwko Niemu zła wola ludzi osiągnęła zamierzony skutek. W żaden sposób nie był On zdeterminowany logiką wydarzeń (jak to jest z nami, zwykłymi ludźmi), ale w każdym momencie tych wydarzeń w pełni dobrowolnie poddawał się ich logice.

W ten sposób z własnej woli stał się ofiarą za nasze grzechy, a decyzję tę podjął w ścisłej jedności z wolą swojego Ojca: „Ja życie moje oddaję za owce. Mam moc je oddać i mam moc je znów odzyskać. Taki nakaz otrzymałem od mojego Ojca” (J 10,17 i nast.).

Ewangelisci wielokrotnie podkreślają całkowitą bezsilność ludzkiej nienawiści wobec Niego oraz Jego pełną suwerenność wobec wrogów. „Porwali Go z miejsca, wyrzucili Go z miasta i wyprowadzili aż na stok góry, na której ich miasto było zbudowane, aby Go strącić. On jednak przeszedłszy pośród nich oddalił się” (Łk 4,29 i nast.); „Zamierzali Go pojmać, jednakże nikt nie podniósł na Niego ręki, ponieważ godzina Jego jeszcze nie nadeszła” (J 7,30; por. 7,44; 8,59; 10,31; 10,39).

Śmierć Jezusa Chrystusa na krzyżu była przede wszystkim dziełem niepojętej, wprost szalonej miłości Boga do ludzi: „Tak bowiem Bóg umiłował świat, że Syna swego Jednorodzonego dał, aby każdy, kto w Niego wierzy, nie zginął, ale miał życie wieczne” (J 3,16). Jezus przyjął śmierć na krzyżu nie dlatego, że w końcu dopadły Go mechanizmy nienawiści, jakie przeciwko Niemu uruchomiono, tylko dlatego, że z całą dobrowolnością wyszedł naprzeciw swojej śmierci, żeby poddać się tym mechanizmom nienawiści.

Zbawiciel był zarazem jedynym człowiekiem, który znał na sobie całego przekleństwa śmierci. To był nie tylko potworny, dla nas niewyobrażalny, ból fizyczny. Święty Tomasz z Akwinu zwraca uwagę na to, że taki sam ból różni ludzie mogą odczuwać różnie, zależnie od poziomu

wrażliwości. Należy zaś się domyślać, że wrażliwość Syna Bożego musiała być wyjątkowa, toteż fizyczny ból ukrzyżowania dla Chrystusa Pana był niewyobrażalnie bardziej bolesny niż ból odczuwany przez tych nieszczęśników, którzy przeszli przez analogiczne cierpienia.

Chrystus Pan doświadczył ponadto całej potworności odrzucenia, szyderstwa, pogardy, poniżenia. Mało byłoby powiedzieć, że to wszystko spotkało Go niesprawiedliwie. Jemu tak potwornie zapłacono za Jego miłość. Wielu z tych, którzy uczestniczyli w Jego zabijaniu, bezpośrednio zaznało Jego dobrodziejstw: zapewne byli wśród nich tacy, których On uzdrowił, którzy byli świadkami Jego cudów, zachwycali się Jego nauką, jedli cudownie rozmnożony przez Niego chleb. Ważną częścią śmiertelnej męki Chrystusa Pana była gorycz doznawanej przez Niego niewdzięczności.

Przede wszystkim jednak przeszedł On przez niewyobrażalne dla nas ciemności wewnętrzne, z wnętrza których wyrwała się z Jego serca poruszająca skarga: „Boże mój, Boże mój, czemuś Mnie opuścił?” (Mt 27,46; Mk 25,34). Owszem, musimy pamiętać, że jest to początek psalmu mesjańskiego, niemniej trudno mieć najmniejsze choćby wątpliwości co do tego, że skarga ta świadczy jednak o jakichś niepojętych ciemnościach, w których był On wówczas pogrążony. Możemy tylko się domyślać, że On – będący jedno ze swoim Ojcem – doznał wtedy (i nigdy nie zrozumiemy, na czym mogło to polegać) jakiegoś tajemniczego rozłączenia z Nim. Innymi słowy, On, Syn Boży, wszedł wtedy w sam środek śmierci przekłętej i doświad-

czył jej straszliwości, tak jak nie zaznał tego nawet największy bezbożnik, czyli ktoś naprawdę i ostatecznie odłączony od Boga.

I ludzie, i szatan zrobili wtedy naprawdę wszystko, żeby tego Człowieka oderwać od Jego Przedwiecznego Ojca, a przynajmniej żeby nadważyć w Nim Jego miłość i zawierzenie Ojcu. On jednak nawet w tym huraganie zła, w jakim się znalazł na Kalwarii, nie przestał naprawdę całym sobą kochać swojego Ojca, w konsekwencji czego nawet wówczas Jego miłość do wszystkich ludzi, własnych morderców nie wyłączając, nie straciła nic ze swojej kryształowości. Ten Człowiek nawet w samym środku śmierci, nawet doświadczając jakby oderwania od Ojca, był ze swoim Ojcem całym sobą złączony, i nawet z tamtego najbardziej przekłętą miejsca potrafił wołać: „Ojcze, w ręce Twoje oddaję ducha mego!” (por. Łk 23,46).

I to jest podstawowy sens Jego ofiary. Jeśli ofiarę zdefiniujemy jako miłość, realizowaną również wówczas, kiedy to trudne, a nawet kiedy to bardzo trudne i po ludzku niemożliwe, to Chrystus Pan złożył ofiarę jedyną i nie do powtórzenia: On trwał i wytrwał w idealnie całościowej miłości do swojego Ojca nawet w miejscu krańcowo od Niego oddalonym, nawet przechodząc przez całe przekleństwo śmierci. Odtąd nie ma już takiego miejsca, w którym musielibyśmy być oddzieleni od Boga. Nawet śmierć nie musi już być naznaczona swoim pierwotnym przekleństwem, a nawet więcej: możliwa się dla nas stała śmierć w Chrystusie, śmierć błogosławiona, będąca znakiem naszego ostatecznego odłączenia od grzechu.

Śmierć w Chrystusie

Chrystus Pan swoją śmiercią wszedł w miejsce największego oddalenia od Boga i okazało się wówczas, że jeśli się jest bez grzechu, to nawet tam można być prawdziwie złączonym z Bogiem, Źródłem życia. Stąd entuzjazm apostoła Pawła: „Gdzie jest, o śmierci, twoje zwycięstwo? Gdzież jest, o śmierci, twój oścień? Ościeniem zaś śmierci jest grzech” (1 Kor 15,55 i nast.).

Tu jednak pojawia się pytanie następujące: Chrystus Pan nawet na krzyżu był Synem Bożym, my jesteśmy zwykłymi ludźmi, On był bez grzechu, my jednak jesteśmy grzesznikami. Przecież nie potrafimy zachować się w śmierci tak jak On! W ten sposób doszliśmy do podstawowego przesłania Nowego Testamentu na temat śmierci: Chrystus Pan, który zmartwychwstał, ma moc zwyciężać przekleństwo śmierci w każdym, kto Mu zawierzy samego siebie. Zaczyna zaś Zbawiciel od uderzenia w samo ognisko śmierci, w grzech, i w spowodowaną przez grzech śmierć duchową. Miejscem, w którym rozpoczyna się przedstawienie znaków śmierci – zastąpienie śmierci przekłętą śmiercią błogosławioną – jest chrzest, który usuwa nasze rozłączenie z Bogiem i rozpoczyna w nas rozłączanie się od grzechu.

„Czyż nie wiadomo wam – mówi o tej radykalnej inwersji znaczenia śmierci apostoł Paweł – że my wszyscy, którzy otrzymaliśmy chrzest zanurzający w Chrystusa Jezusa, zostaliśmy zanurzeni w Jego śmierć? Zatem przez

chrzest zanurzający nas w śmierć zostaliśmy razem z Nim pogrzebani po to, abyśmy i my wkroczyli w nowe życie. Jeżeli bowiem przez śmierć, podobną do Jego śmierci, zostaliśmy z Nim złączeni w jedno, to tak samo będziemy z Nim złączeni w jedno przez podobne zmartwychwstanie” (Rz 6,3–5).

Owszem, nasze ciała nadal są śmiertelne, jednak całe życie doczesne człowieka ochrzczonego może – i powinno – poprzez coraz to głębsze umieranie razem z Chrystusem dla grzechu przemienić się w drogę do życia wiecznego. Dopóki jesteśmy grzeszni, złowieszczy cię śmierci przeklętej nie został jeszcze od nas ostatecznie usunięty. Jeżeli jednak grzech nad nami nie panuje, jeżeli żyjemy w łasce uświęcającej, już teraz ogarnia nas błogosławione światło śmierci w Chrystusie, która polega na ostatecznym odłączeniu od grzechu, aby na zawsze być z Bogiem. Stąd w Nowym Testamencie tak często mówi się o śmierci w duchu nadziei, a nawet radości. „Wiemy – powiada apostoł Paweł – że jeśli nawet zniszczy nasz przybytek doczesnego zamieszkania, będziemy mieli mieszkanie od Boga, dom nie ręką uczyniony, lecz wiecznie trwały w niebie” (2 Kor 5,1). Toteż „nie smućcie się, jak ci wszyscy, którzy nie mają nadziei” (por. 1 Tes 4,13). Bo „jeżeli żyjemy, żyjemy dla Pana; jeżeli zaś umieramy, umieramy dla Pana. I w życiu więc, i w śmierci należymy do Pana” (Rz 14,8).

Ostatecznie śmierć zostanie pokonana w dniu zamknięcia dziejów. „Jako ostatni wróg zostanie pokonana śmierć” (1 Kor 15,26). Wówczas „ci, którzy pełnili dobre czyny,

„GDZIEŻ JEST, O ŚMIERCI, TWOJE ZWYCIĘSTWO?”

pójdą na zmartwychwstanie życia, ci zaś, którzy pełnili złe czyny – na zmartwychwstanie potępienia” (J 5,29). Następująco zaś „rzecz się ma ze zmartwychwstaniem: zasiewa się ciało zniszczalne – powstanie niezniszczalne; sieje się niechwalebne – powstaje chwalebne; sieje się słabe – powstaje mocne; zasiewa się ciało zmysłowe – powstaje ciało duchowe” (1 Kor 15,42–44).

Człowiek umierający jest naszym bliźnim

Chcemy czy nie chcemy, w naszym stosunku do człowieka umierającego odsłania się sama istota tego, co w ogóle sądzimy na temat sensu ludzkiego życia, w tym również sensu naszego własnego życia. Generalnie, stając w obliczu człowieka znajdującego się w sytuacji terminalnej, realizujemy którąś z postaw, które spróbuję tu pokrótce scharakteryzować. Używam pierwszej osoby liczby mnogiej, bo problem dotyczy nas wszystkich. Zanim sami umrzemy, każdemu z nas nieraz przychodzi uczestniczyć w umieraniu kogoś bliskiego, natomiast dla pielęgniarek i lekarzy czynne towarzyszenie ludziom umierającym stanowi zazwyczaj istotny wymiar ich codziennej pracy zawodowej.

Różne modele naszego stosunku do ludzi umierających

Odmienne modele naszego stosunku do ludzi umierających rozróżniłbym mniej więcej następująco:

1. Uprzedmiotowanie człowieka umierającego. Zgodnie z taką postawą, człowiek umierający jest obsługiwany, pielęgnowany, otoczony troską medyczną, ale sam ma niewiele do powiedzenia. Praktycznie traktowany jest tak, jakby był małym dzieckiem, nawet jeśli jest sprawny umysłowo i zdolny do podejmowania decyzji. Pełną władzę nad nim sprawuje służba medyczna oraz, w mniejszym stopniu, jego najbliżsi.

Ten model ujawnia, jak się wydaje, antropologię kolektywistyczną i znajdziemy go m.in. w źródłach starogreckich. Dla Greków człowiek chory liczył się przede wszystkim jako ktoś potrzebny wspólnocie. Owszem, lekarz starogrecki pod żadnym pozorem nie ingeruje w samą tajemnicę życia, jednak podstawowym jego zadaniem jest pomoc w odzyskiwaniu zdrowia, a nie opieka nad nieuleczalnie chorym. Platon pisał brutalnie – choć ówczesni Grecy prawdopodobnie nie zauważali zawartego w tych słowach okrucieństwa – że medycyna ma „służyć obywatelom, których (...) ciała są udane, a co do innych, to jeśli ciała będą mieli liche, tym pozwoli się umrzeć”.

W naszej chrześcijańskiej Europie, dopiero wskutek osłabienia wiary w życie wieczne, wyszło na jaw, jak wiele było w nas takiego właśnie stosunku do człowieka umierającego. Świadczy o tym rozpowszechniona w swoim czasie maniera konsekwentnego ukrywania przed umierającym prawdy o jego położeniu. Lew Tołstoj, w noweli *Śmierć Iwana Iljicza*, genialnie odsłonił całą niehumanitarną naturę tej manieri, pokazując, że swoim udawaniem tylko zwiększamy naszym bliskim ból umierania, a zwiększamy tym

więcej, im bardziej komedianckie, im mniej delikatne jest to nasze udawanie.

2. Model indywidualistyczny. Zdobywa on coraz większą popularność, co wypływa z tak rozpowszechnionego dziś zwątpienia w ostateczny sens ludzkiego życia. W myśl tej postawy umieranie jest sprawą ściśle prywatną i niemal nieprzystwoitą. Każdy ma swoje własne sprawy, toteż w miarę możliwości nie powinno się swoim umieraniem sprawiać innym kłopotu, nie trzeba się też dziwić temu, że ludzie mogą nie mieć czasu nawet dla umierającego ojca czy matki. Dom „spokojnej” starości, wyrzucanie umierających z domu do szpitala (jako norma, bo, rzecz jasna, to całkiem zrozumiałe, że nieraz nasi bliscy, ze względu na potrzebę specjalistycznej pomocy, umierają w szpitalu), a nawet podpowiadanie eutanazji – to podstawowe przejawy indywidualistycznego podejścia do ludzi umierających.

Przy tym podejściu postuluje się coraz częściej pełne informowanie chorego o zaawansowaniu jego choroby i wejściu w stan terminalny – a ponieważ mentalność indywidualistyczna z zasady osłabia więzi międzyludzkie i nie docenia znaczenia wzajemnej miłości, przekazanie tej prawdy umierającemu dokonuje się nieraz bez należytej delikatności, w sposób okrutny. Główny współczesny ideolog tej mentalności, Peter Singer, nie waha się głosić, że ktoś całkowicie i bezpowrotnie zdany na czyjąś opiekę właściwie nie jest już człowiekiem – jest ludzkim złodem, eks-człowiekiem – toteż nie ma nic nagannego w spowo-

dowaniu jego śmierci. Jakby symbolicznym podsumowaniem takiego podejścia do ludzkiego umierania jest chęć – realizowana zazwyczaj poprzez decyzję o kremacji zwłok i rozsianiu prochów na cztery strony świata – niepozostawienia po sobie nawet grobu.

3. Podejście personalistyczne. Ten model stosunku do człowieka umierającego jest najbardziej zgodny z Ewangelią, obecnie rozszerza się zwłaszcza dzięki ruchowi hospicyjnemu. Istotę stanowi tutaj głębokie przeświadczenie, że człowiek umierający jest aż do samego końca prawdziwym i pełnym człowiekiem, a więc naszym bliźnim, ze względu zaś na swoją terminalną sytuację najszczególniej zasługuje na miłość. Temu podejściu poświęcimy w niniejszym tekście uwagę szczególną, teraz to tylko dopowiedzmy, że norma personalistyczna postuluje, ażeby człowiek umierający – na ile tylko jest do tego zdolny – podmiotowo współtworzył sytuację swojego odchodzenia. Wynika to z przeświadczenia o niedającej się ująć w kryteriach ilościowych godności osoby ludzkiej, częściowo zaś z przeświadczenia, że czas umierania jest być może najważniejszym czasem naszego życia.

4. Model dalekowschodni. Ten model stosunku do umierających jedynie odnotujemy. Mimo wzrastającej popularności religii dalekowschodnich nie wydaje się bowiem, żeby był on wśród nas znacząco obecny. Stosunek do ludzkiego umierania jest w kulturach dalekowschodnich przeniknięty wiarą w obowiązywalność prawa kar-

my¹ oraz (albo) wiarą, iż zarówno cierpienie, jak śmierć są czym złudnym².

¹ Por. następujące świadectwo: Idąc ku brzegowi Gangesu, „w półmroku potknąłem się o coś, co wydało mi się ludzkim ciałem. Zatrzymałem się zdumiony, spojrzałem pod nogi i dostrzegłem, w bladym świetle świtu, mężczyznę leżącego na gołej ziemi, którego ciałem wstrząsały dreszcze i który cicho jęczał. Pochyliłem się nad nim i chciałem wzywać pomocy, lecz usłyszałem głos guru: »Chodź, zostaw go...«. Widząc moje wahanie, dorzucił: »Taka jest jego karma«. Stałem przez moment osłupiały, po czym, posłuszny Mistrzowi, podążyłem za nim niby automat nad świętą rzekę. (...) Chociaż nas to szokuje, odpowiedź guru była logiczna w kontekście hinduskiej wizji reinkarnacji. Skoro ów człowiek kończył to życie w tak dramatycznych okolicznościach, w całkowitej samotności i powszechnej obojętności, musiało to być skutkiem złych czynów popełnionych w poprzednim wcieleniu, za które płacił teraz zgodnie z prawami karmy. Udzielenie pomocy przeszkodziłoby mu w przeżyciu tej bolesnej karmy w tym konkretnym wcieleniu i zmusiło do oczekiwania na karę w kolejnym życiu. Reakcja otoczenia nie wypływa tak naprawdę z obojętności, lecz ze swoistego fatalizmu. (...) Pamiętajmy, że na samym początku swej działalności Matka Teresa ściągnęła na siebie potępienie części władz religijnych zarzucających jej zakłócanie prawa karmy, a tym samym naruszanie harmonii Dharma”. Joseph-Marie Verlinde, *Zakazany owoc. Z aśramu do klasztoru*, Wydawnictwo M, Kraków 1999, s. 105.

² Por. opowieść buddyjska o śmierci mistrza Radzana: „Kiedy czuł, że śmierć jest już blisko, Radzan zawołał wszystkich do sali Buddy i wspiął się na miejsce, z którego zwykle wygłaszał mowy. Najpierw rozwarł swoją lewą rękę i trzymał ją w tej pozycji przez kilka minut. Nikt nie zrozumiał, więc polecił odejść mnichom ze wschodniej części klasztoru. Następnie rozwarł swą prawą dłoń. Nadal nikt nie rozumiał, polecił więc, aby odeszli mniisi z zachodniej części klasztoru. Pozostali jedynie ludzie świeccy. Do nich mistrz rzekł: »Jeżeli naprawdę chcecie okazać Buddzie wdzięczność za jego współczucie dla was, nie szczędźcie wysiłków w głoszeniu Dharma. A teraz wynoście się! Wynoście się stąd!«. Potem, śmiejąc się głośno, mistrz upadł martwy”. *Koło życia i śmierci*, red. Philippe Kapleau, Wydawnictwo Pusty Obłok, Warszawa 1986, s. 68 i nast.

Postawa personalistyczna wobec ludzkiej śmierci

Dalszą część rozważań skupię na przedstawieniu – w wymiarze zarówno teorii, jak praktyki – postawy trzeciej, bez wątpienia najbardziej właściwej, którą zresztą streszcza sam tytuł niniejszego tekstu. Chociaż postawa personalistyczna w stosunku do umierających wyrasta z ducha Ewangelii, wydaje się, że jest ona zrozumiała i dostępna również dla niechrześcijan, a także dla wielu niewierzących. Ujmijmy ją w punktach:

1. Uszanować godność człowieka umierającego oraz powagę śmierci. Spełnienie tego postulatu jest czymś niezwykle trudnym – ostatecznie zaś, chyba niemożliwym – jeżeli życiu ludzkiemu odmawia się jakiegoś, wychodzącego poza ramy naszego życia doczesnego, sensu ostatecznego (choćby nawet nie do końca uświadomionego i trudnego do nazwania). Przecząc transcendowaniu naszego życia ponad doczesność, trudno bowiem uniknąć dewaloryzacji jego terminalnego odcinka, jako rzekomo coraz bardziej bezwartościowego i zmierzającego do nicości. Brutalna i niehumanitarna filozofia Petera Singera nie jest, jak się wydaje, tylko cynicznym wybrykiem nieodpowiedzialnego myśliciela, ale stanowi wyciągnięcie logicznych konsekwencji z antropologii materialistycznej.

2. Uznać, że śmierć nie jest złem absolutnym. Warunkiem prawidłowego stosunku do ludzkiego umierania (w przyszłości, również naszego umierania) jest opar-

cie się na prawdzie, że śmierć na pewno nie jest największym złem, jakie może spotkać człowieka. Zaprzeczenie tej prawdy oznaczałoby wręcz zakwestionowanie naszego człowieczeństwa, wówczas bowiem trzeba by pogodzić się z tym, jakoby nie było wartości, dla których warto poświęcić życie. Nie jest rzeczą przypadku, że niemal zoologiczne przerażenie faktem śmierci i chęć magicznego jej unieważnienia pojawiły się zwłaszcza w kręgu cywilizacji nastawionej raczej na wartości typu „mieć” niż „być”. Wszystkie bowiem wartości większe niż życie są wartościami tworzącymi nasze „być” i mentalność konsumpcyjna jest na nie mało wrażliwa.

3. Wierzyć w szczególną wartość mądrego znoszenia zła. Możliwość rozpoznania w sytuacji terminalnej szczególnie ważnego odcinka naszego życia wiąże się z uznaniem, że miarą naszego człowieczeństwa nie jest ani sprawność biologiczna i psychiczna, ani przydatność społeczna, ani nawet zdolność do czynienia dobra. Nawet bowiem czynienie dobra – choć jest ono w naszym życiu czymś bardzo ważnym – nie jest ostatecznym celem naszego życia. W tradycji chrześcijańskiej zawsze starannie podkreślano, że cierpliwe znoszenie zła, jakiego nie da się uniknąć (różnego zła, nie tylko zła związanego z umieraniem), jest czymś ważniejszym nawet niż czynienie dobra. Dlatego ważniejszym, że podczas gdy czynienie dobra jest wydawaniem właściwych człowiekowi owoców, to mądre znoszenie zła kształtuje, oczyszcza i pogłębia nas samych. Mądre znoszenie zła związanego z umieraniem kształtuje nas ostatecznie.

4. Szczególna komunia z człowiekiem umierającym.

Są co najmniej dwa wielkie powody, dla których okazywanie człowiekowi umierającemu miłości i solidarności, obdarzanie go naszą posługą i kochającą obecnością, bardziej nas zobowiązuje i jemu bardziej jest potrzebne, niż kiedykolwiek. Jest tak najpierw dlatego, że znajduje się on w stanie postępującej utraty sił, a nieraz w stanie zupełnej bezsilności. Ponadto, jest to jego ostatnie zmaganie o dopełnienie sensu swojego życia, zatem zmaganie najszczególniej ważne. Wydana w roku 1995 przez Papieską Radę ds. Duszpasterstwa Służby Zdrowia *Karta pracowników służby zdrowia* zawiera piękny i głęboki opis tej miłości, jaka należy się człowiekowi umierającemu: „Miłość oznacza udzielającą się i przyjmującą obecność, która ustala z umierającym komunię, na którą składa się uwaga, zrozumienie, troska, cierpliwość, życzliwość i darmowość” (nr 132).

5. Troszczyć się o każdy okrucieństwo podmiotowości człowieka umierającego. Nie ma prawdziwej miłości bez uszanowania podmiotowości tego, kogo kochamy. Sytuacja człowieka umierającego jest o tyle szczególna, że zazwyczaj nie ma on już pełnych możliwości objawiania swojej podmiotowości, aktywnego współtworzenia sytuacji, w jakiej się znajduje. Rzecz w tym, że trzeba mu to ułatwiać, na ile to tylko możliwe. Człowiek chory nieraz zachowuje się jak dziecko, nieraz też sama natura dokona jego jakby uprzedmiotowienia i wówczas trzeba go otaczać troską stosownie do tej sytuacji. W żadnym wypadku nie powinno się jednak dążyć do infantylizacji czy uprzedmiotowie-

nia człowieka umierającego, ani tych stanów pogłębiać. Szacunek dla podmiotowości człowieka znajdującego się w sytuacji terminalnej jest jednym z szczególnie cennych postulatów ruchu hospicyjnego.

6. Starać się prawdę przesycać miłością, a miłość – prawdą. Autentyczna miłość do człowieka umierającego pomaga rozwiązać dylemat: „Mówić mu czy nie mówić prawdy o jego terminalnej sytuacji?”. Z pewnością fałszywa to miłość, która wyraża się okłamywaniem tego, kogo się kocha. Zarazem przejawem nie miłości, ale doktrynerstwa, może być decyzja o pełnym poinformowaniu umierającego o jego sytuacji, nawet gdybyśmy starali się decyzję tę zrealizować z całą delikatnością i taktem. Nie jest przecież tak, że w chorobie, nawet uznanej przez lekarza za terminalną, wszystko jest zdeterminowane. Bardzo wiele zależy od samopoczucia chorego, od jego woli życia. Zbyt jednoznaczna informacja na temat zbliżającej się śmierci, choćby podana jak najdelikatniej, może w chorym stłumić wolę życia. Jak się wydaje, prawda sytuacji terminalnej domaga się od ludzi uczestniczących w umieraniu drugiego człowieka – z jednej strony, uszanowania powagi sytuacji, z drugiej strony, budzenia pokoju i podtrzymywania nadziei (stosownie do konkretnych okoliczności). Mamy wystarczająco wiele środków komunikacji, również niewerbalnej, żeby ten postulat zrealizować.

7. Przywracać społeczny wymiar ludzkiemu umieraniu. Przewyciężenie przesądu, jakoby śmierć była nieszczę-

ściem ostatecznym, będzie nam pomagało w odbudowywaniu społecznego wymiaru ludzkiego umierania. Wskutek pojawienia się w naszych współczesnych obyczajach panicznego lęku przed śmiercią i desperackiego nieprzyjmowania do wiadomości faktu nadchodzącej śmierci naszej własnej lub w naszym najbliższym otoczeniu, śmierć współczesna jest często odarta z wielu bezcennych wartości. Zbliżająca się rozłąka może być przecież – przywołajmy choćby spowiedź Jacka Soplicy – niepowtarzalną szansą pojednania skłóconych i wybaczenia krzywdziicielom. Biblijne opisy prawdziwie ludzkiego zgonu – na przykład patriarchy Jakuba (Rdz 48–49), jego syna Józefa (Rdz 50,24–26), króla Dawida (1 Krl 2) czy Tobiasza (Tb 2) – świadczą o tym, że śmierć była nieraz przeżywana jako najszczególniej głębokie pożegnanie; błogosławieństwo umierającego i jego ostatnie słowo było przyjmowane z niedającym się zapomnieć pietyzmem; między umierającym i tymi, których on na tej ziemi zostawiał, wytwarzała się jedyna w swoim rodzaju komunია. Wszystkie te – dobre – wymiary śmierci pozostaną dla nas niedostępne, jeśli będziemy kontynuowali irracjonalne udawanie, że śmierć nikomu z nas się nie zdarzy.

8. Postulat „ewangelizowania ludzkiej śmierci”. Śmierć ma również – w każdym razie dla człowieka wierzącego – swój wymiar religijny. Zawsze jest czymś pożałowania godnym, kiedy z czyjejś winy człowiek umierający jest pozbawiony szansy pojednania z Bogiem, zanim stanie przed Jego sądem. Wspomniana już *Karta pracowników służby*

zdrowia mówi o potrzebie „ewangelizowania śmierci, to znaczy głoszenia Dobrej Nowiny umierającemu” (nr 131) – i od razu wyjaśnia, że w specyficznej sytuacji człowieka umierającego owa ewangelizacja dokonuje się zwłaszcza na trzy sposoby: poprzez obdarzanie miłością, modlitwę oraz posługę sakramentów. Z doświadczenia wiem, z jak wielką wdzięcznością człowiek ciężko chory, który już nie ma siły nawet na to, żeby się modlić, przyjmuje podpowiedź, że w jego sytuacji prawdziwą modlitwą będzie samo tylko spojrzenie na wizerunek Ukrzyżowanego czy na obraz Matki Bożej, albo samo tylko trzymanie w ręku różańca.

Pokarm na życie wieczne

Zachowało się świadectwo pochodzące z połowy III wieku, że już wówczas dla chrześcijan było czymś oczywistym, że powinno się, choćby i w środku nocy, zbudzić kapłana, ażeby przyniósł umierającemu komunię świętą. Świadectwo pochodzi od Fabiusza, który był biskupem Antiochii podczas prześladowań zarządzonych przez cesarza Decjusza (r. 251), a zachowało się dzięki Euzebiuszowi z Cezarei (*Historia kościelna*, 6, 44, 4).

Jak wielką wagę człowiek wierzący przykłada (albo powiedzmy ostrożniej: powinien przykładać) do tego, żeby nie odejść z tego świata bez sakramentów, świadczy modlitwa: „Od nagłej i niespodziewanej śmierci, zachowaj nas, Panie”. Oceniając w kategoriach tylko doczesnych, śmierć szybka i niespodziewana mogłaby nam bardziej odpowiadać. Sam Pan Jezus jednak przestrzegał nas przed tym, żeby Jego przyjście ostatnie nie zastało nas nieprzygotowanymi (por. Mt 24,42–25,13). A cóż nas lepiej przygotowuje na spotkanie z boskim Sędzią niż sakrament pokuty

„GDZIEŻ JEST, O ŚMIERCI, TWOJE ZWYCIĘSTWO?”

przed odejściem z tego życia doczesnego oraz zjednoczenie z miłosiernym Zbawicielem w komunii świętej, którą On sam dał nam jako pokarm na życie wieczne?

Komunia na łożu śmierci uważana jest w Kościele za coś tak ogromnie ważnego, że określana jest osobną nazwą. Przypomnijmy prośbę umierającego Księdza Robaka, czyli Jacka Soplicy:

teraz, mój bracie, poślij do plebana,
Aby tu jak najrychlej przybył z wijatykiem

„Wiatyk” znaczy: zaopatrzenie na podróż. Mało byłoby powiedzieć, że tu chodzi o podróż najważniejszą. Tej „podróży” nie da się porównać z żadną inną. Od tego, jak ona wypadnie, zależy nasz los wieczny. Ale też „zaopatrzeniem”, jakie na tę drogę otrzymujemy, jest sakrament, w którym jest obecna sama boska Osoba naszego Zbawiciela. Nic dziwnego, że Jego wyznawcom zawsze tak bardzo zależało na tym, ażeby nie iść na sąd Boży bez tego „wiatyku”.

Co na temat wiatyku mówi Ewangelia?

Wczytajmy się uważnie w szósty rozdział Ewangelii Jana. Otwiera go opis cudownego rozmnożenia chleba. Nakarmiony tłum ogarnął entuzjazm, że oto zaczynają się czasy mesjańskie. „Mówili: Ten prawdziwie jest prorokiem, który miał przyjść na świat”. Postanowili więc „przyjść i porwać Go, aby obwołać królem”. Rzecz jasna, królem mesjańskim. Jezus wtedy usunął się, a kiedy tłumowi udało

się w końcu Go dopaść, okazało się, że chodziło im jedynie „o ten pokarm, który ginie”. Rozmnożenie chleba tłum odebrał jako początek cudu manny, którą Bóg karmił swój lud przecież codziennie. Toteż wielkie było rozczarowanie tego tłumu, kiedy okazało się, że Jezus nie zamierza cudu kontynuować: „Jakiego więc dokonasz znaku, abyśmy go widzieli i Tobie uwierzyli? Ojcowie nasi jedli mannę na pustyni”. W ogóle zapomnieli o tym, że manna była pokarmem w drodze do ziemi obiecanej; pamiętali tylko o tym, że manną lud był karmiony codziennie.

Teraz Jezus cierpliwie wyjaśnia tym ludziom, że zarówno manna, jak ta ziemia, do której Bóg doprowadził swój lud w czasach Mojżesza, były jedynie zapowiedzią darów niewyobrażalnie większych, jakimi chce On obdarować nas teraz: „Zaprawdę, zaprawdę, powiadam wam: Nie Mojżesz dał wam chleb z nieba, ale dopiero Ojciec mój da wam prawdziwy Chleb z nieba”. Następnie wyjaśnia Jezus, że to On sam jest Chlebem życia. I nie zważając na protesty słuchaczy, oznajmia: „Ja jestem Chlebem żywym, który zstąpił z nieba”. Co więcej: „Zaprawdę, zaprawdę, powiadam wam: Jeżeli nie będziecie spożywali Ciała Syna Człowieczego i nie będziecie pili Krwi Jego, nie będziecie mieli życia w sobie”.

Przedstawiona przez Jezusa obietnica Eucharystii jako pokarmu w naszej drodze do życia wiecznego spotkała się jednak ze stanowczym sprzeciwem słuchaczy. Ewangelista zapisał, że „odtąd wielu uczniów Jego się wycofało i już z Nim nie chodziło”. Mimo to Jezus swojej obietnicy nie odwołał ani nie złagodził. On naprawdę postanowił

nas obdarzyć Chlebem na życie wieczne, swoim własnym Ciałem. I naprawdę nie chciał mieć nic wspólnego z popularnymi wówczas wyobrażeniami na temat Mesjasza. On przyszedł do nas, żeby być Mesjaszem prawdziwym, Tym, który poprowadzi wszystkich, którzy w Niego uwierzą, do ziemi obiecanej życia wiecznego.

Pozostała wtedy przy Jezusie jedynie garstka najbliższych uczniów. Nawet tej garstki nie zamierzał Jezus zatrzymywać przy sobie na siłę. „Czyż i wy chcecie odejść?” – zapytał ich. „Ty masz słowa życia wiecznego” – odpowiedział Mu wtedy Szymon Piotr. To z tej garstki miał wyrósć lud mesjański Nowego Przymierza, zmierzający do ziemi obiecanej nowej, wiekuistej. Mesjasz, Chrystus, karmi nas w tej drodze swoim własnym Ciałem, bo przecież życie wieczne na tym polega, że zostaniemy wtedy „napełnieni całą Pełnią Bożą” (Ef 3,19).

Z powyższego jasno wynika, że komunია na łożu śmierci, komunია przyjęta tuż przed odejściem z tego świata, jest wiatykiem w sensie szczególnie uprzywilejowanym. Natomiast wiatykiem w sensie ogólnym jest dosłownie każda komunია godnie przyjęta. Bo przecież każda komunია święta jest spożywaniem „Chleba żywego, który zstąpił z nieba, i jeśli kto spożywa ten Chleb, będzie żył na wieki”.

Szczególne znaczenie komunii świętej w godzinę śmierci

W Kościele od samego początku żarliwie wierzone, że Eucharystia jest darem na życie wieczne. W roku mniej

więcej 108 św. Ignacy z Antiochii pisał w swoim liście do Efezjan (20,2), że ten Chleb „jest lekarstwem nieśmiertelności, środkiem na to, by nie umrzeć, ale żyć nieustannie w Jezusie Chrystusie”.

Z kolei św. Ireneusz, największy teolog drugiej połowy II wieku, zwracał uwagę na to, że przyjmowanie Ciała i Krwi Pańskiej stanowi gwarancję przyszłego chwalebnego zmartwychwstania ciała: Skoro ciało jest zdolne przyjąć tak wielki dar Boży i karmić się Ciałem i Krwią Pana, to niewątpliwie przeznaczone jest ono do zmartwychwstania i życia wiecznego (por. *Adversus haereses*, 4, 18, 5; 5, 2, 2).

Szczególne znaczenie rozgrzeszenia i komunii świętej na łożu śmierci uświadomiono sobie w Kościele najpierw w odniesieniu do odsuniętych od komunii pokutników. Tych, którzy dopuścili się jakiegoś grzechu szczególnie ciężkiego, w Kościele starożytnym wykluczano ze wspólnoty eucharystycznej – zazwyczaj na kilka długich lat. W tej sytuacji musiało się bardzo szybko pojawić pytanie następujące: Czy wolno nam zostawić bez rozgrzeszenia i komunii tych pokutników, którzy odchodzą z tego świata, zanim dopełnili wyznaczoną im pokutę?

W 250 roku, po męczeńskiej śmierci papieża Fabiana, zanim jeszcze wybrano nowego papieża (Korneliusza, też zresztą wkrótce męczennika), duchowieństwo rzymskie zwróciło się z tym problemem do wielkiego ówczesnego autorytetu kościelnego, biskupa Kartaginy, Cypriana. Autorzy listu chcieli przede wszystkim poinformować św. Cypriana, jak takie sytuacje rozwiązuje się w Kościele

rzymskim – że postanowiliśmy nie zostawiać tych naszych braci bez ostatnich sakramentów:

Kiedy komuś rychła śmierć grozi, a zwlekać już nie można, wówczas o ile pokutowali, często ze skrucą wyznawali swą winę, i łzami, westchnieniami, lamentami, z żalem objawiali znaki prawdziwej pokuty, to należy ostrożnie i troskliwie udzielić im pomocy [tzn. udzielić im rozgrzeszenia i komunii], zwłaszcza wtedy, kiedy po ludzku nie ma już żadnej nadziei utrzymania ich przy życiu (*Listy*, 30, 8).

Jednak – dziś aż strach czytać te rozporządzenia kościelne, wydane jeszcze w czasach prześladowań – niektóre grzechy wykluczały od komunii nawet w godzinę śmierci. Mówiono takim grzesznikom: „Błagaj Boga, żeby On okazał ci miłosierdzie, ale my do komunii dopuścić cię nie możemy”. Kapłan pogański – żeby podać jakiś konkretny przykład – który dostał łaski obmycia wodą chrztu i potem znów składał ofiarę bałwochwalczą, „nawet na końcu nie otrzyma komunii” – orzeka ok. roku 306 kanon 2 synodu w Elwirze. Podobnie kanon 71: „Gwałciciele dzieci nawet na koniec nie otrzymają komunii”.

Wkrótce prześladowania minęły i już w roku 325 sobór powszechny w Nicei upomniał się o możliwość przyjęcia wiatyku przez największych nawet grzeszników:

Tego, kto znajduje się w obliczu śmierci, nie należy pozbawiać ostatniego i najbardziej koniecznego wiatyku. Niech będzie regułą obowiązującą, że biskup, po niezbędnym zbadaniu sprawy, dopuści do udziału w ofierze i udzieli Eucharystii temu, kto znalazł się w niebezpieczeństwie śmierci i prosi o wiatyk (kanon 13).

Wydaje się, że tylko jedną sytuację wątpliwą rozwiązywano w tamtych czasach inaczej. Mianowicie jeżeli grzesznik wcześniej w ogóle nie zabiegał o pojednanie z Kościołem i na dopuszczeniu do komunii specjalnie mu nie zależało – wówczas, jeżeli w godzinę śmierci prosił o sakramenty, udzielano mu tylko rozgrzeszenia. Ale i ten rygorystyczny wyjątek łagodzi ostatecznie – w roku 405 – papież Innocenty I, który prosił tych, co „w ostatniej chwili swego życia zabiegają jednocześnie o pokutę i pojednanie w komunii”, poleca tak oto rozwiązywać:

Poprzedni zwyczaj pozwalał na to, żeby udzielano im pokuty, lecz odmawiano komunii. Kiedy bowiem w tamtych czasach były częste prześladowania, słusznie odmawiano komunii w obawie, że łatwe dopuszczenie do komunii nie powstrzyma od upadku tych ludzi, którzy mieliby pewność [przyszłego] pojednania. Udzielano im jednak pokuty, by nie odmawiać im całkiem wszystkiego. Okoliczności czasu spowodowały większą surowość w rozgrzeszaniu. Ale gdy nasz Pan przywrócił pokój swoim Kościołom, postanowiono udzielać komunii razem z ostatnią pokutą, aby tacy ludzie jeszcze w ostatnich swoich chwilach, za łaską naszego Zbawiciela, zostali uwolnieni od wiecznej zagłady (nowe *Breviarium fidei*, 43).

Jak widzimy, w Kościele przywiązuje się – i to praktycznie od zawsze – najwyższą wagę do tego, ażeby możliwie każdy chrześcijanin otrzymywał przed śmiercią „zaopatrzenie na drogę” w postaci rozgrzeszenia i komunii świętej. Również w naszym pokoleniu powinniśmy pielęgnować najwyższą troskę o to, żeby ani samemu nie odejść z tego świata bez sakramentów, ani nie zaniedbać tego w stosun-

ku do naszych bliskich, jeżeli będą się wybierać do domu Ojca przed nami. Przypomina o tym kanon 921 Kodeksu Prawa Kanonicznego:

§ 1. Wierni znajdujący się z jakiegokolwiek przyczyny w niebezpieczeństwie śmierci, powinni być umocnieni Komunią świętą na sposób Wiatyku.

§ 2. Chociażby tego dnia przyjęli już Komunię świętą, to jednak bardzo się zaleca, aby – znalazłszy się w niebezpieczeństwie śmierci – otrzymali ponownie Komunię świętą.

§ 3. Gdy niebezpieczeństwo śmierci trwa dłużej, zaleca się, aby Komunia święta była udzielana wielokrotnie, w poszczególnych dniach.

Kanon 922 dodaje jeszcze, że „udzielenia Wiatyku chorym nie należy zbytnio odkładać. Duszpasterze powinni pilnie czuwać nad tym, by chorzy byli posilani wtedy, gdy są jeszcze w pełni świadomości”. Wiele miejsca temu tematowi poświęca się również w *Katechizmie Kościoła Katolickiego*. Warto pod tym kątem spojrzeć na numery 922, 1020, 1392, 1517 oraz 1524 i 1525.

Owszem, kiedy zdarzy się, że ktoś z naszych bliskich odszedł z tego świata bez sakramentów, wówczas polecamy go nieskończonemu Bożemu miłosierdziu i z ufnością modlimy się o jego zbawienie. Jednak byłoby fatalną lekomyślnością nie dbać o sakramenty w imię tego, że miłosierdzie Boże jest przecież nieskończone. To prawda, że Bóg nie jest związany sakramentami i ma moc także i bez nich obdarzyć zbawieniem. Ale prawdą jest również to, że Chrystus Pan ustanowił sakramenty jako konieczne do

zbawienia (por. Mk 16,16; 6,53). Temat ten omówiony jest we wspomnianym *Katechizmie*, zwłaszcza w numerach 1127–1130 oraz 1257–1261.

Na koniec opowiem o rozmowie związanej z naszym tematem, jaką miałem stosunkowo niedawno. Mówił mi ktoś o swojej umowie z żoną, że jeżeli któreś z nich znajdzie się w niebezpieczeństwie śmierci, wówczas to drugie z całą otwartością powie mu, co się dzieje, i przypomni o przyjęciu sakramentów. Poszedł ów człowiek do szpitala z czymś stosunkowo niegroźnym, sytuacja jednak zaczęła się komplikować, z czego on zupełnie nie zdawał sobie sprawy. Żona zachowała się jednak zgodnie z umową – z wielkim ciepłem poinformowała go, że trzeba się liczyć nawet z najgorszym; wówczas on sam poprosił o księdza. Kiedy wyzdrowiał, poczuł potrzebę pochwalenia się przede mną swoją żoną: „Teraz już mam pewność, że moja żona nie puści mnie na sąd Boży bez sakramentów!”.

Czy zmarli bez sakramentów będą zbawieni?

O znaczeniu sakramentów dla naszego zbawienia uczył nas sam Pan Jezus: „Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam: Jeśli nie będziecie spożywali ciała Syna Człowieczego i nie będziecie pili krwi Jego, nie będziecie mieli życia w sobie” (J 6,53). Jeszcze w dniu swojego wniebowstąpienia przypominał uczniom o tym, że chrzest jest sakramentem najwyższego znaczenia: „Kto uwierzy i ochrzczi się, będzie zbawiony, a kto nie uwierzy, będzie potępiony” (Mk 16,16).

Wielokrotnie też uwrażliwiał On nas na bezwzględne znaczenie naszego przygotowania na dzień Jego przyjścia (por. Mt 24,42–44; por. 25,13; Łk 12,35–40; 21,34–36).

Są to nauki Syna Bożego i należy je przyjąć z całą dośłownością. Zatem z nauk tych wynika, że przyjęcie chrztu, spożywanie Eucharystii i stan pojednania z Bogiem w godzinie śmierci są czymś fundamentalnie ważnym. I nie wolno za pomocą przemyślnych argumentów rozmiękczać prostego znaczenia tych nauk.

Niepokoje ludzi wierzących

Pod wpływem tych i podobnych pouczeń nieraz ogarnia nas niepokój o zbawienie wieczne tych naszych bliskich, którzy zeszli z tego świata bez sakramentów. Pocięchą jest wtedy dla nas przypomnienie sobie, że nasz drogi zmarły był jednak u spowiedzi i komunii świętej z okazji ostatnich świąt. Ale jeżeli rodzony ojciec lub matka, chociaż byli ludźmi wierzącymi, przez całe lata nie przystępowali do sakramentów? Czy jest dla niego, dla niej, nadzieja życia wiecznego? Albo jeżeli ktoś nam bliski jeszcze w ostatnim dniu swego życia zdążył kogoś ciężko skrzywdzić lub pograżony był w mało chwalebnych uczuciach i troskach?

Znamienne doświadczenie duchowe miała kiedyś św. Faustyna, opisała je później w *Dzienniczku*. Umarła siostra z jej klasztoru, Faustyna modli się gorąco o miłosierdzie Boże dla niej. Lecz oto zjawia się jej ta zakonnica, cała w płomieniach, i powiada jej, żeby przestała się modlić, bo i tak modlitwy te są daremne. Wówczas Faustyna tym goręcej zaczęła się za nią modlić. Po jakimś czasie znów zjawia jej się ta zakonnica z serdecznym podziękowaniem: „Dzięki twoim modlitwom, siostrze, dostałam już wiekuistego oglądania Bożego Oblicza”.

Niezależnie od tego, czy były to wizje autentyczne, dobrze oddają one istotę tych twierdzeń autentycznie religijnych, które budzą trwogę. Warto sobie zapamiętać następującą zasadę: Jeśli jakiegokolwiek twierdzenie znajduje się w Piśmie Świętym lub głoszone przez uznanych

w Kościele nauczycieli wiary budzi rozpacz, zniechęcenie czy gorycz, należy z góry wiedzieć, że zrozumieliśmy je niewłaściwie. Bóg nie jest i nigdy nie będzie promotorem rozpacz czy zniechęcenia. Celem tych twierdzeń jest bowiem spowodowanie w nas jakiegoś pozytywnego wstrząsu lub pobudzenie do nadzwyczajnego czynu. Kiedy Pan Bóg zakazywał Mojżeszowi modlić się za niewierny lud (Wj 32,9–14; Pwt 9,13–19), ten bardzo dobrze zrozumiał Boże intencje i modlił się tym więcej. Czyżby Pan Bóg drażnił się z Mojżeszem, skoro w końcu jednak go wysłuchał? Nie powinienem nawet stawiać tak niestosownego pytania. Pan Bóg po prostu pobudzał w ten sposób swego ukochanego sługę do modlitwy nadzwyczajnej, bo zwykła modlitwa, nawet gorąca, nie przeważałaby już tak wielkiego odstępstwa.

Zatem jakie naprawdę wnioski wynikają z przywołanych tu słów Pana Jezusa o znaczeniu sakramentów dla naszego zbawienia? Jeśli jestem nieochrzczony, a tak się stało, że Ewangelia stanęła na mojej drodze życiowej jako propozycja bardzo poważna, powinienem przyjąć do wiadomości i wziąć pod uwagę to, że ta właśnie Ewangelia przywiązuje niewyobrażalnie wielkie znaczenie do przyjęcia wiary i chrztu. Jeśli zaś jestem chrześcijaninem, powinno mi w ogóle zależeć na korzystaniu z sakramentów wiary, a szczególnie winienem błagać Boga o to, żeby nie pozwolił mi bez sakramentów zejść z tego świata. A już absolutnie nie dopuść, Panie, do tego, żeby Twoje przyjście zastało mnie nieprzygotowanym!

Niepokoje o zbawienie ludzi mało wierzących

A co wówczas, jeżeli mój bliski z mojej winy odszedł z tego świata bez sakramentów? Może on tylko dlatego umarł bez sakramentów, że w gruncie rzeczy było mi to obojętne? Może nawet nigdy nie pomodliłem się o jego pojednanie z Bogiem? A może jak jakiś poganin uważałem, że śmierć jest złem ostatecznym dla człowieka i należy jak najstaranniej ukrywać przed ciężko chorym jej niebezpieczeństwo, nawet za cenę pozbawienia go ostatnich sakramentów?

Otóż jeśli mój bliski lub znajomy zeszedł z tego świata w okolicznościach, które każą mi niepokoić się o jego los wieczny, niech to przymusza mnie do tym większej modlitwy, nawet do „walki” z Bogiem o jego duszę. Zwłaszcza jeśli poczuwam się do winy za to, że okoliczności jego śmierci były właśnie takie.

Czy po to, Panie, ja nieszczęsna się narodziłam – modliła się kiedyś św. Katarzyna ze Sieny, pełna lęku, że z jej powodu pewna jej znajoma utraci zbawienie wieczne – aby przeze mnie dusze, które stworzyłeś na swój obraz, szły w ogień wieczny? Czy chcesz dopuścić do tego, żebym się stała powodem wiecznego potępienia mojej siostry, dla której powinnam być narzędziem wiekuistego zbawienia? Twoje miłosierdzie jest nieskończone, nie czyń więc tak strasznego sądu! Twoja wiekuista dobroć nie dopuści przecież do czegoś tak złego! Bodaj bym się nie narodziła, niż żeby przeze mnie miały iść na potępienie dusze, odkupione krwią Twoją! O, ja nieszczęsna! Czy na tym polegają owoce zbawienia, które miałeś sprawiać, posługując się mną, że moja siostra

CZY ZMARLI BEZ SAKRAMENTÓW BĘDĄ ZBAWIENI?

przeze mnie zginie na wieki? Nie przestanę szukać Twego wiecznego miłosierdzia i nie przestanę dobijać się do Twojej nieskończonej dobroci, aż zła, które spowodowałam, nie przemienisz w dobro i nie uwolnisz mojej siostry od śmierci wiecznej.

Ufajmy, że takich modlitw Bóg nie może nie wysłuchać. „Ty, Boże, nie chcesz przecież śmierci grzesznika, Ty chcesz zbawienia nas wszystkich! Ulituj się nad tym, którego Twojemu miłosierdziu tak serdecznie polecam!”.

Zarazem popełnilibyśmy wielki błąd, gdybyśmy ze względu na nieskończone miłosierdzie Boże chcieli bagatelizować słowo Pana Jezusa, nakazujące nam czuwać nieustannie, tak aby przyjście Jego zastało nas przygotowanymi.

Zbawienie dzieci zmarłych bez chrztu

Odpowiedź na pytanie o los dzieci zmarłych bez chrztu – i to, co na ten temat wiemy, i to, czego nie wiemy – krótko da się ująć w kilku następujących punktach:

1. Bóg jest sprawiedliwy i miłosierny, i niewątpliwie nikogo nie skrzywdzi. Nie skrzywdzi też żadnego dziecka, które nie miało szczęścia zostać ochrzczone. Toteż Jemu właśnie, sprawiedliwemu i miłosiernemu Bogu, polecamy te wszystkie nasze dzieci, które – z naszej winy czy bez niej – umarły nieochrzczone.
2. Kościół zawsze przywiązywał i nadal przywiązuje wielką wagę do tego, ażeby dzieci urodzone z rodziców chrześcijańskich nie opuszczały tego świata niewyposażone w dar chrztu świętego.
3. „Bóg związał zbawienie z sakramentem chrztu, ale sam nie jest związany sakramentami” (KKK, 1257). Upoważnia to nas do nadziei, że Bóg znajdzie sposób na zbawienie również dzieci zmarłych bez chrztu, jednak nie możemy mieć pewności na ten temat.

4. Zabijanie dzieci, również w najwcześniejszym okresie ich życia, jest bardzo ciężkim grzechem, toteż radykalnie należy odrzucić wszelkie wyjaśnienia na temat ich losu ostatecznego, jakoby zabijając je, świadczyło im się dobrodziejstwo. Dotyczy to na przykład sugestii, jakoby dzieci abortowane zostały ochrzczone we własnej krwi. W ogóle przewrotna logika, że – by użyć formuły Adama Asnyka – „król Herod dobrodziejem był dla sierot”, powinna być wykluczona z dyskursu na temat zbawienia dzieci nieochrzczonych.
5. Rodziców wierzących, których dzieci bez ich winy umarły bez chrztu (często dlatego, że nie zdążyły nawet się urodzić), wolno pocieszać nadzieją, że zostały one ochrzczone w ich wierze. Wydaje się, że taka ekstrapolacja starochrześcijańskiej jeszcze idei chrztu pragnienia jest w pełni uzasadniona.
6. Wydaje się, że uprawnione jest pocieszanie również tych rodziców, którzy zawinili przeciwko swojemu dziecku, dopuszczając do tego, że umarło ono bez chrztu. Wolno ich na przykład zachęcać do „podpowiadania” Panu Bogu, ażeby ich obecne życie wiarą (na przykład troskę o religijną atmosferę w rodzinie, itp.) przyjął jako próbę „wynagrodzenia” za tamto zaniedbanie oraz jako błaganie na rzecz zbawienia ich dziecka.
7. Wydaje się, że pocieszać wolno nawet tych rodziców, którzy dopuścili się dzieciobójstwa. Rzecz jasna, dopiero po ich jednoznacznym nawróceniu się i wewnętrznym uznaniu, że nie ma takiej sytuacji, która usprawiedliwiałaby zabicie dziecka. Szczególnie cenną

formą prześlągania Boga za ten grzech oraz wstawiania się za dzieckiem, które zostało przez nich tak ciężko skrzywdzone, jest czynne angażowanie się w ratowanie życia innych dzieci oraz przyczynianie się do atmosfery życzliwej życiu, przychylnej przyjmowaniu poczętego dziecka również w sytuacjach bardzo trudnych.

8. Warto zauważyć, że zarówno nauka Kościoła na temat chrztu małych dzieci (por. np. KKK, 1250), jak pocieszanie rodziców martwiących się tym, że ich zmarłe dziecko nie było ochrzczone, zakłada wiarę, że do zbawienia nikt nie idzie w pojedynkę, ale zdążamy tam razem z innymi. We wspólnocie wiary otrzymujemy różnorodną pomoc od innych, ale też możemy i powinniśmy sami innym pomagać. Zwłaszcza własnym dzieciom. Czy nawet tym, które z naszej winy umarły bez chrztu (jak to próbowałem pokazać w dwóch poprzednich punktach)? Wydaje się, że tak. Ale Duch Święty jeszcze tego Kościołowi ostatecznie nie powiedział.

Czy dusza umiera?

Zgłosił się kiedyś do mnie ktoś bardzo zaniepokojony wykładem biblijnym, jaki usłyszał u adwentystów. Prelegent cytował liczne wypowiedzi Pisma Świętego, żeby udowodnić, że dusza umiera razem z ciałem. W końcu, żeby pokazać, czym jest dusza, włączył lampę stołową do kontaktu. „Proszę patrzeć – objaśniał – lampa świeci. Świeci dzięki prądowi, który ją ożywia. Prąd jest jakby duszą tej lampy. Teraz wyłączam lampę. Zgasła. Gdzie jest jej dusza? Czy się oddzieliła od lampy? Nie, duszy po prostu już nie ma. Tak samo dzieje się z duszą człowieka w chwili śmierci”. Co sądzić o tym argumentcie?

Myślę, że ten pokaz z lampą bardzo by się spodobał Awerroesowi, filozofowi muzułmańskiemu, który odrzucał nie tylko nieśmiertelność duszy ludzkiej, ale nawet jej indywidualność. Awerroes sądził, że istnieje tylko jedna dusza, wspólna wszystkim ludziom, a kiedy jakiegoś człowieka przestaje ona ożywiać, jest to równoznaczne ze śmiercią. Natomiast nowi ludzie pojawiają się – zdaniem

Awerroesa – w ten sposób, że płód ludzki zostaje podłączony do tej jednej, ponadindywidualnej duszy, która ożywia wszystkich aktualnie żyjących ludzi. Krótko mówiąc, pokaz z lampą obrazuje raczej doktrynę Awerroesa na temat duszy, niż doktrynę adwentystów, którzy nie posuwają się jednak do głoszenia jakiejś duszy kolektywnej.

Stary Testament na temat istnienia człowieka po śmierci

Mniejsza jednak o poglądy Awerroesa czy adwentystów. Już starzy logicy mówili, że porównanie nie jest żadnym argumentem. Przypatrzmy się natomiast, co na temat istnienia człowieka po śmierci mówi słowo Boże. Właśnie na przykładzie pytania o nasz los pośmiertny można znakomicie pokazać, jak bardzo Stary Testament zwrócony jest ku Chrystusowi. Mianowicie pytanie to jest w Starym Testamencie, a zwłaszcza w jego księgach najwcześniejszych, ledwie zarysowane, odpowiedź zaś na to pytanie – wysoce nieprecyzyjna. I jest to zrozumiałe. Przecież nie czas było głosić ludziom o życiu i szczęściu wiecznym, kiedy osiągnięcie go było czymś zupełnie niemożliwym. Chrystus miał przecież dopiero przyjść.

Czytamy więc w Starym Testamencie, że zmarli przebywają w jakimś szeolu, czyli otchłani, miejscu smutnym, bo dalekim od Boga, toteż w gruncie rzeczy nie jest to prawdziwe życie, tylko jakieś pólistnienie. „Czy dla cie-

niów czynisz cuda? – pyta smętnie Psalmista. – Czy w grobie się opowiada o Twojej łasce, a w szeolu o Twojej wierności?” (Ps 88,11 i nast.).

Zamiast w tego rodzaju tekstach starotestamentalnych szukać dowodów, jakoby w śmierci dokonywało się unicestwienie całego człowieka, lepiej zauważyć to, co się w nich znajduje rzeczywiście. Teksty te odsłaniają bowiem coś bardzo ważnego z tajemnicy śmierci. Śmierć, jak wiemy z biblijnego opowiadania o upadku człowieka, stanowi owoc grzechu. Jednakże nie to jest w śmierci najgorsze, że umieramy cielesnie. Śmierć wiązała się z oddaleniem od Boga, właściwie na zawsze. Dopóki nie przyszedł Chrystus, szeol był miejscem przede wszystkim smutnym.

Już w Starym Testamencie docierała do człowieka nadzieja na życie wieczne, rozjaśniająca wyobrażenie na temat szeolu. Oto na przykład fragment Psalmu 73:

Lecz ja zawsze będę z Tobą;
 Tyś ujął moją prawicę;
 prowadzisz mnie według swojej rady
 i przyjmujesz mię na koniec do chwały.
 Kogo prócz Ciebie mam w niebie?
 Gdy jestem z Tobą, nie cieszy mnie ziemia.
 Niszczy moje ciało i serce,
 Bóg jest opoką mego serca i mym udziałem na wieki.
 Bo oto giną ci, którzy od Ciebie odstępują,
 Ty gubisz wszystkich, co łamią wiarę wobec Ciebie.
 Mnie zaś dobrze być blisko Boga,
 w Panu wybrałem sobie schronienie,
 by opowiadać wszystkie Jego dzieła.

„Kto wierzy we Mnie, nie umrze na wieki”

Dla chrześcijanina jest rzeczą oczywistą, że światło tej wspaniałej nadziei płynęło od Chrystusa. On sam mówił: „Abraham, ojciec wasz, rozradował się z tego, że ujrzał mój dzień – ujrzał i ucieszył się” (J 8,56). Słowa te wskazują na to, że Chrystus jest Zbawicielem nie tylko ludzi sobie współczesnych i wszystkich, którzy mieli się urodzić potem, On jest również Zbawicielem wszystkich sprawiedliwych, którzy żyli przed Nim.

Wyraża to starochrześcijańska prawda, którą wyznajemy w Składzie Apostolskim, że po swojej śmierci i pogrzebie Chrystus „zstąpił do piekieł”, czyli do szeolu. Czytamy o tym w liście apostoła Piotra:

Chrystus bowiem raz umarł za grzechy, sprawiedliwy za niesprawiedliwych, aby was do Boga przyprowadzić; zabity wprowadzie na ciele, ale powołany do życia Duchem. W nim poszedł ogłosić [zbawienie] nawet duchom zamkniętym w więzieniu, niegdyś nieposłusznym, gdy za dni Noego cierpliwość Boża oczekiwała (1 P 3,18–20a).

Ukrzyżowany poszedł więc z orędziem odkupienia nawet do tych, którzy byli tak bardzo zepsuci, że z ich powodu – jak czytamy w Piśmie Świętym (Rdz 6,6) – Bóg „żałował, że stworzył ludzi na ziemi”.

Zauważmy przy okazji, że w przytoczonej wypowiedzi apostoła Piotra znajduje się wyraz: „duchom”. Coś jednak przetrwało z tych nieszczęśników, którzy zginęli w potopie, skoro „duchy” ich zdolne były usłyszeć radośną nowinę o odkupieniu! Jako chrześcijanom nie trzeba

nam tłumaczyć, dlaczego ewangelie – w przeciwieństwie do Starego Testamentu – głoszą nadzieję na życie wieczne wyraźnie i często. „Kto we Mnie wierzy – powiada Pan Jezus do Marty, siostry zmarłego Łazarza – choćby i umarł, żyć będzie. A każdy, kto żyje i wierzy we Mnie, nie umrze na wieki” (J 11,25 i nast.). Gdyby było tak, jak nauczają adwentyści czy świadkowie Jehowy – tzn. gdyby człowiek w chwili śmierci umierał cały, razem z duszą, i gdyby dopiero przy zmartwychwstaniu ciało miał wrócić do życia – przytoczone słowa Pana Jezusa zawierałyby nieprawdę.

W Kościele katolickim wierzymy, iż prawdziwa jest obietnica Chrystusa, że wszystkich, którzy do Niego należą, wskrzesi w dniu ostatecznym (J 6,39 i nast.). Ale wierzymy również, że prawdziwa jest Jego obietnica, iż kto wierzy w Niego, „nie umrze na wieki” (J 11,26). Pierwsza dotyczy wskrzeszenia ciał, druga obietnica mówi o tym, że nawet śmierć ciała nie przerywa naszej jedności z Chrystusem, jeśli tylko byliśmy z Nim złączeni w życiu doczesnym.

Szczegółowe świadectwa Nowego Testamentu

Przypatrzmy się teraz licznym wypowiedziom Nowego Testamentu, z których wynika, że obietnica Chrystusa: „Kto zachowa moją naukę, nie zazna śmierci na wieki” (J 8,52) obejmuje również okres między naszym odejściem z tego świata a wskrzeszeniem naszych ciał. Zaczniemy od najstarszego listu św. Pawła – od Pierwszego Listu do Tesaloniczan – w którym czytamy, że Chrystus „za nas umarł,

abyśmy – czy to gdy czuwamy, czy gdy zaśniemy – razem z Nim żyli” (5,10). Celowo zaczynam od tego tekstu, bo śmierć ciała jest w nim nazwana zaśnięciem, a zarazem stwierdza się tu wyraźnie, że również po tym zaśnięciu wyznawcy Chrystusa nadal żyją razem z Nim.

W innym miejscu apostoł mówi o tym jeszcze wyraźniej: „Wiemy, że jak długo pozostajemy w ciele, jesteście pielgrzymami, z daleka od Pana. Albowiem według wiary, a nie dzięki widzeniu postępujemy. Mamy jednak nadzieję... i chcielibyśmy raczej opuścić nasze ciało i stanąć w obliczu Pana” (2 Kor 5,6–8). Śmierć zatem jest tu nazwana „opuszczeniem ciała”. Nie cały więc człowiek umiera. To, co we mnie stanowi o moim „ja”, nie ulegnie zniszczeniu, lecz opuści ciało i stanie w obliczu Pana.

Z kontekstu wynika, że to „opuszczenie ciała” nawet dla żarliwie wierzącego Pawła nie jest samo w sobie czymś pożądanym. Przeciwnie, „udręczeni wzdychamy, pozostając w tym przybytku, bo nie chcielibyśmy go utracić” (w. 4). Skoro jednak nie przyszedł jeszcze czas na ostateczne uwielbienie ciała, to chrześcijanin „chciałby raczej opuścić ciało”, żeby tylko „stanąć w obliczu Pana”. Zatem śmierć ciała nie rzuci nas w otchłań nieświadomości. Wręcz przeciwnie: po opuszczeniu ciała, a więc jeszcze przed zmartwychwstaniem, wiara ustąpi widzeniu (w. 7). Gdy teraz, chociaż dzięki wierze mamy już jakąś znajomość Boga, jesteśmy „z daleka od Pana”, to wówczas będziemy „z Nim” (w. 6 i 9).

W tym samym duchu wypowiada się Paweł w Liście do Filipian: „Dla mnie bowiem żyć – to Chrystus, a umrzeć – to zysk. Jeśli bowiem żyć w ciele – to dla mnie owocna

praca, co mam wybrać? Nie umiem powiedzieć. Z dwóch stron doznaję nalegania: pragnę odejść, a być z Chrystusem, bo to o wiele lepsze, pozostawać zaś w ciele – to bardziej dla was konieczne” (Flp 1,21–24; por. Rz 14,8). Toteż Apokalipsa z naciskiem podkreśla, że „już teraz błogosławieni są ci, którzy umierają w Panu” (14,13).

Otóż ludzi, którzy „odeszli z ciała”, w Nowym Testamencie nazywa się niekiedy duszami. Apokalipsa mówi o „duszach zabitych dla Słowa Bożego”, które „donośnym głosem wołały” (Ap 6,9; por. 20,4). Zaś kamienowany Szczepan modlił się: „Panie Jezu, przyjmij ducha mego” (Dz 7,59). Z kolei apostoł Piotr powiada, że „celem wiary naszej” jest „zbawienie dusz” (1 P 1,9), a czekających na Chrystusa w szeolu nazywa duchami (1 P 3,19).

Nie są to, oczywiście, wszystkie teksty biblijne, z których wynika, że śmierć nie może istotnie zapanować nad tymi, którzy złączeni są z samym Źródłem życia, z Bogiem. „Dusze sprawiedliwych są w ręku Boga – czytamy w jednej z ostatnich ksiąg starotestamentalnych, w Księdze Mądrości (3,1–3) – i nie dosięgnie ich męka. Zdało się oczom głupich, że pomarli, zejście ich poczytano za nie-szczęście i odejście od nas za unicestwienie, a oni trwają w pokoju”.

Sam Pan Jezus powiedział kiedyś przypowieść o bogaczu i Łazarzu, której akcja rozgrywa się zaraz po śmierci bohaterów przypowieści, a więc jeszcze przed zmartwychwstaniem. Znaczenie tej przypowieści dla naszego tematu trafnie ujmuje w Eschatologii Józef Ratzinger, późniejszy papież Benedykt XVI:

„GDZIEŻ JEST, O ŚMIERCI, TWOJE ZWYCIĘSTWO?”

Można, rzecz jasna, powiedzieć, że przebywanie ubogiego na łonie Abrahama, a bogacza w miejscu męki nie jest właściwym przedmiotem nauki tej przypowieści. Jej istotę stanowi ostrzeżenie przed niebezpieczeństwem, płynącym z posiadania bogactw. Niemniej oczywiste jest i to, że Głosiiciel przypowieści widzi w występujących w niej obrazach trafne określenie rzeczywistości czekającej człowieka. Tekst paraboli świadczy więc wyraźnie, że wczesne chrześcijaństwo podzielało wiarę Żydów w życie pozagrobowe.

Zresztą, czyż Pan Jezus nie obiecał łotrowi, że jeszcze dziś będzie z Nim w raju (Łk 23,43)? Niestety, można być tak przywiązany do swojego błędu, że jest się gotowym raczej Pismo Święte zniekształcić, byleby postawić na swoim. Głosiciele śmierci całkowitej twierdzą niekiedy, że w obietnicy, jaką Pan Jezus dał dobremu łotrowi, powinno się przestawić interpunkcję: „Zaprawdę powiadam ci dziś: Ze Mną będziesz w raju” – będziesz ze Mną, ale dopiero za setki, a może nawet za tysiące lat. Nie liczy się dla nich to, że fraza „Zaprawdę powiadam” – tak częsta w Ewangeliach – ani razu nie zawiera wyrazu „dziś”. Nie zastanawiają się nad tym, że tą sztuczką nie da się unicestwić wymowy innych tekstów, które dopiero co przytoczyliśmy.

Światło Chrystusa rozjaśnia przesłanie Starego Testamentu!

Istota problemu leży jednak gdzie indziej. Chodzi tu mianowicie o prawidłowe odczytanie stosunku między Starym

a Nowym Testamentem. Nie wolno bowiem przeciwstawić sobie obu tych części Pisma Świętego w taki sposób, żeby prowadziło to do pomniejszania bądź Starego, bądź Nowego Testamentu. Pismo Święte stanowi jedną całość: Stary Testament nie tylko prowadzi do Nowego, ale otrzymuje z niego światło Chrystusa, które odsłania w nim nieprzeczuwane przedtem głębie.

Doktryna adwentystów oraz świadków Jehowy o materialności i śmiertelności duszy ludzkiej opiera się na niektórych sformułowaniach Starego Testamentu, które nie mają w sobie jeszcze tej jasności, jaką widzieliśmy w przytoczonych wypowiedziach nowotestamentalnych. Tamte niejasne i nieprecyzyjne sformułowania skierowane były jednak ku prawdzie, że jest w człowieku jakiś pierwiastek niematerialny i że nie cały człowiek w chwili śmierci umiera. Nawet duchowość żydowska, która rozwijała się na gruncie samego tylko Starego Testamentu, prawdę tę w nim odnalazła.

Tymczasem głosiciele materialności i śmiertelności duszy zatrzymują się szczególnie nad takimi wypowiedziami, jak przytoczony wyżej fragment Psalmu 88 (w. 11 i nast.), ale swoją interpretacją pozbawiają je właściwej im nieprecyzyjności. W ten sposób je zniekształcają, bo precyzują ich sens przez zanegowanie otwarcia tych tekstów na wymiar transcendentny wobec cielesności i śmiertelności człowieka. Tymczasem teksty te są obiektywnie na ten wymiar otwarte, jak na to wskazuje nie tylko rozwój świadomości eschatologicznej, poświadczony w Nowym Testamencie, ale również rozwój duchowości żydowskiej.

„GDZIEŻ JEST, O ŚMIERCI, TWOJE ZWYCIĘSTWO?”

Jednakże nawet z czysto ludzkiego punktu widzenia taka próba zatrzymania świadomości na pierwszym etapie rozwoju jest błędem – pozbawia bowiem tę świadomość momentu dynamicznego, który przecież już w pierwszym jej etapie się zawierał. Otóż skłonność do budowania utopii archaizujących, chęć powrotu do samego początku, jest charakterystyczna zwłaszcza dla radykalnych protestantów, którzy każdy rozwój historyczny w dziedzinie wiary gotowi są traktować jako dzieło ducha tego świata. W tym przypadku postawa ta wyraziła się wrogością wobec prawd zawartych w samym nawet Piśmie Świętym. Mentalności tej tak bardzo wstrętny jest rozwój świadomości w dziedzinie wiary, że odrzuca ona niektóre prawdy z Nowego Testamentu – tylko dlatego, że stanowią one krok naprzód w stosunku do objawienia starotestamentalnego.

Kremacja i „ogrody pamięci”

Kiedy jestem pytany o to, co Kościół sądzi na temat kremacji zwłok ludzkich, z reguły przytaczam § 3 kanonu 1176 Kodeksu Prawa Kanonicznego: „Kościół usilnie zaleca zachowanie pobożnego zwyczaju grzebania ciał zmarłych. Nie zabrania jednak kremacji, jeśli nie została wybrana z pobudek przeciwnych nauce chrześcijańskiej”. Spróbujmy się zastanowić, dlaczego Kościół „usilnie zaleca” grzebanie ciała, a do kremacji raczej zniechęca.

Przypatrzmy się temu pytaniu w perspektywie trzech podstawowych funkcji, jakie spełnia pogrzeb ciała ludzkiego. Przede wszystkim, pogrzeb jest jedynym w swoim rodzaju przesłaniem na temat ostatecznego sensu życia ludzkiego. Jest ponadto obrzędem wyrażenia szczególnego szacunku zmarłemu. Wreszcie po trzecie: dla rodziny oraz dla innych społeczności, do których zmarły należał, pogrzeb jest szczytowym obrzędem pożegnania oraz pomocą w uporządkowaniu żałoby po zmarłym.

Dlaczego raczej pogrzeb niż kremacja?

Zacznijmy od argumentów wiary. Już w czasach apostołskich pogrzebanie ciała w ziemi było dla chrześcijan wyrazem ich wiary w przyszłe zmartwychwstanie. Podobnie jak Chrystus Pan powstał z grobu w ciele przemienionym, również my oczekujemy nie zwyczajnego wskrzeszenia, ale zmartwychwstania w ciałach uwielbionych. Pisał o tym apostoł Paweł: „Podobnie rzecz się ma ze zmartwychwstaniem. Zasiewa się zniszczalne – powstaje zaś niezniszczalne; sieje się niechwalebne – powstaje chwalebne; sieje się słabe – powstaje mocne; zasiewa się ciało zmysłowe – powstaje ciało duchowe” (1 Kor 15,42–44).

Toteż chociaż na terenie ówczesnego cesarstwa rozpowszechnione było spalanie zwłok, starożytni chrześcijanie przywiązywali ogromną wagę do tego, ażeby ich ciała po śmierci zostały oddane ziemi. Nawet ówcześni poganie zostawili świadectwa, że poprzez obrzęd złożenia ciała w ziemi chrześcijanie wyrażają swoją wiarę w życie wieczne – świadectwa tym cenniejsze, że chrześcijanom niezyczliwe. Tytułem przykładu przytoczę wypowiedź Frontona z Ciryty (z roku ok. 150), który wyśmiewał naiwność chrześcijan, podejrzewał ich bowiem o to, iż sprzeciwiają się kremacji w niemądrej wierze, że ułatwią w ten sposób Panu Bogu wskrzeszenie ciała: „Nie uznają stosów pogrzebowych i potępiają palenie ciał – jak gdyby nie było tak, że każde ciało, nawet jeśli ogień go nie tknie, rozkłada się, i jak gdyby nie było wszystko jedno, czy rozszarpią je dzikie zwierzęta, czy morze pochłonie, ziemia przykryje lub

plomień zniszczy” (Minucjusz Feliks, *Oktawiusz*, 11, 4). Zdumiewa kompletna głuchota Frontona na duchowy wymiar rzeczywistości. A skądinąd był to przecież człowiek rozsądny i myślący. Dość wspomnieć, że był on wychowawcą cesarza Marka Aureliusza.

Wiara w przyszłe zmartwychwstanie, wyrażana między innymi niezgodą na kremację, tak bardzo denerwowała wrogów chrześcijaństwa, że podczas prześladowań pastwili się niekiedy nawet nad ciałami zabitych przez siebie męczenników – w naiwnym przekonaniu, że jeżeli się nawet śladu po ich ciałach nie zostawi, to Pan Bóg nie będzie już miał mocy ich wskrzesić. Opis furii, z jaką potraktowano ciała męczenników zabitych w Lyonie ok. roku 177, wyszedł prawdopodobnie spod pióra bezpośredniego świadka tych wydarzeń:

Zwłoki męczenników zostały zhańbione i przez sześć dni leżały pod gołym niebem. Potem je spalono, a popioły bezbożnicy wrzucili do płynącego w pobliżu Rodanu, tak żeby najmniejszych szczątków po nich nie zostało. Tak zrobili, jak gdyby mogli Boga pokonać, a męczenników pozbawić odrodzenia. Nie mają mieć – mówili – nadziei zmartwychwstania, na której się opierają. (...) Patrzmy teraz, czy powstaną z martwych, i czy Bóg ich będzie im mógł pomóc i wyrwać ich z rąk naszych (Euzebiusz z Cezarei, *Historia kościelna*, 5, 1,62 i nast.).

W ciągu wieków Kościół tylko bardzo wyjątkowo – na przykład podczas zarazy albo jakiejś klęski żywiołowej – zgadzał się na spalanie ciał swoich zmarłych wiernych. Sam fakt jednak, że niekiedy to dopuszczał, jest dowodem,

że chociaż Kościołowi ogromnie zależało na tym, żeby trzymać się rytu grzebalnego, jednak odnośnych przepisów prawa kanonicznego – również wówczas, kiedy były one bardzo rygorystyczne – nie traktował na równi z Bożymi przykazaniami.

Dawne obrzędy spopielania zwłok a dzisiejsza ich kremacja

Skoro jednym z trzech celów pochówku jest okazanie zmarłemu szczególnego szacunku podczas obrzędu ostatniego pożegnania, zwróćmy uwagę na istotną różnicę, jaka dzieli kremację stosowaną we współczesnej Europie od obrzędu całopalnego, stosowanego niegdyś przez Greków, Rzymian czy Słowian, albo jeszcze dziś w Indiach czy w Japonii. Nie ma wątpliwości, że tradycyjne rytuały całopalne wyrażały szacunek dla zmarłego w sposób równie głęboki, jak obrzędy grzebalne.

Na przykład

w hinduizmie – cytuję teraz *Encyklopedię katolicką* (9, 1259) – kremacja stanowi część kilkunastodniowych obrzędów pogrzebowych, w czasie których umyte zwłoki zanoszą się nad rzekę (np. nad Gangesem znajdują się liczne platformy kremacyjne) i spala na stosie z drewna, uzupełnianego dokładaniem przez krewnych zmarłego drewna sandałowego oraz chrustu; w czasie kremacji kapłan recytuje hymny o nieśmiertelności duszy, a po spopieleniu zwłok zebrani opuszczają miejsce; następnego dnia krewni zbierają spalone szczątki oraz popiół i wrzucają do rzeki.

We współczesnej Europie miejsce obrzędu kremacji zajęło przemysłowe przetworzenie ciała zmarłego w popiół. Owszem, zazwyczaj próbuje się ocalić obrzęd szacunku dla zmarłego. Sam uczestniczyłem kiedyś w normalnej mszy pogrzebowej (tak mi się wydawało), trumna ze zwłokami wniesiona była do kościoła. Kiedy po mszy zwłoki włożono do znajdującego się pod kościołem karawanu, najbliżsi zmarłego zaczęli płakać i obejmować trumnę – słowem, przeżywać ostatnie pożegnanie. Po czym karawan, z jednym tylko żywym szoferem w środku, odjechał. Zwłoki zmarłego, niby jakiś surowiec, zostały odwiezione do krematorium do przeróbki. Poczułem głęboki wewnętrzny sprzeciw przeciwko tak zdepersonalizowanemu traktowaniu ciała osoby ludzkiej.

U nas w Polsce ten związany z kremacją moment „przemysłowy” na ogół jest taktownie ukryty. I trzeba przyznać, że obrzędy pogrzebowe nad urną z popiołami zmarłego, która jest następnie wkładana do grobu, nie budzą (w każdym razie we mnie) większych duchowych oporów.

Generalnie jednak nie da się ukryć, że współczesna zgoda na piece krematoryjne zawiera w sobie zgodę na przedmiotowe traktowanie ciała zmarłego. Dopiero na tym gruncie stały się możliwe nawet takie wynaturzenia, jak np. tworzenie nekrobizuterii³.

³ Por. Ewa Domańska, *Biżuteria ze zwłok. Z prochu powstałeś, w diament się obrócisz*, „Wprost”, 28 marca 2004.

Współczesna dewaluacja grobu

Spójrzmy jeszcze, jakie problemy związane z żałobą oraz pamięcią o zmarłym mogą się pojawić przy zastosowaniu współczesnej techniki kremacji zwłok. Żałoba jest niezwykle ważnym sposobem radzenia sobie z odejściem bliskich nam osób. Jak ważnym, doświadczyło tego podczas ostatniej wojny wielu ludzi, którzy utracili bliskich, ale nie sposób było ustalić, kiedy i gdzie się to stało. Mój cioteczny brat, śp. Jerzy Eryk Ostolski, autor książki pt. *Co to jest wojna? Wspomnienia dziecka*, przez całe życie czuł się ciężko zraniony przez to, że nie zna daty i miejsca śmierci ani grobu swego ojca i swojej matki. Jako sześciolatek dziecko został bowiem wraz ze swoim bratem wywieziony na Sybir – jego ojciec był wtedy w sowieckim więzieniu, a matka w szpitalu.

Jakkolwiek możemy odczuwać opór wobec hinduskich wielodniowych obrzędów kremacji, jest to jednak długi, dobrze zakorzeniony w tamtej tradycji, rytuał pożegnania. W przypadku kremacji „przemysłowej” rodzina otrzymuje gotowy „produkt”, prochy zmarłego. Do duszpasterzy – a zapewne również do psychologów – zgłaszają się ludzie, którzy przeżyli szok emocjonalny, że tę swoją najbliższą osobę, którą dopiero co człowiek pielęgnował, muszą teraz żegnać jako garść prochów. Jakby zbyt szybko to się stało, z najbliższej osoby już nawet zwłoki nie pozostały – niektórzy ludzie nie potrafią w tej sytuacji przeżyć prawdziwego pożegnania.

I ostatni wielki problem, który warto zasygnalizować: Wskutek stosowania kremacji zmienia się w krajach naszej cywilizacji znaczenie grobu. Grób i cmentarz od wieków jest u nas ogromnie ważnym, najdosłowniej materialnym miejscem pamięci o naszych bliskich, którzy odeszli, oraz łączności z poprzednimi pokoleniami.

Dostępność kremacji rozbudza w niektórych ludziach pragnienie niepozostawienia po sobie nawet grobu. Taki człowiek życzy sobie w testamencie, ażeby jego prochy rozsypać gdzieś nad morzem albo nad górami, albo w jakimś innym pięknym miejscu, z którym za życia czuł się szczególnie związany. W niektórych krajach zakłada się „ogrody pamięci” – niewielkie łaki, na których rozsypuje się prochy zmarłych. Zjawiska te przejmująco obnażają dotkliwą samotność, która dzisiaj jest losem wielu ludzi. Żyjemy w czasach, kiedy zdarza się tak, że nawet rodzone dziecko przemienia się w zupełnie obcego człowieka.

Nieraz jednak decyżę, żeby nie pozostawić po sobie grobu, podejmuje ktoś niemogący skarżyć się na brak bliskich sobie osób. Szkoda, że człowiek ten, wydając w testamencie takie zarządzenie, nie pomyśli o tym, że krzywdzi w ten sposób swoich bliskich, których pozostawia na tej ziemi. Żywi mają przecież prawo do tego, żeby móc przyjść na grób swoich bliskich zmarłych. A nawet jeśli mieszkają na innym kontynencie, mają prawo do tego, żeby poczuwać się do obowiązku troski o groby swoich bliskich, choćby nawet tylko poprzez opłacenie kogoś, kto te groby pielęgnuje. Nawet jeżeli mieszkam bardzo daleko,

„GDZIEŻ JEST, O ŚMIERCI, TWOJE ZWYCIĘSTWO?”

dobrze jest zachować sobie możliwość, że kiedyś jednak przyjdę na groby najbliższych sobie osób. Nie lekceważmy tych najbardziej prostych sposobów łączności z tymi, którzy już z tego świata odeszli.

Ufam, że zostanę zrozumiany. Celem tych uwag nie było potępienie kremacji. Nawet Kościół takie rozwiązanie dopuszcza. Chciałem tylko zasignalizować parę istotnych powodów, dla których należy „usilnie zalecać” pozostanie przy tradycyjnym zwyczaju grzebania zwłok naszych bliskich.



„Aby każdy otrzymał
zapłatę za czyny
dokonane w ciele”

(2 Kor 5,10)

Wspaniałość sądu Bożego

Tęsknota za sądem Bożym

Spójrzmy na te zdania w Piśmie Świętym, w których sąd Boży przedstawiony jest jako wydarzenie radosne i wytęsknione. Oto fragment Psalmu 96:

Niech się cieszy niebo i ziemia raduje;
niech szumi morze i to, co je napęlnia;
niech się weselą pola i wszystko, co jest na nich,
niech się także radują wszystkie drzewa leśne
przed obliczem Pana, bo nadchodzi,
bo nadchodzi, aby sądzić ziemię.
On będzie sądził świat sprawiedliwie,
z wiernością swą – narody.

W świecie, który oddalił się od Boga i został zdominowany przez rozmaite potęgi bałwochwalcze, nic nie jest takie, jakim by być mogło i jakim być powinno. „Stworzenie bez Stwórcy marnieje” – trafnie określił to ostatni sobór (KDK, 36). Tam, gdzie przestajemy liczyć się z Bogiem,

nie tylko my sami mało już wiemy, kim jesteśmy i po co żyjemy, ale również wszystko, co tworzy nasz świat, jest jakoś wypaczone i pozbawione autentyczności.

To dlatego zapowiedź przyjścia Boga do swojej własności budzi taką radość nie tylko Bożych przyjaciół, ale w całym stworzeniu. Myśl wyrażoną w budzącej zachwyt wizji Psalmu 96 język wykładu teologicznego oddaje w postaci następującej definicji: sąd Boży jest to potężne i pełne miłości wkroczenie Boga w nasze ludzkie sprawy, aby przywrócić dobru wszystkie należne mu prawa i aby złu nie pozwolić na dalsze panoszenie się.

Toteż nic dziwnego, że wiara każe nam nieraz wręcz tęsknić za sądem Bożym. W Nowym Testamencie znajduje się świadectwo, iż u pierwszych chrześcijan oczekiwanie to było niekiedy tak intensywne, że „starali się przyspieszyć przyjście dnia Bożego” (por. 2 P 3,12) – co dla nas dzisiaj jest tym bardziej zagadkowe, że apostoł Piotr od razu przypomina, iż w tym dniu „niebo zapalone pójdzie na zagładę, a gwiazdy w ogniu się rozsypią”. Dlatego zaś – kontynuuje Piotr swoje wyjaśnienie – chcielibyśmy przyspieszyć nadejście tego dnia, ponieważ „oczekujemy, według obietnicy, nowego nieba i nowej ziemi” (w. 13).

Nie da się jednak ukryć, że my nieraz – mimo że przecież naprawdę wierzymy w Chrystusa – raczej boimy się Jego przyjścia na sąd, niż chcielibyśmy dzień Jego przyjścia przyspieszać. Postawę tę wnikliwie zanalizował św. Augustyn, zresztą w komentarzu do cytowanego wyżej psalmu:

Miłujemy Go i boimy się, że przyjdzie? Czy naprawdę miłujemy? A może bardziej miłujemy swoje grzechy? Zatem grzechy miejmy w nienawiści, a miłujemy Tego, który przyjdzie, aby ukarać grzechy. Chcemy czy nie chcemy, przyjdzie na pewno. To, że nie przychodzi teraz, nie oznacza, że nie przyjdzie później. Przyjdzie, a nie wiesz kiedy. Jeśli znajdziesz cię przygotowanym, ta niewiedza ci nie zaszkodzi.

W katechezie wygłoszonej 18 września 2002 roku św. Jan Paweł II przypominał, że w pierwszym swoim wymiarze proroctwo zapowiadające przyjście Pana na sąd spełniło się w wydarzeniu Bożego Narodzenia oraz Jego zbawczej śmierci na krzyżu. Przyszedł On wtedy do nas w prawdzie boskiej potędze i dokonał odkupienia całego świata. Przyszedł po to, żeby udzielić swojego boskiego poparcia wszystkiemu, co jest otwarte na miłość. Zarazem, w Wielki Piątek, Chrystus Pan zdemaskował ostateczną bezsilną złą: chociaż siły zła w tamtej godzinie ciemności zrobiły wszystko, żeby Go zwyciężyć, poniosły całkowitą klęskę. Toteż Kościół od wieków raduje się swoim Panem i Sędzią, który – żeby powtórzyć sformułowania Jana Pawła II – „króluje z wysokości krzyża, z tronu miłości, a nie władzy”.

Tak czy inaczej, te dwa przyjścia Pana i Sędziego – najpierw w ludzkiej słabości, na koniec zaś w boskim majestacie – łączą się ze sobą wzajemnie. Toteż sama logika naszej wiary domaga się, żebyśmy my, którzy już teraz „ogłdamy Jego chwałę, chwałę, jaką Jednorodzony otrzymuje od Ojca, pełen łaski i prawdy” (J 1,14), tęsknili i chcieli tęsknić jeszcze więcej i jak najprawdziwiej – za tym dniem, kiedy „wszystko zostanie poddane Synowi, a wtedy i sam

Syn [w przyjętym od nas człowieczeństwie] zostanie poddany Temu, który Synowi poddał wszystko, aby Bóg był wszystkim we wszystkich” (1 Kor 15,28).

Przedwieczny zamysł idealnie zrealizowany!

W ewangeliiach sąd Boży porównano do żniw (por. Mt 13,30). „Tym, który sieje dobre nasienie, jest Syn Człowieczy. Rolą jest świat, dobrym nasieniem są synowie królestwa, chwastem zaś synowie Złego. Nieprzyjacielem, który posiał chwast, jest diabeł; żniwem jest koniec świata, a żeńcami są aniołowie” (Mt 13,37–39) – objaśniał Pan Jezus jedną ze swoich przypowieści.

Żniwa jest to wydarzenie w zasadzie pozytywne i jednoznaczne, wieńczące czas oczekiwania na plony. W metaforze żniw zawiera się ten przekaz, że świat ani jego dzieje nie są czymś przypadkowym. Świat ma jakiś pozytywny sens do zrealizowania i jakiś ostateczny cel do osiągnięcia. Cel nie tylko ostatni, ale ostateczny, ostatecznie dopełniający.

Skoro zaś ostateczny, to wiecznotrwały. Słowem, dzień sądu będzie to dzień, w którym ostatecznie ujawni się wspałałość Bożego dzieła stwórczego. Dla całego stworzenia (stąd obecność aniołów w opisach sądu) stanie się wówczas czymś oczywistym, że zamysły swojej miłości wobec całego stworzenia Bóg doprowadził do idealnego końca i żadne ciemne siły nie zdołały Mu w tym przeszkodzić.

Warto tu jeszcze odnotować, że ewangeliczny termin „koniec świata”, jaki pojawia się w przypowieściach Pana Jezu-

sa, w swoim greckim oryginale ma głębię, której brak jego polskiemu odpowiednikowi. *Synteleia* znaczy bowiem raczej „uwieńczenie”, „dopełnienie”, niż „koniec”. Zatem dzień sądu będzie nie tyle dniem „końca świata”, co jego dopełnienia.

Gospodarz czekający na żniwa musiał na początku swoje pole obsiać. Podobnie świat dlatego zmierza do swojej ostatecznej dojrzałości, że jego Stwórca nadał mu taki właśnie kierunek rozwoju. Można powiedzieć, że dzieje wszechstworzenia to jedno niedające się przez ludzki umysł ogarnąć gigawydarzenie. Jego początkiem był Boży zamysł miłości, dzięki któremu wszystko zostało powołane do istnienia – a jego uwieńczeniem będzie doprowadzenie tego zamysłu do idealnie zrealizowanego końca, do pojawienia się „nowego nieba i nowej ziemi, w których będzie mieszkała sprawiedliwość” (2 P 3,13).

Autorowi Apokalipsy wyraźnie zabrakło słów, ażeby dostatecznie wyrazić swój zachwyt dla ostatniego kształtu dzieła Boskiego Artysty, jakie ujrzymy w dniu sądu:

A wszelkie stworzenie, które jest w niebie
i na ziemi, i pod ziemią, i na morzu,
i wszystko, co w nich przebywa,
usłyszałem, jak mówiło:
„Zasiadającemu na tronie
i Barankowi
błogosławieństwo i cześć, i chwała, i moc, na wieki wieków!”.
A czworo Zwierząt mówiło: „Amen”.
Starcy zaś upadli i oddali pokłon (Ap 5,13–14).

Analogiczną strukturę ma Boży zamysł wobec każdego z nas. Każdy z nas jest nie tylko członkiem swojej rodzi-

ny i różnych innych społeczności, do których należymy. Jestem nie tylko częstką swojego pokolenia i całej ludzkości, nie tylko częstką wszechstworzenia. Mnie i każdego z nas Bóg ukochał odrębnie, dla mnie samego. Ukochał mnie, zanim jeszcze zaistniałem, i właśnie dlatego, że mnie ukochał, ja zaistniałem. Apostoł Paweł mówi o tym na początku Listu do Efezjan: „W Chrystusie Bóg wybrał nas przed założeniem świata, abyśmy byli święci i nieskalani przed Jego obliczem”.

I to jest zamierzony przez wcześniejszą ode mnie Bożą miłość do mnie mój cel ostateczny: mam być przez całą wieczność święty i nieskalany przed Bożym obliczem! Ja, obecnie wciąż jeszcze grzeszny i ułomny, na Sądzie Ostatecznym ukażę się jako Boże arcydzieło! Bóg ma nas miliardy i miliardy, a każdy ze zbawionych ujawni się wówczas jako niewyobrażalnie oryginalne i niepowtarzalne arcydzieło Bożej miłości! Arcydzieło osobowe, nieporównywalne z dziełami ludzkich artystów. Osoba zaś może osiągnąć piękno wręcz olśniewające – jeżeli od samego Boga nauczy się odnajdywać samą siebie poprzez bezinteresowne dawanie siebie. Takim właśnie pięknem zajaśnią zbawieni na Sądzie Ostatecznym.

A jednak boimy się tego sądu!

A jednak sąd Boży budzi lęk. Sam Pan Jezus ostrzegał nas, że na tym sądzie niektórzy zostaną odrzuceni i usłyszą: „Zaprawdę, powiadam wam, nie znam was” (Mt 25,12), „Idźcie precz ode Mnie, przekłęci, w ogień wieczny, przy-

gotowany diabłu i jego aniołom!” (w. 41). Budzące dreszcz sformułowania na temat tego sądu znajdziemy również w listach apostoelskich: „Oto przez swoją zatwardziałość i serce nieskłonne do nawrócenia skarbisz sobie gniew na dzień gniewu i objawienia się sprawiedliwego sądu Boga” (Rz 2,5; por. 2 P 3,7).

Ponadto, niepokoją nas jeszcze inne pytania: Owszem, liczymy na Boże miłosierdzie, ale czy Bóg odpuści nam również te grzechy, których sobie nie uświadamialiśmy? A jeśli nawet w sakramencie pokuty Pan Jezus przebaczył mi moje grzechy, to czy na tym sądzie nie będę jeszcze raz zdawał z nich rachunku, zwłaszcza jeżeli ich konsekwencją były niedające się naprawić krzywdy? I jeszcze jedno pytanie: Czy zbawieni mogą się spodziewać, że grzechy, które im Bóg przebaczył, będą zapomniane i nikt nie będzie o nich wiedział?

Zacznijmy od ostatniego pytania. Niektórzy święci, zanim stali się prawdziwymi przyjaciółmi Boga, dopuścili się wielkich grzechów, a nawet zbrodni. Dawidowi mało było tego, że uwiódł cudzą żonę, to jeszcze zabił podstępnie jej męża. Piotr zaparł się swojego Mistrza, Maria Magdalena zaś prowadziła życie tak bardzo grzeszne, że ewangelista nie próbował tego nawet opisywać, użył tylko mocnego sformułowania, że dzięki Panu Jezusowi „opuściło ją siedem złych duchów” (Łk 8,2). Wszyscy troje zostali wielkimi świętymi, a w niebie niewątpliwie cieszą się z tego, że rokrocznie z tysięcy ambon opowiada się o ich grzechach, bo przecież opowiada się zarazem o ich nawróceniu i doznanym przez nich Bożym miłosierdziu.

Otóż zbawienie polega na tym, że będę bez reszty przeniknięty miłością Bożą: sam będę cały i bez reszty wart miłości i będę kochał wszystkich i wszystko, co jest warte miłości. Znikną więc powody, dla których cenimy sobie wysoko możliwość zachowania w ukryciu różnych prywatnych naszych spraw. Nawet zła, którego dawniej się dopuściłem, nie będę się wówczas wstydził, bo przecież zostało ono przezwyciężone. Zło odpokutowane, wybaczone i zastąpione jeszcze większym dobrem, nie jest już przedmiotem wstydu, bo pamięć o nim cała jest przepełniona radością i wysławianiem miłosierdzia Boga, który nie dopuścił do mojej zguby.

Niemniej pozostaje faktem, że niektóre biblijne wypowiedzi na temat sądu Bożego budzą w nas wręcz przerażenie. Jednak przypomnijmy ogólny ton, w którym została nam ogłoszona Dobra Nowina. Ewangelia jest jedną wielką obietnicą zbawienia i wezwaniem do tego, żeby się na nie otworzyć. „Syn Człowieczy przyszedł szukać i zbawić to, co zginęło” (Łk 19,10) – mówił o swojej misji Pan Jezus. Przypowieść o synu marnotrawnym i o pasterzu poszukującym zagubionej owieczki, i duchowa obietnica zawarta w Chrystusowych uzdrowieniach, i konkretny los ocalonej przez Niego cudzołożnicy, i licznych celników, i łotra wraz z Nim ukrzyżowanego, a przede wszystkim sama Jego śmierć i zmartwychwstanie – wszystko to świadczy o Jego nieskończonym miłosierdziu.

Zatem wszystkie trudne wypowiedzi Pana Jezusa, mogące budzić lęk, a nawet przerażenie, rozumiemy autentycznie dopiero wówczas, gdy rozpoznamy w nich słowo

miłości. Kiedy mówił On o tym, że na sądzie Bożym mogą zostać potępiony – to w tym celu, żeby mnie to absolutnie nie spotkało, żeby mnie przed tą straszną ewentualnością uchronić.

Kiedyś wielkie wrażenie wywarło na mnie kazanie na temat sądu Bożego, jakie wygłosił starszy mój współbrat, o. Rajmund Koperski. Na swoim sądzie – mówił – Bóg zada każdemu z nas jedno jedyne pytanie: „Czy ty Mnie kochasz?”. Kłamstwo i udawanie będą na tym sądzie niemożliwe, tam człowiek będzie mówił czystą prawdę. Ci, którzy na pytanie: „Czy ty Mnie kochasz?” odpowiedzą: „Tak, Panie, Ty wiesz, że Cię kocham” (J 21,16) – od razu znajdą się wśród zbawionych. Pozostałych Bóg zapyta: „Czy przynajmniej pozwolisz Mi, abym Ja ciebie kochał?”. Ci, którzy na to pytanie odpowiedzą: „Tak” – pójdą do czyśćca, gdzie miłość Boża będzie ich ogarniała coraz bardziej, aż cali i bez reszty rozkochają się w swoim Bogu i Zbawicielu, i staną się zdolni do przebywania przed Bożym obliczem twarzą w twarz. Strach pomyśleć, że ktoś nawet na to pytanie mógłby odpowiedzieć arogantycznym „Nie”! Wydaje mi się, że ujęcie to świetnie streszcza biblijną naukę o sądzie Bożym.

Gdzie są nasi zmarli?

Rodzice opłakujący utratę dziecka, albo żona w żałobie po śmierci swojego męża, często stawiają sobie to pytanie: „Gdzie on teraz jest?”. Jeżeli ktoś mnie o to pyta, zazwy-

czaj staram się skierować jego myślenie na inne tory. Bo kiedy utraciliśmy kogoś bardzo bliskiego, z kim byliśmy związani nierozzerwalnie, czymś naprawdę ważnym jest to, żebyśmy tę ukochaną osobę powierzali Panu Jezusowi. Zastanawianiem się nad tym, co się teraz dzieje z naszym zmarłym, przecież nic mu już nie pomożemy. Natomiast w modlitwie oddawać drogiego mi zmarłego Panu Jezusowi – to realnie zabiegać o to, żeby on dostał zbawienia.

Kiedy jednak komuś bardzo zależy na tym, żeby odpowiedzieć mu na pytanie: „Gdzie on teraz jest?”, zazwyczaj pokazuję mu początek trzeciego rozdziału Księgi Mądrości: „Dusze sprawiedliwych są w rękę Boga i nie dosięgnie ich męka. Zdało się oczom głupich, że pomarli, zejście ich poczytano za nieszczęście i odejście od nas za unicestwienie, a oni trwają w pokoju” (Mdr 3,1–3).

Miliony ludzi czerpało pociechę z tego krótkiego tekstu. Jednak pod jego wpływem może pojawić się następujący niepokój: „Czy mogę mieć pewność, że również Bóg rozpoznał mojego drogiego zmarłego jako kogoś sprawiedliwego?”. Jeżeli ogarnia nas taki niepokój, starajmy się usłyszeć w nim wezwanie do ożywienia modlitwy za naszego zmarłego. Przecież wolno nam ufać, że Panu Jezusowi więcej jeszcze niż mnie zależy na tym, aby mojego zmarłego męża, żonę, matkę, ojca i w ogóle najbliższe mi osoby obdarzyć życiem wiecznym! Przecież On za nas i za każdego z nas zapłacił niewyobrażalnie wysoką cenę męki i śmierci na krzyżu!

Jeszcze w jednym wiara ma całkowitą pewność: że im więcej my, jeszcze zostawieni na tym świecie, będziemy

należeli do Pana Jezusa, tym większą wolno nam mieć nadzieję, że w Nim odnajdziemy również naszych zmarłych. Bo przecież – sam należąc do Pana Jezusa – przybliżam się do Niego jako ktoś związany miłością z moimi najbliższymi! Również z tymi, którzy już odeszli z tego świata.

„Miejscem” życia wiecznego jest Jezus Chrystus

Nowy Testament mówi o życiu wiecznym bardzo często, a zarazem bardzo oszczędnie. Pan Jezus mówił nam po prostu, że to On jest – i będzie na zawsze – naszym Życiem i dzięki Niemu śmierć nas nie ogarnie, nawet kiedy pomrzemy: „Ja jestem zmartwychwstaniem i życiem. Kto we Mnie wierzy, choćby i umarł, żyć będzie. Każdy, kto żyje i wierzy we Mnie, nie umrze na wieki” (J 11,25n). To dlatego, zbliżając się do Niego przez wiarę, tym samym otwieramy się na życie wieczne: „Kto wierzy w Syna, ma życie wieczne” (J 3,36; por. 6,47).

Rzecz jasna, nie chodzi tu o wiarę w sensie deklaratywnym, ale o wiarę, która rzeczywiście przemienia człowieka: „Zaprawdę, zaprawdę, powiadam wam: Jeśli kto zachowa moją naukę, nie zazna śmierci na wieki” (J 8,51). Tylko w takiej wierze można dojść do życia wiecznego: „Moje owce słuchają mego głosu, a Ja znam je. Idą one za Mną i Ja daję im życie wieczne. Nie zginą one na wieki i nikt nie wyrwie ich z mojej ręki” (J 10,27 i nast.; por. 12,50).

Dokładnie tego samego – z perspektywy kogoś, kto właśnie w Chrystusie dostępuje zbawienia – nauczał

apostoł Paweł. „Jestem pewien, że ani śmierć, ani życie (...) nie zdoła nas odłączyć od miłości Boga, która jest w Chrystusie Jezusie, Panu naszym” (Rz 8,38 i nast.). Dla Pawła być zbawionym to po prostu „być z Chrystusem”: „pragnę odejść, a być z Chrystusem, bo to o wiele lepsze, pozostawać zaś w ciele – to bardziej dla was konieczne” (Flp 1,24). W innym liście Apostoł Narodów napisze, że „chcielibyśmy raczej opuścić nasze ciało i stanąć w obliczu Pana” (2 Kor 5,8).

Jednego możemy być pewni w odniesieniu do tych wszystkich, którzy po swojej śmierci usłyszą od Sędziego: „Pójdźcie, błogosławieni Ojca mego, weźcie w posiadanie królestwo, przygotowane wam od założenia świata!” (Mt 25,34). Niewątpliwie, ich spotkanie z Chrystusem będzie nieporównanie wspanialsze, niż najgłębsze nawet doświadczenia mistyczne na tej ziemi: „Teraz widzimy jakby w zwierciadle, niejasno; wtedy zaś [zobaczymy] twarzą w twarz: Teraz poznaję po części, wtedy zaś poznam tak, jak i zostałem poznany” (1 Kor 13,12). Ufajmy, że i my wśród tych Bożych wybranych się znajdziemy. I błagajmy Chrystusa, aby nikt z tych, za których On na krzyżu życie oddał, owoców Jego męki nie zmarnował.

Bezsilność naszej wyobraźni, niezdolnej domyślić się, do jak wielkiego szczęścia jesteśmy przeznaczeni, wyrażano niekiedy poprzez porównanie do narodzin. My, dopiero pielgrzymujący do życia wiecznego, jesteśmy poniekąd podobni do dziecka, które się jeszcze nie urodziło. Ono jeszcze nie wie i nawet nie może się tego domyślać, ile radości będzie mu dawało przytulanie przez matkę i ssa-

nie jej mleka – nie mówiąc już o tysiącach różnych radości, które później będą jego udziałem na tej ziemi. Analogicznie, o szczęściu życia wiecznego obecnie możemy wiedzieć tyle, co swojego czasu powiedział apostoł Paweł: że „ani oko nie widziało, ani ucho nie słyszało, ani serce człowieka nie zdoła pojąć, jak wielkie rzeczy przygotował Bóg tym, którzy Go miłują” (1 Kor 2,9).

W tym jeszcze metafora narodzin trafnie oddaje tę niewyobrażalnie wspaniałą nowość, jaką będzie dla nas życie wieczne, że będzie ono kontynuacją naszej obecnej zażyłości z Panem Jezusem. Większość świętych tekstów, któreśmy tu przywoływali, to podkreśla. To naprawdę niesłychanie ważne, żeby już w życiu obecnym Pan Jezus stał się dla nas kimś bliskim, żebyśmy starali się z Nim zaprzyjaźnić.

Zwróćmy uwagę na niezwykle atrakcyjność, a zarazem kompletną nieatrakcyjność przedstawień życia wiecznego w Nowym Testamencie. Kiedy dowiadujemy się, iż życie wieczne będzie polegało na tym, że będziemy z Chrystusem, cali Jemu oddani i bez reszty Go kochający, to w sercu, które już teraz Go kocha, obietnica ta rozpala bezbrzeżną tęsknotę, natomiast dla człowieka, który Chrystusa nie pokochał, tak przedstawione niebo wyda się stanem wiecznej nudy.

Spójrzmy dla przykładu na następujący obraz nieba, przedstawiony w Apokalipsie: „Paść ich będzie Baranek, który jest pośrodku tronu, i poprowadzi ich do źródeł wód życia: i każdą łzę otrze Bóg z ich oczu” (Ap 7,17). Przecież taki obraz porwać może tylko kogoś kochającego! Nawet

ten, kto Jezusa podziwia, ale Go nie pokochał, zapewne nie zapagnie wiekuistego przebywania z tym Barankiem Bożym, który zgładził grzech świata. Ten zaś, kogo ogarnie tęsknota za tym Barankiem, znajdzie w tym obrazie również odpowiedź na pytanie, czy po śmierci spotkamy naszych bliskich. Oczywiście, że spotkamy – u źródeł wód życia, do których poprowadzi nas Chrystus!

Czy zmarli – a przynajmniej ci nasi zmarli, którzy doszli już zbawienia – pamiętają o nas, których zostawili na ziemi? Przypomnijmy sobie, że Chrystus, nasz Arcykapłan, „zawsze żyje, aby się wstawiać za nami” (Hbr 7,25; por. 9,24). Ci, którzy już na zawsze są z Nim, to znaczy zbawieni, z całą pewnością uczestniczą w tej Jego modlitwie wstawienniczej. „Święci w chwale nieba – czytamy w *Katechizmie Kościoła Katolickiego*, 1029 – nadal wypełniają z radością wolę Bożą w odniesieniu do innych ludzi i do całego stworzenia. Już królują z Chrystusem; z Nim będą królować na wieki wieków” (Ap 22,5).

I jeszcze jedno pytanie: Czy zmarli, którzy są już zbawieni, tęsknią za swoimi bliskimi, którzy do życia wiecznego jeszcze pielgrzymują? Są już z Chrystusem, a zatem są niewyobrażalnie szczęśliwi, ale czy za nami tęsknią? Odpowiedzi na to pytanie szukajmy w nauce Kościoła, że pełnię zbawienia otrzymamy dopiero w zmartwychwstaniu powszechnym, kiedy Chrystus Pan „przekształci nasze ciało poniżone na podobne do swego chwalebne-go ciała” (Flp 3,21). Zatem również ci, którzy są już wiekuiście zjednoczeni z Chrystusem, czekają na odzyskanie i chwalebne przemienienie swoich ciał. Rozumie się

samo przez się, że czekają również na chwalebne zmartwychwstanie wszystkich osób, z którymi byli szczególnie związani w swoim życiu doczesnym. Nie będzie nadużyciem, jeżeli do naszych zmarłych odniesiemy to, co w Liście do Hebrajczyków napisano o sprawiedliwych Starego Testamentu: „Bóg, który nam lepszy los zgłowił, nie chciał, aby oni doszli do doskonałości bez nas” (Hbr 11,40)

„Niebo mojej duszy”

W pieśni eucharystycznej pt. *Jezusa ukrytego* znajduje się poruszająca zwrotka: „O Niebo mojej duszy, najmiłszy Jezu mój, / Dla mnie wśród ziemskiej suszy, / Tyś szczęścia pełen źródło”. Nie jest to jedyny tekst modlitewny, w którym Jezusa nazywamy naszym Niebem. Równie często śpiewamy w naszych kościołach pieśń, zaczynającą się od słów: „Pójdź do Jezusa, do niebios bram. / W Nim tylko szukaj pociechy tam. / On Cię napoi krwią swoich ran, / On Ojciec, Lekarz, Pan”.

Geniusz ludowej pobożności rozumuje tu bezbłędnie: skoro życie wieczne to znaczy być z Chrystusem, skoro sam Chrystus jest „miejszem” życia wiecznego, wynika stąd, że wolno nam tęsknić za Chrystusem jako za naszym Niebem. Właśnie tęsknić, a nie tylko tak Go nazywać. Głoszona przez teologów teza, iż życie wieczne zaczyna się już teraz, będzie się dla nas w ten sposób stawiała – już na tej ziemi – coraz wspanialszą rzeczywistością.

Święty Augustyn intuicję tę wyraził nieoczekiwanie inaczej. Przedtem jednak zwróćmy uwagę na to, że w Nowym Testamencie zwroty „Chrystus w nas” (por. Rz 8,10; 2 Kor 13,5; Ga 2,20, itd.) oraz „my w Chrystusie” (por. Rz 12,5; 2 Kor 1,21; Ga 3,28, itd.) mają, jak się wydaje, sens synonimiczny. Skoro zatem tęsknimy za tym, ażeby Chrystus Pan już na tej ziemi stawał się dla nas Niebem, to przecież i my już na tej ziemi powinniśmy stawać się coraz więcej obywatelami nieba, a nawet – niebem:

Również ty, jeśli zechcesz – przekonuje nas św. Augustyn – będziesz niebem. Chcesz być niebem? Oczyszczaj swoje serce z ziemi. Jeśli pozbędziesz się ziemskich pożądań, i jeśli prawdziwie będziesz mógł o sobie powiedzieć, że serce masz w górze, będziesz niebem. Jeśli razem z Chrystusem powstałicie z martwych – powiada wiernym Apostoł – szukajcie tego, co w górze, gdzie przebywa Chrystus, zasiadając po prawicy Boga. Żyćcie tym, co w górze, nie tym, co na ziemi (Kol 3,1 i nast.). Zaczęłeś żyć tym, co w górze, a nie tym, co na ziemi – czyż nie stałeś się niebem? Nosisz ciało, a w sercu jesteś już niebem (*Objaśnienie Psalmu*, 96, 10).

I wywód swój potwierdza Augustyn znanymi słowami apostoła Pawła: „Nasze bowiem przebywanie jest w niebie” (Flp 3,20).

Jak widzimy, nie przekroczyliśmy tego, że nasze mówienie o niebie dla jednych jest niezwykle atrakcyjne, dla innych zaś – skrajnie nieatrakcyjne. Przypomnijmy sobie jeszcze (nieco skrócony) wykład św. Augustyna, w którym, wyjaśniając, na czym będzie polegało szczęście wieczne, przeszedł on samego siebie. Pod wpływem takich

opisów człowiek jakby wręcz musi coraz więcej tęsknić za wejściem do życia wiecznego (a zarazem trudno się dziwić, że kogo innego opis ten zupełnie nie porusza):

Całym naszym działaniem będzie tam Amen! i Alleluja! (Ap 19,4). Ale niech nie zasmuca was cielesna myśl, że gdyby ktoś z was postanowił sobie mówić codziennie Amen! i Alleluja!, to by usechł z nudy, sam dźwięk tych słów by go usypiał i wołałby już milczeć. Niech nie sądzi na tej podstawie, że będzie to życie godne pogardy, a nie tęsknoty, i niech sobie nie myśli: Mamy nieustannie mówić: Amen! i Alleluja!, któż to wytrzyma? Zatem odpowiem wam, w miarę możliwości. Nie przemijalnymi dźwiękami będziemy mówić: Amen! i Alleluja!, ale porywem duszy. Co bowiem znaczy Amen! i Alleluja!? Amen znaczy Zaprawdę!, Alleluja! – Chwalcie Boga! Kiedy zobaczymy twarzą w twarz Tego, którego obecnie oglądamy niejasno i jakby w zwierciadle, wówczas w zupełnie innym i niewypowiedzianie innym porywie zawołamy: To prawda! I powiemy nasze Amen! z niedającym się nasycić nasyceniem. Nasyceniem – ponieważ niczego nie będzie nam brakowało; zaś niedającym się nasycić – ponieważ to, czego nigdy nie zabraknie, zawsze będzie źródłem rozkoszy. Tą zatem prawdą, którą zostaniesz nasycony w sposób niedający się nasycić, będziesz wołał: Amen! Któż zaś może powiedzieć, kim jest Ten, którego oko nie widziało ani ucho nie słyszało, ani serce człowieka nie zdoła pojąć? Bez znużenia więc i z nieustanną radością będziemy oglądali Prawdziwego i będziemy się w Niego wpatrywać w najpełniejszej bezpośredniości, rozpaleni miłowaniem Jego prawdziwości i Ignąc do Niego w słodkim i czystym ponadcielesnym uścisku. I takim samym głosem będziemy Go chwalić i wołać: Alleluja! (*Mowa* 262, 29).

„ABY KAŻDY OTRZYMAŁ ZAPŁATĘ ZA CZYNY DOKONANE W CIELE”

W tym miejscu spontanicznie przypomina się wspaniała wypowiedź *Katechizmu Kościoła Katolickiego*, 1065:

Sam Jezus Chrystus jest naszym Amen (Ap 3,14). On jest ostatecznym Amen miłości Ojca wobec nas; On przyjmuje i dopełnia nasze Amen powiedziane Ojcu: Albowiem ile tylko obietnic Bożych, w Nim wszystkie są „tak”. Dlatego też przez Niego wypowiada się nasze „Amen” Bogu na chwałę (2 Kor 1,20).

„Świętej pamięci”

Prasoznawca potrafiłby zapewne całą rozprawę napisać na temat tych dwóch literek: „śp.” w gazetach PRL. Był czas, kiedy literki te ścigano bezwzględnie i nawet krewnym nie wolno było napisać w gazetowej klepsydrze, że ich umarły jest „świętej pamięci”. Jak dziś pamiętam niedowierzanie, z jakim oglądało się te dwie literki, kiedy około roku 1956 znów pojawiły się one w klepsydrach. Co prawda, wyłącznie w klepsydrach opłaconych przez osoby prywatne. Instytucje nie ośmieliłyby się tych literek umieszczać nawet przed nazwiskami tych swoich zmarłych pracowników, którzy publicznie byli znani ze swojej religijności. Cenzorska i autocenzorska skrupulatność pod tym względem zaczęła zanikać chyba dopiero pod koniec lat siedemdziesiątych.

A swoją drogą, czy to nie dziwne, że zmarłych nazywamy „świętej pamięci”? Że tych dwóch słów nie żałujemy nawet tym zmarłym, którzy pozostawili po sobie pamięć raczej złą? Jakiej tam oni świętej pamięci? – myślimy so-

bie czasem. Spróbuję wyjaśnić, że właśnie te dwa słowa streszczają samą istotę katolickiego stosunku do zmarłych.

„Nie ma pamięci o tych, co dawniej żyli. Nie będzie jej nawet o tych, co kiedyś będą żyli: nie będzie wspomnienia u tych, co będą po nich”. To zdanie z Księgi Koheletha (1,11) to chyba najściślejszy opis gruntownej nietrwałości wszelkiej pamięci, jaką na tej ziemi możemy po sobie pozostawić. Zresztą samo pragnienie – tak ludzkie skądinąd – żeby o nas po śmierci pamiętano, wydaje się nieuleczalnie napiętnowane naszym egocentryzmem. Już bardziej sensowne i mniej egocentryczne jest pragnienie, aby po nas zostało jak najwięcej dobra.

Wiara ośmiela nas do tego, żeby z naszymi pragnieniami mierzyć nieskończenie wyżej. Mianowicie życzymy naszym bliskim i znajomym, którzy od nas odeszli, oraz wszystkim innym zmarłym, aby trwali w świętej pamięci, to znaczy w pamięci samego Boga. Co to znaczy? Otóż Bóg z pewnością nie tak pamięta, jak pamięta człowiek. W pamięci ludzkiej zmarli to tylko cienie, które pozostały w nas po ich życiu. Ich groby, fotografie, listy, jakie do nas pisali, różne materialne pamiątki i całkiem niematerialne wspomnienia – wszystko to odnawia w nas dotkliwie ból naszej z nimi rozłąki. Tak chciałoby się ich bodaj dotknąć, do nich przytulić, powiedzieć im, jak bardzo samotnie nam bez nich. Na próżno.

Nie taka jest pamięć Boga. „Nie jest On Bogiem umarłych, lecz żywych” (Mt 22,32) – przypomina Jezus naukę jeszcze Starego Testamentu. Być w pamięci Boga to znaczy być przed Jego obliczem i żyć tą pełnią, jaka w ży-

ciu obecnym w ogóle nie jest nam jeszcze dostępna. Toteż chrześcijanin nie może mieć większego pragnienia dla samego siebie i dla wszystkich, których kocha, niż to, żeby się znaleźć w pamięci Boga.

Szczególnie często pragnienie to znajduje swój wyraz w modlitwach psalmów: „W wiecznej pamięci będzie sprawiedliwy, nie będzie się lękał złej nowiny” (112,6 i nast.). Albo w innym miejscu: „O życiu Twych ubogich nie zapominaj na wieki!” (74,19). I jeszcze w innym psalmie: „Zapomnij, Panie, o grzechach mej młodości, ale o mnie w swojej łaskawości pamiętaj ze względu na Twą dobroć” (25,7). To właśnie w tę tradycję modlitewną wchodzi dobry łotr, kiedy prosi Jezusa: „Jezu, wspomnij na mnie, gdy przyjdiesz do swego Królestwa!” (Łk 23,42).

Zatem słowa „świętej pamięci”, jakimi opatrujemy imię zmarłego, nie wyrażają twierdzenia, ale stanowią skrótową modlitwę: „Oby Bóg zachował go w swojej świętej pamięci! Oby miał on życie wieczne przed Jego obliczem!”. Stąd bez wahania słowami tymi poprzedzamy imiona również tych zmarłych, których postępowanie nie zawsze było chwalebne.

Zresztą czyjeż postępowanie jest wystarczająco chwalebne na to, żeby zasłużyć sobie na życie wieczne? „Jeśli zachowasz pamięć o występkach, Panie – modlimy się w psalmie *De profundis* – o Panie, któż się ostoï?”. I to jest konieczne uzupełnienie modlitwy za zmarłych: „Zapomnij, Panie, o ich grzechach!”. Podobnie przecież modlimy się za samych siebie: „Zachowaj mnie, Panie, w swojej wiecznej pamięci, ale nie pamiętaj o moich grzechach!”.

Prośba o to, żeby Pan Bóg o czymś zapomniiał, to nie jest naiwność. Kiedy ja, człowiek, zapominam o czymś, prawie zawsze świadczy to o mojej niedoskonałości. Zapominanie przez Boga jest aktem Jego wszechmocnej miłości. Jeśli On zapomina o moich grzechach, znaczy to, że swoją potężną miłością przerywa ich złowieszczą moc oddziaływania na innych. I jeszcze więcej: Bóg jest wystarczająco potężny, żeby oczyścić mnie z tej brzydoty i uzdrowić z tych słabości, jakimi moje grzechy napiętnowały moje wnętrze. Bóg potrafi nawet te rany moich grzechów przemienić w moją szansę – zgodnie z tym, co powiedział Jezus o jawnogrzesznicy: „Umiłowała wiele, bo wiele jej odpuszczono” (por. Łk 7,47). Zatem modlitwa o to, żeby Bóg zapomniiał o moich albo o cudzych grzechach, wyraża znacznie więcej niż pragnienie, aby nam naszych czynów za grzechy nie poczytywał.

Wynika stąd oczywisty wniosek dla tych wszystkich, którzy chcą się modlić za swoich zmarłych. Modlitwy oraz święte obrzędy, jakie odprawiamy za zmarłych, muszą mieć zaplecze w naszej codzienności. Chodzi o to, że nasi zmarli pozostawili po sobie wiele dobra, ale również sporo zła. W dużej mierze to od nas zależy, czy pozostawione przez nich dobro będzie trwało i rozwijało się, zło zaś będzie zneutralizowane i ugaszone. Jest jakiś fałsz w modlitwie za zmarłych, jeśli nie towarzyszy jej nasza aktywna postawa, skierowana ku dobru i przeciwko złu, w stosunku do pozostawionego przez nich dziedzictwa.

A już w żadnym razie nie wolno nam dopuścić do tego, by śmierć tych, których kochaliśmy, stała się okazją do ja-

kiegoś zła. Dziś na szczęście rzadko się zdarza, że kłótnie o spadek poróżnią śmiertelnie najbliższą rodzinę. Niestety, częstsze niż dawniej stały się przypadki żałoby niemądrej: takiej żałoby po zmarłym, która niszczy człowieka i wyobcowuje go z normalnego życia. Szczególnie przykre są przypadki, kiedy śmierć dziecka powoduje pęknięcie w małżeństwie jego rodziców – jeśli na przykład jedno z rodziców obwinia o tę śmierć swego współmałżonka (a tak się dziwnie składa, że oskarżenia te są najczęściej irracjonalne).

Zauważmy: Jeśli śmierć kogoś bardzo mi drogiego jest dla mnie okazją do zła, to ja czynię go jakby współuczestnikiem mojego zła. Na szczęście jest również odwrotnie: odejście kochanej osoby z tego świata staje się dla mnie bodźcem do czegoś bardzo dobrego. Wówczas mój kochany zmarły nawet zza grobu czyni dobro, bo przecież gdyby nie on, ja być może tego dobra bym nie uczynił.

Czy w życiu wiecznym odnajdziemy naszych bliskich?

Pytanie to stawiamy sobie zwłaszcza po śmierci kogoś bardzo bliskiego. Z jednej strony jest dla nas jasne, że na tamtym świecie będzie zupełnie inaczej niż tu, na ziemi. Z drugiej jednak strony, nie umiemy sobie wyobrazić, że w niebie moglibyśmy być szczęśliwi bez osób drogich, kochanych, bliskich.

Co na to wiara Kościoła?

Bardzo zwyczajna odpowiedź na to pytanie znajduje się w modlitwach mszalnych za zmarłych. Na przykład podczas mszy św. za swoich zmarłych rodziców kapłan prosi Boga: „połącz mnie z nimi w szczęśliwości świętych”, a w innej modlitwie: „nagródź ich trudy, a mnie pozwól oglądać ich w radości światła wiecznego”.

Podczas mszy św. za zmarłe dziecko Kościół modli się, „abyśmy kiedyś razem z nim mieli udział w radości życia

wiecznego”. Natomiast za rodziców tego dziecka zanosi się wówczas taką oto prośbę: „Spraw, aby z radością mogli je znowu zobaczyć w Twoim królestwie”.

Szczególnie głęboka wydaje się modlitwa za zmarłych małżonków: „Zjednocz ich w życiu wiecznym w pełni Twojej miłości”. Ale ta nadzieja, iż w życiu wiecznym ludzie sobie bliscy się wzajemnie odnajdą, przewija się również w wielu innych modlitwach Kościoła za zmarłych: „Wprowadź go ze świętymi na wieczną ucztę Twojego królestwa”, „aby żył z Twoimi świętymi w chwale zmarłych”, „aby razem ze swoimi braćmi miał udział w szczęściu wiecznym” – te i podobne sformułowania powtarzają się w tych modlitwach często.

W ten sposób odzwierciedla się w świadomości Kościoła nauka Pana Jezusa o życiu wiecznym. Oto obraz uczty, na którą On – występujący w tym tekście w trzeciej osobie, jako Gospodarz domu – zaprosi wszystkich, których w dniu swego przyjścia zastanie przygotowani: „Przepasze się i każe im zasiąść do stołu, a obchodząc będzie im usługiwał” (Łk 12,37). Trudno sobie wyobrazić ucztę bez wzajemnej bliskości uczujących.

Innym razem Pan Jezus mówi o życiu wiecznym jako o przebywaniu w domu Ojca: „W domu Ojca mego jest mieszkań wiele” (J 14,2). Niestety, istnieją domy, w których mieszkają ludzie wzajemnie sobie obcy. Ale takiej sytuacji nie da się wyobrazić w domu Tego, który jest samą Miłością. Zresztą proszę się wczytać w to, co sam Bóg opowiada o swoim domu, do którego nas zaprasza: „Zamieszkam z nimi i będę chodził wśród nich, i będę

ich Bogiem, a oni będą moim ludem” (2 Kor 6,16; por. Ez 37,27).

Ale co tu dużo mówić: Przecież absurdem byłoby sądzić, iż miłość bliźnich i najbliższych miałaby się skończyć w momencie naszej śmierci. Miłość Boga, która ogarnie nas w życiu wiecznym w stopniu przekraczającym nasze obecne wyobrażenia, jest przecież miłością obdarzającą, a nie zaborczą. Przecież już obecnie doświadczamy, że im więcej kochamy Boga, im prawdziwsza jest nasza miłość Boga, tym więcej i tym prawdziwiej kochamy naszych bliźnich. W życiu wiecznym, kiedy nasza miłość Boga będzie już pełna i doskonała, również nasza miłość wzajemna uzyska swój ostateczny kształt i całą swoją prawdę.

Wspaniale pisze o tym męczennik żyjący w III wieku, św. Cyprian, biskup Kartaginy, w dziełku pt. *O śmierci*:

Naszą ojczyzną jest niebo. Czekają tam na nas wielka rzesza tych, których miłujemy: rodzice, rodzeństwo, dzieci; oczekują nas pewni zbawienia, a jedynie zatroskani o nasze. Jakże wielka będzie wspólna radość dla nich i dla nas spotkać się i wzajemnie powitać! Jakżeż to wielkie szczęście w królestwie niebieskim nie obawiać się więcej śmierci, jakże doskonale i nieustanne szczęście, żyć na wieki! Oto tam chwalebny orszak apostołów, uszczęśliwiony chór proroków, tam niezliczona rzesza męczenników ukoronowana chwałą z powodu zwycięstwa w walce i cierpieniu. Tam zwycięskie dziewice, które pokonały pożądanie ciała mocą wstrzemięźliwości; tam obdarowani jałmużnicy, którzy spełnili czyny sprawiedliwości, bo udzielali potrzebującym pożywienia i innego wsparcia. Oni to, zachowując przykazania Pana,

przenieśli swe ziemskie dziedzictwo do niebiańskich skarbów. Spieszmy ku nim, bracia umiłowani, z wszelką gorliwością. Niech Bóg zobaczy te nasze myśli, niech Chrystus wejrzy na to postanowienie umysłu naszego i wiary, niech nam udzieli tym większej nagrody swojej miłości, im goręcej będziemy Go oczekiwać.

A co z miłością ułomną, czy nawet zmarnowaną?

Dobrze jest sobie uświadomić, że nawet jeśli jesteśmy z kimś związani najgłębiej, nasza miłość jest nieraz naznaczona różnorodnymi brakami. Bardzo ofiarna miłość matki czy ojca może zawierać w sobie elementy egocentryzmu, nierozumienia własnego dziecka lub niemądrej pobłażliwości. Miłość małżonków, nawet ta, która budzi ludzki podziw, może być okaleczona wygodnictwem, niesłuszną uległością lub jakimiś innymi ciemnościami.

Otóż w życiu wiecznym, jeśli Bóg nas nim obdarzy, nie tylko odnajdziemy naszych bliskich, ale odnajdziemy ich w takiej pełni, jaka w obecnym życiu jest nam w ogóle niedostępna. Nasza wzajemna bliskość nie będzie już wówczas – czytamy w *Katechizmie Kościoła Katolickiego* – „zraniona przez grzech, nieczystość, miłość własną, które niszczą lub ranią ziemską wspólnotę ludzi” (1045).

Zatem z tej naszej wiary, że związki nasze wzajemne mogą i powinny doczekać się przetrwania, oczyszczenia i udoskonalenia w życiu wiecznym, wynika ważny wniosek praktyczny: Już teraz winniśmy zauważać i usuwać z naszej miłości do najbliższych to wszystko, co w niej

niedoskonałe, egocentryczne i niepodobające się Bogu. Straszne by to było, gdyby na sądzie Bożym miało się okazać, że w mojej miłości nawet do współmałżonka lub do rodzonego dziecka nie ma nic, co zasługuje na trwanie.

Na koniec postawmy sobie pytanie szczególnie trudne. Zdarza się nieraz, że rodzony syn lub córka tak się oddalą od swoich rodziców, że stają się im zupełnie obcy i nie obchodzi ich to, co rodzice z tego powodu przeżywają. Jeszcze częściej się zdarza, że małżeństwo rozpadnie się jakby tylko jednostronnie: że jeden z małżonków do końca swoich dni czuje się związany z tym, który go porzucił. Czy ludzie ci mogą mieć nadzieję na odnalezienie swego bliskiego w życiu wiecznym? Czy odnajdą się kiedyś skłóceni bracia, poranieni przyjaciele, ofiary skomplikowanych konfliktów, w których czasem jakby nikt nie zawinił?

Ten, kogo takie pytanie naprawdę dręczy, musi wiedzieć, że odpowiedź jest uzależniona od jego własnej postawy. Może to być odpowiedź na „tak”, ale niestety, swoją postawą można tu również odpowiedzieć „nie”. Wszystko zależy od tego, czy zamknę się w poczuciu krzywdy, w chowaniu urazy i rozpamiętywaniu swoich pretensji, czy też będę robił wszystko, żeby otwierać moje serce dla bliskiego, którego utraciłem. Bardzo wiele pojednań między ludźmi tylko dlatego nie dochodzi do skutku, że ci, którzy najbardziej tęsknią za pojednaniem, nieraz – bezwiednie – robią wiele, żeby do pojednania nie doszło.

Warto też nie zapominać, że ostatecznym horyzontem naszego pojednania jest życie wieczne. Jeśli naprawdę, w obliczu Boga, zależy mi na pojednaniu, jeśli będę

oczyszczał moją modlitwę o pojednanie, tak żeby była ona naprawdę bezinteresowna, wolno mi mieć nadzieję, że Bóg do tego pojednania w końcu doprowadzi. Choćby dopiero po mojej śmierci.

Jak okazywać miłość naszym zmarłym?

W encyklice *Spe salvi* papież Benedykt XVI napisał: „W ciągu wszystkich wieków chrześcijaństwo żywiło fundamentalne przekonanie, że miłość może dotrzeć aż na tamten świat, że jest możliwe wzajemne obdarowanie, w którym jesteśmy połączeni więzami uczucia poza granice śmierci”.

Warto sobie uprzytomnić, że miłość naszym zmarłym możemy okazać nie tylko przez modlitwę za nich. Rzecz jasna, modlitwa za naszych zmarłych jest czymś niezwykle ważnym – przecież pogłębia się w ten sposób nasza wspólnota z nimi przed Bogiem. Kościół szczególnie zachęca nas do tego, żebyśmy pamiętali o nich podczas ofiary eucharystycznej. Jednak również na inne sposoby możemy – a niekiedy nawet powinniśmy – naszym zmarłym okazywać miłość.

Możemy być „pełnomocnikami” naszych zmarłych

Zacznę od świadectwa. Wyczytałem kiedyś u Kolberga, że ludność wiejska na Mazowszu pielęgnowała taki

zwyczaj, że kondukt pogrzebowy w drodze na cmentarz zatrzymywał się obok kapliczki albo przy krzyżu przydrożnym. Wtedy ktoś z bliskich zmarłego zwracał się do uczestników pogrzebu z prośbą, żeby wybaczyli wszelkie zło, jakie może im zmarły wyrządził. Obyczaj nakazywał przekrzykiwać się wtedy wzajemnie słowami w rodzaju: „To on niech nam wybaczy, jeżeli go skrzywdziliśmy!”, „Nic przeciwko niemu nie mamy!”, „Niech Pan Jezus okaże mu miłosierdzie!”, „Niech odpoczywa w pokoju!”, itp.

Przypomniałem o tym zwyczaju podczas pogrzebu pewnej artystki. Ten passus kazania pogrzebowego zakończyłem zachętą, ażeby podczas przekazywania sobie znaku pokoju wszyscy duchowo pojednali się ze zmarłą, ale również żebyśmy my wszyscy, uczestnicy tego pogrzebu, pojednali się wzajemnie z sobą i wybaczyli sobie wszelkie urazy, jakie się w nas być może nagromadziły. „Potraktujmy to – powiedziałem – jako rodzaj naszego daru dla zmarłej, który może w oczach Bożych będzie więcej wart niż nawet nasze modlitwy”.

Nie wiedziałem, że w pogrzebie uczestniczy wielu ludzi głęboko z sobą wzajemnie skłóconych. Gdybym wiedział, to może nie odważyłbym się aż tak bezceremonialnie do pojednania wzywać. Fakt faktem, że wiele się potem nasłuchałem o tym, że na uczestników pogrzebu spłynął wtedy dosłownie deszcz łaski Bożej. Ludzie składali świadectwa o wielu, naprawdę wielu pojednaniach, jakie się podczas tego pogrzebu dokonały. Jeszcze dziś zdarza się, że ktoś wspomina tamto wezwanie do przekazania sobie

znaku pokoju jako niezapomniane doświadczenie i wielki cud łaski Bożej.

Jednak zwyczajnym sposobem podejmowania dobrych decyzji w imieniu bliskiego nam zmarłego, niejako w jego zastępstwie, jest spłacenie jego długów oraz wypełnienie jego innych zobowiązań, a także naprawienie dających się jakoś wynagrodzić krzywd, jakie on komuś wyrządził – jeżeli odchodząc z tego świata, nie zdążył on pozamykać swoich rachunków z bliźnimi. Miłość podpowiada nam, że na sądzie Bożym będzie mu łatwiej, jeżeli tego nie zaniedbamy.

Ponadto często się zdarza, że intuicja komuś podpowiada, by bliskiemu zmarłemu „umożliwić” czynienie dobra nawet po śmierci. Niekiedy rozwiązywano to wręcz instytucjonalnie i na przykład podczas pogrzebu osoby mającej rodzinie nawet nie wypadało uchylić się od rozdawania jałmużny ubogim. W niektórych klasztorach zmarły zakonnik jeszcze przez czterdzieści dni po swojej śmierci „otrzymywał” swój posiłek, przekazywany następnie komuś głodnemu. Dzisiaj rodzina zmarłego nieraz prosi jego przyjaciół i znajomych, aby zamiast kwiatów na grób przyłączyli się do składki na jakąś szlachetną instytucję, zazwyczaj charytatywną. Niekiedy bliscy zmarłego fundują stypendium dla ubogiego studenta, itp. A jeden tylko Bóg wie, jakie oraz ile różnych dobrych uczynków spełniają ludzie ze względu na swoich zmarłych, nikomu się tym nie chwając. Zazwyczaj mamy wówczas poczucie, jak gdyby spełnione w ten sposób dobro „liczyło się” jako zasługa tego zmarłego.

Czy nasi zmarli modlą się za nas?

Czy zmarli wiedzą, co dzieje się z nami, z którymi tutaj na ziemi byli związani? Oraz pytanie drugie: My modlimy się za nich, ale czy oni modlą się za nas? Odpowiedzi trzeba szukać w perspektywie prawdy o świętych obcowaniu.

Otóż dwie rzeczy wiemy tu na pewno. Po pierwsze, my sami powinniśmy się modlić za naszych zmarłych – przy czym należy pamiętać, że skuteczność naszej modlitwy zależy od tego, czy wstawiając się za nich u Boga, jesteśmy w stanie łaski uświęcającej. Jeżeli króluje w nas grzech, niweczy on istotnie skuteczność naszych modlitw. Zazwyczaj domyślamy się tego spontanicznie i często ludzie mający wielką potrzebę powierzenia swoich zmarłych Panu Bogu sami z siebie, bez żadnej zachęty z zewnątrz, przystępują do sakramentu pokuty i przyjmują komunię świętą, wierząc, że zanoszone przez nich modlitwy za zmarłego będą dzięki temu bardziej skuteczne. Te nawrócenia to zapewne największe zwycięstwa zła grobu.

Po drugie, ci zmarli, którzy są już dopuszczeni do oglądania Bożego oblicza, aktywnie interesują się tymi wszystkimi, których podczas swojego ziemskiego życia kochali, i na pewno modlą się za nich. Oni bowiem są już cali w Bogu i realnie uczestniczą w Bożej prawdzie i miłości. Nauczyciele Kościoła wysuwają tu jednak ważne zastrzeżenie: Skuteczność nie tylko naszych modlitw za zmarłych, ale również ich modlitw za nas istotnie zmniejsza (albo nawet niweczy) nasz grzech. Choćbyśmy miał bardzo

świętych rodziców i nawet jeżeli oni są już ostatecznie zjednoczeni z Bogiem, niewiele ich modlitwa za mnie mi pomoże, jeżeli żyję w grzechu i w ogóle nie zamierzam się nawracać. Krótko mówiąc: Ażeby modlitwa zanoszona za mnie przez tych moich zmarłych, którzy są już bez reszty święci, była skuteczna, ja sam muszę Boga kochać i starać się wzrastać w świętości.

Jeżeli natomiast moi bliscy są jeszcze w czyśćcu – czy oni wiedzą, co się ze mną dzieje i czy modlą się za mnie? Tego nie wiemy. Raczej nie – tak twierdzą najwybitniejsi teologowie, Kościół jednak ostatecznie się na ten temat nie wypowiedział – zatem dla nas lepiej nie znać odpowiedzi na te pytania niż ryzykować jakieś odpowiedzi fałszywe. Najważniejsze, żebyśmy nie zapominali się modlić za naszych zmarłych.

Dar czyśćca

Kurczowo, to wcale nie znaczy – wiernie

Ktoś poprosił mnie o przedstawienie mu tekstów biblijnych, które będzie on mógł pokazać palcem w swoich rozmowach ze świadkami Jehowy na temat czyśćca. Owszem, za chwilę te teksty pokażę, ale przedtem chciałbym dwa słowa powiedzieć na temat czytania Pisma Świętego na wzór saduceuszy. Wiemy z Ewangelii, że saduceusze odrzucali prawdę o przyszłym zmartwychwstaniu, a uzasadniali to tym, że Pięcioksiąg Mojżesza (a saduceusze tylko Pięcioksiąg uznawali za Pismo Święte) na temat tej prawdy milczy. I każdy biblista przyznałby rację saduceuszom: faktycznie, w całym Pięcioksięgu nie ma ani jednego zdania, które mówi wprost o zmartwychwstaniu.

Pan Jezus skrytykował to kurczowe zamykanie się w literach świętego tekstu i przytoczył saduceuszom zdanie z Pięcioksięgu, w którym oni powinni – gdyby umieli słowo Boże czytać w wierze – zauważyć prawdę o zmar-

twychwstaniu: „Co do zmartwychwstania umarłych, czy nie czytaliście, co wam Bóg powiedział w słowach: »Ja jestem Bóg Abrahama, Bóg Izaaka i Bóg Jakuba«? Bóg nie jest Bogiem umarłych, lecz żywych” (Mt 22,31 i nast.).

„Saducejskie” tendencje do odrzucania z Pisma Świętego tego wszystkiego w słowie Bożym, co nie jest wprost i z całą jasnością uwidocznione w świętym tekście, ujawniły się od razu w pierwszym pokoleniu Kościoła, któremu przyszło żyć bez fizycznej obecności apostołów. Świadczy o tym już św. Ignacy z Antiochii, który w ok. 108 roku napisał takie oto słowa: „Słyszałem, że niektórzy mówią: Czego nie ma w dokumentach, w Ewangelii, temu nie uwierzę. A gdy powiedziałem: Tak istotnie napisano – wówczas odrzekli: To właśnie pytanie!” (*List do Filadelfów* 8, 2).

Mnie samemu zdarzyło się rozmawiać z pewną dziewczyną, pełną pretensji do Kościoła o to, że potępia używanie narkotyków, a przecież Pismo Święte – mówiła mi z oburzeniem – nic na ten temat nie mówi, a na Dalekim Wschodzie (tak twierdziła, ale nie sądzę, żeby to była prawda) niektórzy buddyści używają narkotyków wręcz w celach religijnych. Inna znów dziewczyna mówiła mi o takim „pobożnym” chłopcu, który próbował ją namówić na pójście do łóżka za pomocą argumentów, że Pismo Święte nigdzie nie zakazuje przedmałżeńskiego współżycia. Wielokrotnie zaś – sądzę, że są to wpływy doktryny świadków Jehowy – spotkałem się z twierdzeniem, jakoby miłość ojczyzny była wymysłem pożańskim, bo Nowy Testament nigdzie o niej nie wspomina.

Podąłem szczególnie drastyczne przykłady „saducejskiego” podejścia do Pisma Świętego. Jednak, ogólnie

nie rzecz biorąc, pokusa takiego właśnie czytania Biblii ogromnie się zwiększyła – również wśród katolików – mniej więcej od XV wieku. Na przestrzeni tego bowiem stulecia w mentalności europejskiej zwyciężył nominalizm, czyli ta formacja filozoficzna, która bardziej interesuje się zjawiskową stroną rzeczywistości niż tym, co znajduje się pod zjawiskami, co jest ich korzeniem i nadaje im głębszy sens. W podejściu do tekstu formacja ta rygorystycznie ogranicza się do treści, zawartej bezpośrednio w słowach i zdaniach, i w ogóle nie interesuje ją treść głębsza, na którą ten tekst wskazuje. Krótko mówiąc, jest to formacja wymiaru raczej „wszerz” niż „w głąb”. Otóż nominalizm jest wspólnym podłożem zarówno protestanckiej zasady *sola Scriptura* (tzn. zasady, że tekst Pisma Świętego jest wyłącznym źródłem prawdy wiary), jak tej katolickiej apologetyki, która na cytat biblijny użyty przeciwko jakiejś prawdzie katolickiej odpowiadała dwoma innymi cytatami biblijnymi na poparcie owej prawdy.

Czyściec, dar Bożego miłosierdzia

Cytaty potwierdzające istnienie czyśćca podam już na prawdę za chwilę. Jednak najpierw zaproponuję głęboką lekturę Listu do Rzymian 6,3–14. Przez „głęboką lekturę” rozumiem takie odczytanie Pisma Świętego, jakiego przykład zostawił Pan Jezus we wspomnianej dyskusji z saduceuszami. Mianowicie lektura Pisma jest wówczas głęboka, kiedy natchnione zdania nie zamykają nas rygo-

rystycznie w swoim sensie literalnym, ale prowadzą ku pełniejszej prawdzie Bożej.

Otóż wspomniany fragment Listu do Rzymian mówi o chrzcie jako o zanurzeniu starego człowieka, człowieka grzechu, w śmierci. Po to ma w nas umierać ten człowiek grzechu, aby mógł w nas żyć człowiek nowy, Boży. Zgodnie z tym opisem, życie prawdziwie chrześcijańskie polega na coraz bardziej gruntownym uśmierceniu tego starego człowieka, aby mógł mnie ogarnąć coraz pełniej człowiek Boży. Byłoby idealnie, gdyby ten stary grzesznik umarł we mnie ostatecznie w dniu mojego odejścia z tego świata. Wówczas byłbym już cały i bez reszty człowiekiem Bożym i od razu dostąpiłbym szczęścia oglądania mojego Boga twarzą w twarz. Co jednak będzie, jeśli w momencie śmierci będę wprawdzie człowiekiem Bożym, ale zostanie jeszcze we mnie kawałek tego starego grzesznika? Nie jest to pytanie abstrakcyjne. Owszem, byłoby ono abstrakcyjne, gdybym był w pełni i bez braków wierny łasce Bożej. Niestety, tak nie jest. Nieraz gołym okiem widać, że również ludzie bardzo jawnie wypełnieni łaską Bożą nie wyzbyli się jakichś swoich ułomności i grzechów aż do końca swoich dni.

W Kościele katolickim wierzymy, że Bóg w swoim miłosierdziu zezwala wszystkim swoim przyjacielom, którzy nie zdążyli na tej ziemi dokończyć swojego umierania dla grzechu, aby mogli to uczynić na tamtym świecie. Czyśćcem nazywamy proces ostatecznego oczyszczenia z grzechów, jakiego Bóg dokonuje w tych wszystkich, którzy zeszli z tego świata w stanie łaski uświęcającej i jeszcze takiego oczyszczenia potrzebują. Jesteśmy głęboko prze-

konani, że ta nasza wiara wyrasta bezpośrednio z nauki apostołskiej o życiu chrześcijańskim jako coraz to głębszym umieraniu dla grzechu.

Szczegółowe uzasadnienia biblijne

Potwierdzenie tej wiary znajdujemy również w Ewangelii. Sam Chrystus Pan przestrzegał nas przed zaciąganiem takich długów, które przyjdzie nam spłacać na tamtym świecie: „Pogódź się ze swoim przeciwnikiem szybko, dopóki jesteś z nim w drodze, by cię przeciwnik nie podał sędziemu, a sędzia dozorczy, i aby nie wtrącono cię do więzienia. Zaprawdę powiadam ci: nie wyjdiesz stamtąd, aż zwrócisz ostatni grosz” (Mt 5,25 i nast.). Podobnie mówił Chrystus Pan w przypowieści o nielitościwym dłużniku: „I uniesiony gniewem pan jego kazał wydać go katom, dopóki mu całego długu nie odda. Podobnie uczyni wam Ojciec mój niebieski, jeśli każdy z was nie przebaczy z serca swemu bratu” (Mt 18,34 i nast.).

Toteż bardzo boleśnie dotyczą nas zarzuty protestanckich fundamentalistów, jakobyśmy my naukę o czyścicu wyssali sobie z palca. Jeśli sami nie zauważają tej prawdy w Piśmie Świętym, jest to sprawa ich wiary i sumienia, ale dlaczego są tak agresywni wobec wiary innych? Czy nie mogliby się bardziej skupić na tym wszystkim, co w ich własnej wierze jest pozytywne? Protest i polemika wciąż jeszcze wydają się głównym sposobem ich zaangażowań religijnych.

Wróćmy jednak do tych świętych tekstów, w których my, katolicy, dopatrujemy się świadectw o oczyszczeniu pośmiertnym. Mówiąc o grzechach przeciwko Duchowi Świętemu – a więc na zupełnie inny temat – Pan Jezus rozróżnia odpuszczenie grzechów w tym świecie (w tym wieku) oraz w przyszłym (Mt 12,32). Bibliści powiadają, że zastosował On tu ówczesne rabinackie rozróżnienie, które było podstawą modlitwy za zmarłych. Wśród ówczesnych Żydów modlitwa za zmarłych była już bowiem rozpowszechniona. Godne to uwagi, iż w ewangeliach nie widać śladów, żeby Pan Jezus był jej przeciwny. On, który tak wyraźnie przeciwstawiał się ówczesnym saducejskim próbom demitologizacji obietnicy zmartwychwstania!

To prawda, nie ma również w ewangeliach śladów, żeby Pan Jezus modlił się za zmarłych albo do takiej modlitwy zachęcał. Jest to jednak aż nadto zrozumiałe. Zauważmy, że wszystkie bez wyjątku spotkania Chrystusa Pana ze zmarłymi, jakie są opisane w ewangeliach, kończyły się wskreszeniem! Po prostu ewangelie przedstawiają Chrystusa Pana, który objawia się jako Syn Boży i Zwycięzca śmierci. Pytanie, na czym polega Jego zwycięstwo nad śmiercią w obliczu faktu, że przecież wiara w Niego nie chroni nas przed cielesnym umieraniem i grobem, w ewangeliach w ogóle nie jest podejmowane. A przecież dopiero w odpowiedzi na to pytanie pojawia się prawda o oczyszczeniu pośmiertnym.

Idźmy dalej. Pierwsze wspólnoty chrześcijańskie odrzuciły obrzezanie, nieco później odstąpiły od święcenia szabatu oraz od rozróżniania pokarmów czystych i nieczy-

stych, natomiast zupełnie nie słysząc, żeby próbowały odrzucić modlitwę za zmarłych, obecną w obyczaju żydowskim co najmniej od dwóch stuleci (por. 2 Mch 12,43–46). Przeciwnie, apostoł Paweł sam modli się za zmarłego Onesyforda, który okazał mu wiele pomocy w rzymskim więzieniu oraz podczas pobytu w Efezie. Modli się następująco: „Niechaj mu Pan da w owym dniu znaleźć miłosierdzie u Pana!” (2 Tm 1,18). Zachowały się też setki nagrobków wczesnochrześcijańskich, na wielu z nich są wypisane modlitwy za zmarłych. Szczegółowe wiadomości na ten temat można znaleźć we wszystkich podręcznikach archeologii wczesnochrześcijańskiej oraz w specjalistycznych encyklopediach.

Dla katolika modlitwa za zmarłych stanowi oczywisty postulat, wypływający z prawdy o świętych obcowaniu. Po prostu nie tylko tak wierzymy, ale jest to przedmiotem naszego codziennego doświadczenia, że im większa w nas miłość Boża, tym bardziej stajemy się bliscy sobie wzajemnie i zdolni do okazywania wzajemnej miłości. W głowie nam się nie mieści, żeby śmierć mogła mieć w sobie aż tyle ciemnej potęgi, że mogłaby rozerwać tę jedność dzieci Bożych: przecież Chrystus Pan jest Zwycięzcą śmierci! Jeśli Bogu podoba się to, że my, żyjący na tej ziemi, modlimy się za siebie wzajemnie, to jakże mogłoby Mu się nie podobać to, że modlimy się za umarłych, aby mogli jak najszybciej dostąpić pełnej z Nim jedności?

Ogień czyścowy

Nie jest tak – przedstawił mi ktoś swój problem – że naukę Kościoła o ogniu czyścowym odrzucam. Kościołowi jako nauczycielce wiary chcę wierzyć bez zastrzeżeń. Ale nie mogę być przecież obojętny wobec faktu, że prawdę tę odczuwam jako nieprawdopodobną. Gdyby ktoś nauce o ogniu czyścowym postawił zarzut, że jest ona przejawem myślenia mitologicznego, nie umiałbym na taki zarzut odpowiedzieć.

Otóż byłoby czymś pożałowania godnym, gdyby zdanie: „wierzę nauce Kościoła bez zastrzeżeń” rozumiał ktoś jako: „wierzę nauce Kościoła bezmyślnie”. Powyższy list jest dla mnie sympatycznym dowodem, że takie pomieszanie jest praktycznie niemożliwe. Kto stara się utożsamić bez zastrzeżeń z nauką Kościoła, powinien przecież wciąż się w swoim rozumieniu wiary pogłębiać, powinien konfrontować wiarę ze swoją zmieniającą się wiedzą o rzeczywistości, powinien też podejmować pytania dotyczące wiary, zarówno te, które nasuwają się jemu samemu, jak te,

które przychodzą z zewnątrz. Sądzę, że bezmyślnie wierzyć nauce Kościoła może tylko taki człowiek, który swojej wiary nie traktuje poważnie.

Bóg objawiający się w ogniu

Co do ognia czyścowego, to jasne, że powinniśmy się tu uwolnić od wszelkich przejawów myślenia mitologicznego. Najskuteczniej uchroni nas przed ześlizgnięciem się w wyobrażenia mitologiczne odwołanie do Pisma Świętego. Warto pamiętać, jak często ogień pojawia się w biblijnych opisach przychodzenia Boga do ludzi.

W ogniu, który rozpłomieniał krzew, ale go nie spalał, Bóg ukazał się Mojżeszowi (Wj 3). Podczas wędrówki Izraelitów do Ziemi Obiecanej „Pan szedł przed nimi podczas dnia jako słup obłoku, by ich prowadzić drogą, podczas nocy zaś jako słup ognia, by im świecić, żeby mogli iść we dnie i w nocy” (Wj 13,21; por. Lb 14,14). Ogień towarzyszył również pamiętnym wydarzeniom, w których lud Boży otrzymał Dekalog: „Góra Synaj była cała spowita dymem, gdyż Pan zstąpił na nią w ogniu” (Wj 19,18). Postać ognia przybierała nieraz boska szekina, za pomocą której Bóg dawał znak swojej dobrotliwej i zbawczej obecności wśród ludu: Obłok „od wieczora aż do rana pozostawał nad przybytkiem na kształt ognia” (Lb 9,15). W słynnej wizji Izajasza wargi proroka zostają oczyszczone rozżarzoną węglą, wziętą z ołtarza (Iz 6,6 i nast.).

Zauważmy: Nawet jeśli ten ogień Boży budzi czasem lęk (tak było zwłaszcza podczas objawienia na Synaju), zawsze jest znakiem darów Bożych, przekraczających ludzkie oczekiwania.

Również w Nowym Testamencie spotykamy ten tajemniczy ogień, który jest znakiem Bożej obecności. W dniu zesłania Ducha Świętego nad głowami apostołów spoczęły „języki jakby z ognia” (Dz 2,3). O zwycięskim Chrystusie Apokalipsa wspomina dwukrotnie: „oczy Jego jak płomień ognia” (1,14; 19,12). Natomiast List do Hebrajczyków po prostu powiada: „Bóg nasz jest ogniem pochłaniającym” (12,29).

Obraz św. Jana od Krzyża

Myślę, że wystarczy sobie przypomnieć te święte teksty, żeby intuicją wiary zacząć domyślać się, czym jest ogień czyśćcowy: że pośmiertne spotkanie z Bogiem można odczuwać na wzór zanurzenia w ogniu. Kiedy człowiek jest prawdziwie oddany Bogu, ale zarazem nie jest Mu oddany do końca, to niewyobrażalnie bliskie spotkanie z Bogiem, jakie następuje po śmierci, odczuwa zapewne jako coś jednocześnie przewspaniałego i bardzo bolesnego. Przewspaniałego – bo jest to rzeczywiste spotkanie z Tym, który jest samą Miłością, spotkanie z pewnością głębsze i pełniejsze niż to, jakie na tej ziemi osiągają najwięksi mistycy. Zarazem musi to być spotkanie bardzo bolesne – bo człowiek zobaczy wówczas, jak mała jest w nim pojemność na Boga

w porównaniu z tą, do której został stworzony. Człowiek zobaczy też tę część samego siebie, która rozwinęła się w fałszywym kierunku – zapragnię najserdeczniej, aby to, co w nim niegodne życia wiecznego, zostało przez ten boski ogień spalone. Niedająca się wyobrazić fascynacja Bogiem, który jest Miłością, obudzi w człowieku wielkie pragnienie wejścia w ten ogień, aby – bez względu na ogromny ból – oczyścić się z tego, co Boga niegodne oraz rozszerzyć się jak najwięcej, aby jak najwięcej Bogiem się napępiać.

W każdym razie doświadczenia mistyków pozwalają nam ogień czyścowy tak właśnie sobie wyobrażać. Święty Jan od Krzyża († 1591) z wrzuceniem do ognia porównywał miłość Bożą, jaka ogarnia człowieka w kontemplacji. Jest ona początkowo bardzo bolesna: dopóki nie zniszczy w człowieku tego, co powinno się spalić. W miarę jednak jak człowiek uzyskuje coraz pełniejsze podobieństwo do Boga, przebywanie w tym ogniu napawa człowieka nieporównywalną z niczym rozkoszą. Święty Jan od Krzyża pisze o tym szeroko w *Nocy ciemnej*, zwłaszcza w rozdziałach 4–10 księgi drugiej.

Tutaj przepiszę tylko obszerne porównanie, jakie święty mistyk rozwija w rozdziale dziesiątym: miłość Boża, z chwilą kiedy człowiek się w niej znajdzie, ogarnia go mniej więcej tak, jak ogień ogarnia drewno. Na wzór drewna, które upodabnia się wówczas do ognia, człowiek upodabnia się do Boga i zostaje cały przeniknięty Jego świętą obecnością.

Ogień – rozwija swoją myśl Jan od Krzyża – ogarniając drewno, najpierw je osusza. Wyrzuca zeń wilgoć i spra-

wia, że znajdującą się w nim woda z sykiem ucieka. Drewno pod wpływem ognia staje się czarne, ciemne i brzydkie oraz wydziela śwąd. W miarę jednak osuszania, ogień coraz bardziej ogarnia drewno płomieniem i usuwa zeń wszystkie ciemne i brzydkie przypadłości, które są jego przeciwieństwem. W końcu, ogarnawszy je od zewnątrz, rozpala je, zamienia w siebie i czyni tak pięknym jak on sam. W drewnie nie pozostaje już wtedy żaden przymiot, chyba tylko ciężar i rozmiary mniej subtelne od ognia. Przejęło ono bowiem od ognia wszystkie jego właściwości i czynności. Jest suche i osusza; jest gorące i ogrzewa; jest jasne i oświeca; jest o wiele lżejsze, niż było przedtem. Wszystkie te skutki i właściwości sprawił w drewnie ogień.

Oczywiście, jest to tylko porównanie. Jednak o tym, jak bardzo św. Jan jest do niego przywiązany, świadczy dalszy ciąg jego wywodu:

Podobnie jest z boskim ogniem miłości w kontemplacji. Zanim zjednoczy on duszę z sobą i przemieni w siebie, najpierw musi usunąć wszystkie jej właściwości, które są mu przeciwne. Wyrzuca z naszej duszy jej niedoskonałości, czyni ją czarną i ciemną, tak że wydaje się nawet gorszą, brzydszą i wstrętniejszą, niż była przedtem. To boskie oczyszczenie usuwa wszystkie złe i zgubne nawyki, których dusza przedtem nie widziała, ponieważ były one w nią wkorzenione i zbyt zastarzałe. Nie zdawała ona sobie po prostu sprawy z tego, jak wiele było w niej zła. Otóż ciemne światło boskiej kontemplacji stawia je wszystkie przed jej oczyma, w celu wydobycia ich na zewnątrz i zniszczenia, a dusza oświecona tym światłem widzi je wszystkie jasno. Oczywiście, dusza nie jest przez to mniej doskonała ani sama w sobie, ani przed Bogiem. Widząc w sobie to, czego przedtem

nie widziała, czuje się tak nędzną, iż sądzi, że nie tylko nie zasługuje na Boże wejrzenie, ale jest godna wzgardy i za taką się uważa. (...)

Możemy z tego porównania poznać, w jaki sposób cierpią dusze w czyśćcu. Ogień nie zadawałby im żadnego bólu, gdyby one były wolne od niedoskonałości: to one są przyczyną ich cierpień. Niedoskonałości te są bowiem materią, której ima się ogień, kiedy zaś się skończą, ogień nie będzie już palił. Kiedy znikną niedoskonałości duszy, skończy się jej utrapienie, a pozostanie radość.

Że taka ekstrapolacja własnych doświadczeń duchowych na sytuację pośmiertną nie jest ze strony św. Jana od Krzyża arbitralną dowolnością, świadczy sam apostoł Paweł, który również mówi o jakimś tajemniczym zanurzeniu w ogniu, jakie nastąpi w „dzień Pański”, a więc już w wymiarze eschatologicznym:

Fundamentu nikt nie może położyć innego, jak ten, który jest położony, a którym jest Jezus Chrystus. I tak, jak ktoś na tym fundamencie buduje: ze złota, ze srebra, z drogich kamieni, z drewna, z trawy lub ze słomy, tak też jawne się stanie dzieło każdego. Odsłoni je dzień Pański. Okaże się bowiem w ogniu, który je wypróbuje, jakie jest. Ten, którego dzieło wzniesione na fundamencie przetrwa, otrzyma zapłatę. Ten zaś, którego dzieło spłonie, poniesie szkodę: sam wprawdzie ocaleje, lecz tak jakby przez ogień (1 Kor 3,11–15).

Ogień Bożej obecności

Wszelkie rozważania o naszej sytuacji pośmiertnej byłyby jałowym i bezczelnym wymądrzaniem się, gdyby nie po-

magaly nam w głębszym zrozumieniu naszej obecnej sytuacji wobec Boga. Również nad naturą ognia czyścowego warto się zastanawiać przede wszystkim dlatego, ażeby już w życiu obecnym zanurzyć się jak najwięcej w świętym ogniu Bożej obecności. Obecnie możemy znieść zaledwie odrobinę tego ognia, ale już teraz możemy doznać obu jego działań. Bo z jednej strony jest on ogniem rozkoszy, rozpalającym w nas coraz bardziej miłość Bożą, z drugiej strony jest ogniem błogosławionego bólu, ogniem niszczącym tego nieprzyjaciela Bożego, który wciąż jeszcze siedzi chyba w każdym z nas.

O pierwszym działaniu tego ognia Bożej obecności pięknie powiedział św. Augustyn († 430), komentując słowa psalmu: „Od blasku Jego obecności rozżarzyły się węgle ogniste” (Ps 18,13). Słowa Augustyna są proste, ale mówią właściwie wszystko: „Ci, którzy już byli martwi i pozbawieni ognia dobrych pragnień oraz światła sprawiedliwości, odżyli znowu i zostali zapaleni i oświeceni” (*Objaśnienie Psalmu*, 17, 9). Tutaj każdy z nas mógłby tylko zapytać samego siebie, czy ten Boży ogień już się we mnie pali. Bo może wciąż jeszcze – jak to nieraz śpiewamy – „nasze serca zimne jak lód”?

Jeśli jednak pali się już we mnie ten Boży ogień, to z pewnością będzie też mnie oczyszczał. Przynajmniej zaczątkowo. Orygenes († 254), komentując cytowane już w tym liście zdanie (Hbr 12,29), zauważył: „Bóg trawi wprawdzie i niszczy, ale niszczy złe myśli, niszczy haniebne uczynki, niszczy grzeszne pragnienia – przez to, że przenika umysły wiernych oraz dusze, które są zdolne do

przyjęcia Jego Słowa i Mądrości” (*O zasadach* 1, 1, 2). „Bóg jak ogień – pisze tenże Orygenes w innym swoim dziele – trawi zło oraz wszystko, co ze zła pochodzi, a co grzesznik na postawionym już fundamencie duchowym buduje – mówiąc symbolicznie – z drewna, siana i słomy” (*Przeciw Celsusowi* 4, 13).

Niestety, tutaj właśnie leży powód wielu naszych ucieczek od Boga. Tak przywykliśmy do swojej grzeszności, że chronimy ją nieraz, jakby była największym skarbem, jakby właśnie ona była źródłem naszej osobowej tożsamości. Boimy się zbyt zbliżyć do Boga, bo czujemy podświadomie prawdę słów, że „jak воск się rozplýwa w ogniu, tak giną przed Bogiem grzesznicy” (Ps 68,3). A my – niby to chcemy, żeby ten stary grzesznik we mnie zginął – ale zarazem boimy się, że to będzie bolało. I w ten sposób ani Bogu nie jesteśmy oddani całkowicie (niestety!), ani też (na szczęście!) całkowicie od Niego nie odchodzimy.

Po prostu nie umiemy docenić, jak wielka to szansa, że już teraz Bóg chce nas napełniać swoją obecnością, która niszczy to, co na zniszczenie zasługuje, i rozpala taką miłością, która już naprawdę kocha „z całego serca, z całej duszy, ze wszystkich sił i myśli”.

Zakończę niezwykle głęboką intuicją, jaką na temat ognia czyścowego sformułowała szwajcarska mistyczka (nawiasem mówiąc, konwertytka z protestantyzmu), Adrienne von Speyr († 1967):

Pierwszy krok przez ogień czyścowy, zgoła najboleśniej-szy, to poznanie własnych grzechów. Nic tu nikomu nie zostaje oszczędzone, poznanie musi być całkowite, dopiero

potem na jego miejsce zjawia się modlitwa, a wreszcie ulega ono wymazaniu za sprawą modlitwy wysłuchanej; poznanie wprawdzie zostaje, ale już nie boli. (...) To jedno pozostaje w ogniu czyścicowym – a może dopiero w nim się rodzi: modlitwa. I kiedy modlitwa już tylko powstaje przeciwko grzechowi – grzechowi w ogóle, nie tylko własnemu, gdyż grzech ucieleśnia cierpienia Chrystusa – zostaje wysłuchana, przyjęta i staje się wyzwoleniem – nie tylko z grzechu, ale i z wszystkich jego pęt, i jest to zarazem koniec czyśćca. Droga może być wprawdzie jeszcze długa, ale drzwi tylko jedno. Modlitwa, która przed chwilą była jeszcze błaganiem, zmienia się w pieśń uwielbienia, towarzyszy duszy – oczyszczonej w ogniu – w drodze z czyśćca do nieba. Do Chrystusa żadna dusza nie dotrze inaczej niż w rozmodleniu.

O czyśccu i teloniach

Nieraz warto posłuchać kogoś, kto nas bardzo nie lubi. Autor książki *Dusza po śmierci*, amerykański mnich prawosławny, ojciec Serafin Rose, nie ukrywa swojej awersji do kultury Zachodu oraz do jego religii w obu jej odmianach, katolickiej i protestanckiej. Kulturowo, można powiedzieć, jest on epigonem XIX-wiecznych słowianofilów oraz ich alergii na „zgniły Zachód”.

Druzgocąca krytyka książki Moody’ego

Okazuje się jednak, że ktoś, kto nas nie lubi, jeśli jest człowiekiem poważnym i myślącym, potrafi czasem pokazać taką prawdę na nasz temat, jakiej sami byśmy nie zobaczyli i jakiej nie zauważą nasi przyjaciele. Jako punkt wyjścia dla analiz wybrał ojciec Rose słynną książkę Moody’ego *Życie po życiu*. Pytanie postawił sobie proste: Co można powiedzieć o kulturze i duchowości, której przedstawiciele w najbardziej krańcowym punkcie swojego życia, jaki

jest jeszcze dostępny naszym ziemskim obserwacjom, doświadczać takich przeżyć, jak to opisał Moody? I o czym świadczy niezwykle wręcz popularność tego rodzaju opisów wśród ludzi naszego pokolenia?

Odpowiedź na te pytania daje nam ojciec Serafin drugoczą: Jedno i drugie – zarówno ten rodzaj doświadczeń ostatecznych, jak popularność ich opisów – „jest przede wszystkim odbiciem strasznego braku powagi większości ludzi w świecie zachodnim w stosunku do sprawy życia i śmierci”. Jedno i drugie świadczy przede wszystkim o zagubieniu tradycyjnie chrześcijańskiego stosunku do grzechu i łaski, śmierci i sądu Bożego, wreszcie do życia wiecznego.

Tezę swoją ojciec Rose uzasadnia bardzo poważnymi argumentami. W moim poczuciu o słuszności jego tezy świadczy jeszcze i to, że reportaż z „życia po życiu” – bo przecież książka Moody’ego nie jest unikatem swojego gatunku – nie spotkały się z poważną reakcją na terenie teologii zachodniej.

Dwie katolickie tradycje, zachodnia i wschodnia

Główną uwagę chciałbym poświęcić nieukrywanemu przez autora *Duszy po śmierci* antykatolicyzmowi, który sprawia zrozumiałą przykreść katolickim czytelnikom tej książki. Ogromnie przywiązany do swojej tradycji wschodniej, ojciec Serafin nie chce nic wiedzieć o tym, że już w czasach ojców Kościoła jedna i ta sama wiara katolicka mia-

ła swoje – wzajemnie wzbogacające się – odmienności na Wschodzie i na Zachodzie. To właśnie dlatego można mówić o dwóch płucach Kościoła. Otóż ojciec Rose żadnych odmienności nie uznaje, każde ujęcie odmienne niż w jego wschodniej tradycji piętnuje po prostu jako herezję.

Nie tak uczyli ojcowie Kościoła. Przypomnę, że Kościół katolicki na Wschodzie i na Zachodzie różnił się nawet w przedstawianiu najważniejszej prawdy swojej wiary, prawdy o Trójcy Świętej. Wystarczy sobie uprzytomnić gruntownie inne terminy, jakie wybrano w teologii greckiej i łacińskiej na oznaczenie obecnego pojęcia „osoba”. Katolicycy teologowie greccy mówili, że jeden Bóg istnieje w trzech „hipostazach” – a przecież łacińskim odpowiednikiem greckiego wyrazu *hipostasis* jest słowo *substantia*. Z kolei katolicycy teologowie łacińscy woleli mówić, że jeden Bóg istnieje w trzech „personach” – dopiero później, dzięki takiemu wyborowi, wyraz ten zaczął oznaczać osobę, pierwotnie oznaczał raczej „postać”.

Różnica między tymi dwiema decyzjami terminologicznymi jest kolosalna. Wystarczy się przypatrzeć tym dwom wyrazom – *hipostasis* oraz *persona* – żeby zrozumieć dlaczego po dziś dzień trynitologia Kościoła wschodniego bardziej podkreśla odrębność Osób Boskich, podczas gdy trynitologia łacińska widzi przede wszystkim jedność i niepodzielność Trójjedynego. A przecież sam św. Atanazy – na słynnym synodzie wyznawców, który się odbył w roku 361 w Aleksandrii – doprowadził do tego, że obie strony uznały wzajemnie swoją prawowierność oraz swoją odmienność.

Wschodnia nauka o pośmiertnej pokucie grzeszników

Prawowierne, a przecież odmienne wydają się również obie doktryny o pokucie pośmiertnej, jaką Bóg w swoim miłosierdziu umożliwia tym, których śmierć zastała jako należących do Niego, a jednak jeszcze nie do końca uwolnionych od grzechu. Na Zachodzie prawdę tę wyraża nauka o ogniu oczyszczającym, który skrótowo przyzwyczailiśmy się nazywać czyśćcem, na Wschodzie – nauka o teloniach, czyli o komorach celnych, przez jakie musi przejść dusza, żeby zostawić diabłu i jego aniołom wszystko, co do nich należy.

Ale przedtem weźmy w obronę ojca Serafina przed zarzutami ze strony niektórych jego braci prawosławnych, którzy w nauce o teloniach dopatrują się wpływów pogańskich. Materialnie, owszem, mają rację. Oto, co na ten temat pisze religioznawca tej miary, co Gerard van der Leeuw:

Droga do nieba oznacza oczyszczenie; celem ostatecznym jest zjednoczenie z bóstwem. Wyobrażenie to, przypuszczalnie pochodzenia irańskiego, znalazło klasyczny wyraz w nurtach gnostyckich, hellenistycznych i judaistycznych, panujących na przełomie naszej ery. Świat składa się z siedmiu sfer (planetarnych), a każda z nich ma swego strażnika (bóstwo), którego minąć musi dusza wzlatująca do nieba. Stopień po stopniu wznosi się ona do najwyższego nieba, uważanego zazwyczaj za ósmą sferę, do empireum. Hebdomas albo Ogdoas to stopniowe oczyszczanie, dzięki któremu dusza zostawia za sobą wszystko co ziemskie. Również mitraizm znał to wznoszenie się po siedmiu stopniach: drabinę złożoną z ośmiu bram. (...) Każdej bramy strzeże jeden

anioł. Im dalej dusza docierała, tym bardziej zrzucała z siebie, jak szaty, namiętności i zdolności, które otrzymała zstępując na ziemię. Naga, wolna od wszelkiej zmysłowości, dociera do ósmego nieba, gdzie znajduje się szczęśliwość.

Już na pierwszy rzut oka widać istotną różnicę między tymi wyobrażeniami a obrazem pośmiertnych telonii, o których pisze ojciec Rose. Według wyobrażeń gnostyckich dusza musiała się uwolnić od wszelkich związków ze swoim ciałem, natomiast tradycyjna nauka Kościoła prawosławnego głosi coś zupełnie innego: że dusza potrzebuje uwolnienia od wszelkich pozostałości grzechu. Tylko materia obrazu została tu przejęta od pogan, treść jest jednoznacznie chrześcijańska.

Za chwilę spróbuję zwrócić uwagę na zgodność, a zarazem wzajemną komplementarność obu tych objaśnień – nauki o ogniu oczyszczającym oraz nauki o komorach celnych. Ponieważ jednak ojciec Serafin radykalnie odrzuca katolicką naukę o czyśccu, trzeba powiedzieć kilka słów w jej obronie. Przede wszystkim zauważmy, że niedopuszczalnym zniekształceniem jest jego twierdzenie, jakoby Kościół katolicki nauczał o czyśccu, że polega on na daniu Bogu satysfakcji za pomocą znęcania się nad biednym grzesznikiem. Taka doktryna rzeczywiście byłaby nie do pogodzenia z wiarą chrześcijańską.

Krótkie przypomnienie nauki o czyśccu

Ogień czyśccowy to wyrażone naszym ziemskim językiem spotkanie z kochającym Bogiem kogoś, kto również kocha

Boga, ale jeszcze nie całym sobą. To dlatego św. Katarzyna z Genui opisywała czyściec jako sytuację dialektyczną. Dusze w czyśccu są szczęśliwe tak niewyobrażalnie, że tylko zbawieni w niebie są od nich szczęśliwsi, a zarazem tak niewyobrażalnie są nieszczęśliwe, że tylko potępieni w piekle są od nich bardziej nieszczęśliwi.

Ci sami ojcowie Kościoła, dla których Serafin Rose żywi tak wiele pietyzmu, wyraźnie uczyli o tym oczyszczającym ogniu. I uważam za rodzaj nadużycia, że ten fakt ojciec Rose nie tylko ukrywa, ale – kierując się antykatolicką emocją – naukę na ten temat przedstawia jako niedopuszczalną innowację Kościoła katolickiego. A przecież nie kto inny, ale tyle razy cytowany wśród wyrazów najwyższego hołdu św. Grzegorz Wielki, wyraźnie pisze w swoich *Dialogach*, „że za pewne lekkie winy istnieje przed sądem oczyszczający ogień” – i na dowód przytacza cytowany już w tej książce tekst 1 Kor 3,12–15.

Natomiast św. Augustyn, również szalenie honorowany przez ojca Serafina, tak komentuje modlitwę psalmu: „Panie, nie strofuj mnie w Twojej zapalczywości, ani nie karz mnie w swym gniewie”:

Karcenie zostało zapowiedziane w przyszłości i [Psalmi-
sta] tak je opisuje, jakby miało się dokonać przez ogień.
(...) [Panie,] w tym życiu mnie oczyszczaj i spraw, abym
stał się taki, żeby już nie było potrzeba ognia oczyszczają-
cego.

O idei ognia oczyszczającego u obu tych świętych można by napisać odrębne artykuły.

Tę kłótnię naprawdę powinniśmy porzucić

Radykalnym przeciwnikiem nauki o ogniu czyścicowym był Markos Eugenikos, bardziej u nas znany jako Marek z Efezu († ok. 1444), główny prawosławny przeciwnik unii florenckiej. On jednak – świadom tego, że ojcowie łacińscy wyraźnie mówili o ogniu oczyszczającym dusze tych, którzy już zeszedli z tego świata – wyraźnie żądał od łacinników porzucenia tej nauki, nawet jeżeli znajdą ją u świętych Augustyna czy papieża Grzegorza, czy u któregośkolwiek ze swoich uznanych nauczycieli.

Z dwóch powodów Marek z Efezu stanowczo odrzucał naukę o ogniu oczyszczającym. Po pierwsze, lękał się – i wyraźnie to mówił – że dopuszczenie istnienia pośmiertnego ognia, który nie jest ogniem wiecznym, byłoby otwarciem furtki dla idei apokatastazy, metropolita efeski zaś był tej idei jednoznacznym przeciwnikiem. Po wtóre, ogień czyścicowy (podobnie zresztą jak ogień piekielny) Marek z Efezu wyobrażał sobie w kategoriach quasi-materiałnych, co zamykało go na zobaczenie całej tej problematyki w perspektywie biblijnej symboliki ognia jako szczególnego wymiaru obecności samego Boga.

Duchowość katolicka unika, tam gdzie się to tylko da, postawy „albo – albo”, preferując rozwiązania typu „i – i”. Właśnie dlatego w przedstawioną przez ojca Serafina Rose naukę o teloniach warto wsłuchać się życzliwie i z szacunkiem.

Co wspólnego wyrażają te dwa obrazy – ognia oczyszczającego oraz komór celnych – i jakie odmienności w sobie zawierają? Otóż w jednym i drugim obrazie podkreśla

się, że ci, którzy zeszli z tego świata jako Boży przyjaciele (czyli po prostu w łasce uświęcającej), ale nie umarli jeszcze do końca dla grzechu, dzięki Bożemu miłosierdziu mogą dokończyć umieranie dla grzechu już na tamtym świecie. Oba obrazy zawierają w sobie ponadto wielką zachętę do tego, żebyśmy się modlili za umarłych.

Odmienności zawarte w obu tych obrazach są odwrotne do odmienności, jakie znajdują się w zachodnim i wschodnim doświadczaniu tajemnicy Eucharystii. W Kościele wschodnim dar Eucharystii doświadczany jest przede wszystkim jako zstępowanie nieba na nasz ziemski padół, w Kościele zachodnim widzimy w tajemnicy Eucharystii raczej szczególną Bożą pomoc w naszej drodze do nieba.

Jakby w odwrotnym kierunku uzupełniają się obie nauki – wschodnia i zachodnia – o możliwości ostatecznego oczyszczenia po śmierci. Nauka o komorach celnych zawiera w sobie obraz drogi do Boga: im więcej komór celnych dusza ma za sobą, tym mniej w niej pozostałości grzechu i tym bliżej do Boga. Nauka o ogniu oczyszczającym zawiera w sobie przesłanie, że Tym, który ostatecznie przygotowuje nas na spotkanie z Bogiem, jest On sam.

Jak mówić o potępieniu wiecznym?

Przede wszystkim – dopóki Pismo Święte będzie podstawą nauczania wiary chrześcijańskiej, czyli aż do końca świata – nie da się o nim nie mówić. Zbyt często i zbyt wyraźnie temat ten pojawia się w księgach świętych, żeby dało się go w nauczaniu kościelnym przemilczeć.

Najwięcej mówił o piekle sam Pan Jezus

Co więcej, o potępieniu wiecznym mówił przede wszystkim sam Pan Jezus. Hans Urs von Balthasar – można by pytać, jak zharmonizować tę jego naukę z poszukiwaniami zawartymi w książce pt. *Czy wolno mieć nadzieję, że wszyscy będą zbawieni?* – zauważył, że trzeba było dopiero wyraźnego ogłoszenia przez Chrystusa Pana obietnicy życia wiecznego, ażeby mówić o niebezpieczeństwie jego nieodwracalnej utraty:

Jezus proklamuje swoje orędzie miłości, otwierając o wiele okropniejsze otchłanie niż te, które w Starym Testamencie były w ogóle możliwe do przewidzenia. Błogosławieństwo i szczęśliwość, tak jak przekleństwo i potępienie mogły mieć wówczas sens tylko w czasowej rozciągłości; ponieważ niebo nie było otwarte (por. Hbr 11,40), nie mogło być także piekła (lecz jedynie pewien stan przejściowy do obu: Hades, Szeol). Teraz, kiedy niebo się otwiera, otwiera się jednocześnie po raz pierwszy wieczne piekło.

Hans Urs von Balthasar mówił mocniej: gdyby nie odkupieńcza ofiara Chrystusa Pana, piekło byłoby losem nas wszystkich, a jak straszliwie jest ono rzeczywiste, ujawniło się to na Kalwarii:

W opuszczeniu Ukrzyżowanego przez Boga rozpoznajemy, z czego my sami zostaliśmy wybawieni i uchronieni, mianowicie przed ostateczną utratą Boga, która została nam oszczędzona nie poprzez jakikolwiek własny wysiłek, a tylko przez łaskę. (...)

Piekło nie jest żadną wychowawczą groźbą ani też nie jest czysto teoretyczną możliwością: ono jest rzeczywistością, którą doskonale zna Opuszczony przez Boga, gdyż nikt, nawet w przybliżeniu, nie może doświadczyć tak straszliwego opuszczenia przez Boga jak tylko Syn, odwiecznie istotowo zjednoczony z Ojcem. W ten sposób dwojaki los naszej wieczności leży odtąd wyłącznie w Jego ręku; właśnie dlatego, że On jest naszą łaską, jest On także naszym sądem, jest naszym sędzią, ale już jako nasz Zbawiciel. Będąc chrześcijanami, wiemy, że grzech knuty jawnie przez tych, którzy poznali miłość, ma ogromny ciężar w porównaniu z grzechem popełnionym w stanie niewiedzy.

Po wyjaśnieniu, dlaczego dopiero w nauce Pana Jezusa pojawiła się wyraźnie prawda o potępieniu wiecznym, przypomnijmy, że On najczęściej wyrażał ją za pomocą trzech metafor. Jest to, po pierwsze, metafora wyrzucenia na zewnątrz, w ciemności, wtrącenia do więzienia (Mt 8,12; 22,13; 25,30; Ap 22,10), następnie, metafora męki i ognia (Mt 18,8; 25,41; Mk 9,47 i nast.; Hbr 10,27), i wreszcie, metafora zguby, śmierci, zatracenia (Mt 7,13; Łk 13,3–5; Ga 6,8; 2 Tes 1,9).

Mówił Pan Jezus o potępieniu wiecznym również bez metafor. Fałszywi uczniowie, którzy wyznają Go ustami, ale nie sercem, usłyszą z Jego ust straszne słowa: „Nigdy was nie znałem. Odejdźcie ode Mnie wy, którzy dopuszczacie się nieprawości” (Mt 7,23). Natomiast w Jego wypowiedzi na temat grzechu przeciw Duchowi Świętemu synonimem potępienia wiecznego są wypowiedziane na wysokim tonie słowa, że grzech ten „nie będzie odpuszczony ani w tym wieku, ani w przyszłym” (Mt 12,32). Analogiczny ton porbrzmiewa w słowach apostoła Pawła: „Nie łudźcie się: Ani rozpustnicy, ani bałwochwalcy, ani cudzołożnicy..., ani złodzieje..., ani zdziercy Królestwa Bożego nie odziedziczą” (1 Kor 6,9 i nast.; por. Ga 5,19–21).

Na czym piekło polega?

Wydaje się, że głównym powodem, dla którego ewangeliczne przestrogi przed potępieniem wiecznym uległy we współczesnym nauczaniu Kościoła wyciszeniu, jest

ucieczka przed ogromnie popularnym dziś zarzutem, iż chrześcijaństwo stworzyło cywilizację lęku.

W tym kontekście warto przypomnieć pogląd Karla Jaspersa, który sam będąc człowiekiem niewierzącym, wskazywał na istotnie pozytywny wymiar tradycyjnego lęku przed piekłem i twierdził, że również człowiek niewierzący powinien – pod sankcją stoczenia się w egzystencjalną bylejakość – pielęgnować w sobie lęk analogiczny do chrześcijańskiego lęku przed piekłem, mianowicie lęk przed zmarnowaniem swojego istnienia. Zdaniem Jaspersa, fatalne są obie alternatywy: zarówno pozbycie się tego lęku, jak jego rozpanoszenie się w naszym wnętrzu. Ów lęk powinien być w nas, ale jako przezwyciężony przez postawę trwałego zwrócenia ku temu, co najgłębiej pozytywne.

Interesujący jest ten głos w obronie lęku przed piekłem, wypowiedziany przez filozofa, który w istnienie piekła nie wierzy:

Jeżeli lęk przed piekłem jest dla niezliczonych dusz podstawą wyboru dobra zamiast zła, to rzadko bywa to wyłącznie lęk przed czymś rzekomo realnym. Lęk ten, zaszyfrowany w obrazie piekła, może raczej uprzytamniać głębokie egzystencjalne motywy własnego istnienia. Lęk o własny byt to podstawowa cecha człowieka rozbudzonego. Spokój, który płynie z negacji piekła, nie wystarcza, spokój musi wyrastać z pozytywnego zaufania, z ustroju duszy, która kieruje się dobrą wolą zawsze przezwyciężającą lęk. Człowiek, który wyżył się lęku, to człowiek już tylko powierzchowny.

Piekło jako nieodwracalne zmarnowanie samego siebie (na przykład ostateczna i nienaprawialna niezdolność do

miłości) – to zapewne najgłębsze spojrzenie na ten temat, jakie możliwe jest w horyzoncie człowieka niewierzącego. Spojrzenie wiary – w pełni podpisując się pod powyższą formułą – idzie niewyobrażalnie dalej: Piekło jest to niepodlegające zmianie znalezienie się poza Bożą obecnością, „z dala od oblicza Pańskiego i od potężnego majestatu Jego” (2 Tes 1,9).

Zatem straszliwość tej sytuacji rozpoznawalna jest tylko w takim stopniu, w jakim rozumiemy, kim dla człowieka jest Bóg, którego obecności piekło jest pozbawieniem. My jednak nigdy w pełni nie ogarniemy, kim dla nas jest Bóg, zatem jakżeż moglibyśmy pojąć do końca, czym jest oddalenie od Niego? Krótko mówiąc, z całą pewnością piekło jest to stan bardziej straszny, niż to potrafimy pomyśleć i zrozumieć – i zapewne dlatego sam nawet Pan Jezus oddawał go za pomocą owych strasznych obrazów, jakie znajdują się w Ewangelii.

Brak tych obrazów w opisie stanu wiekuistego oddalenia od Boga, podkreślenie jedynie tego oddalenia, nie czyni opisu mniej przerażającym. Chyba że ktoś nie ma nawet zielonego pojęcia o tym, że Bóg jest Miłością i Źródłem wszelkiego sensu.

Spójrzmy na dwa opisy, przedstawione z prawdziwie kobiecą delikatnością. Oto wzorcowo apofatyczny opis Simone Weil:

Ze śmiercią jedni znikają w nieobecności Boga, inni w obecności Boga. Nie możemy pojąć tej różnicy. Dlatego też, aby w przybliżeniu dostępnym wyobraźni to ująć, utworzono obrazy raju i piekła.

Bardzo analogicznie odczuwała to Beata Obertyńska:

Nie rozumiem ni nieba, ni piekła... To wszystko
zbyt ogromne na myśl mą – ciasną i kaleką.
Wiem tylko, że to będzie albo Ciebie blisko,
albo od Ciebie daleko.

Niektórzy nawet próbowali ową przerażającą i nieodwołalną nieobecność Boga opisywać paradoksalnie jako stan pełnego szczęścia i zaspokojenia dla ludzi, którzy Boga w żaden sposób nie potrzebują ani za Nim nie tęsknią. „Poza niebem – wyobrażał sobie, nie wiem czy jeszcze zgodnie z wiarą Kościoła, Clive Staples Lewis – jedynym miejscem, gdzie możesz się czuć całkiem zabezpieczony przed wszystkimi niebezpieczeństwami i utrapieniami, jakie niesie z sobą miłość – jest piekło”.

Jeśli uważnie przypatrzymy się wielkiej różnorodności formuł, którymi oddawano stan bezsensu ostatecznego, widać jasno, że dotyczą one tej samej nieszczęsnej sytuacji. A zatem piekło jest to stan ostatecznej samowoli i nieposłuszeństwa (C.S. Lewis), „jest realnym panteonem tych wszystkich, którzy się uważają za bogów” (J. Guitton), jest stanem najwyższego egoizmu i samotności” (J. Ratzinger).

Święty Tomasz z Akwinu opisywał piekło negatywnie, jako przeciwieństwo szczęścia wiecznego:

Ostateczne szczęście człowieka polega w zakresie umysłu na pełnym oglądaniu Boga, natomiast w zakresie postawy na tym, że woła człowieka jest niewzruszenie utwierdzona

w Dobroci pierwszej. Zatem ostateczne nieszczęście będzie polegało na tym, że umysł będzie całkowicie pozbawiony światła Bożego, postawą zaś człowiek będzie zatwardziały odwrócony od Bożej Dobroci. I to jest najważniejsze nieszczęście potępionych, które się nazywa karą potępienia.

Najgłębsza chyba intuicja na temat tego, czym jest piekło, została sformułowana już w czasach patrystycznych. Ogniem piekielnym byłaby – trudno się dziwić temu, że w Kościele rzadko kto tę myśl podejmuje – ta sama nieskończona miłość Boża, która jest szczęściem zbawionych. *Quod erit iucunditas mentibus nitidis, hoc erit poena maculosis* – mówił papież Leon Wielki, a wypowiedź ta znajduje się w brewiarzu (poniedziałek 23. tygodnia zwykłego). „To, co dla dusz jasnych będzie szczęściem, dla zbrakanych stanowić będzie karę”.

Krótko mówiąc, człowiek może się doprowadzić do takiej negacji Boga, że całym sobą nie chce, żeby Bóg był. A Bóg po prostu jest. I nie może przestać być sobą, czyli Bogiem. Nie może przestać być wszechobecną Miłością. Owszem, tutaj, na ziemi, człowiek może ogłosić Jego nieistnienie, albo swoją wolę, że nie chce mieć z Nim nic wspólnego. Jednak po śmierci rzeczywistość Boga stanie przed każdym z nas bezpośrednio. Tam nie da się być poza wszechobecną Bożą Miłością. Nieobecność Boga dla potępionych polegałaby na całoosobowym skurczu protestu przeciwko temu, że Bóg jest Miłością, oraz przeciwko temu, że jest się w tej Miłości zanurzonym.

Piekło zaczyna się już teraz

Senatores boni viri, senatus – mala bestia. „Poszczególni senatorzy to dobrzy ludzie, senat to złe zwierzę”. Myślę, że można się posłużyć intuicją zawartą w tym przysłowiu do opisanía sytuacji duchowej naszej epoki: Nawet jeżeli wielu nam współczesnych to ludzie bliscy Bogu, nie zmienia to, niestety, faktu, iż żyjemy w czasach gigantycznej ucieczki od Boga żywego i prawdziwego.

Wielu ludzi nosi dziś w sobie pragnienie, żeby Boga nie było, a chyba jeszcze więcej ludzi wyobraża sobie Boga po pogańsku: jako mądrą, potężną i dobrą istotę, która istnieje gdzieś bardzo daleko, do której można odwołać się w momentach wyjątkowych (ślub, urodziny dziecka, pogrzeb, coroczne święta) i szukać u niej ratunku w momentach trudnych.

Otóż jeśli żyje się tak, jakby Boga nie było, albo jakby był On bardzo daleko, jest to sytuacja ewidentnie zmierzająca ku temu, cośmy wyżej opisali właśnie jako piekło. Przecież samą istotą piekła jest bycie daleko od Boga i zamykanie się na Jego obecność. W tej sytuacji wyciszanie ewangelicznych przestróg przed potępieniem wiecznym – czy wręcz łudzenie bezbożników (jak wiadomo, wśród katolików również bywają autentyczni bezbożnicy) obietnicą powszechnego zbawienia – może służyć tylko utrwaleniu tego piekła, jakie zaczynamy sobie budować już na tej ziemi.

Nie trzeba się dziwić temu, że odejście od Boga sprowadza na nas egzystencjalną dezorientację, tak jak nie dzi-

wimy się temu, że jeśli człowiek się nie naje, wówczas jest głodny. Oznak wspomnianej dezorientacji znajdziemy w naszym życiu współczesnym wiele. Wzrastające poparcie dla aborcji i eutanazji, rozpadanie się najbardziej nawet elementarnych więzi rodzinnych i kryzys praktycznie wszystkich autorytetów społecznych, pogłębiające się poczucie bezsensu życia i plaga narkomanii, pogrążanie się milionów ludzi w destruktywnej samotności i zmniejszające się zrozumienie dla służby społecznej – to najbardziej rzucające się w oczy dowody, że cywilizacja śmierci stanęła już u naszych bram.

Po prostu rzeczywistość jest Boża, cała zanurzona w obecności Boga kochającego. Nie jest w naszej mocy ustanowić, że my nie chcemy, by Bóg był tak blisko, że wolimy Go mieć gdzieś daleko. Kiedy zaczynamy kształtować świat daleko od Boga, znaczy to po prostu, że uciekamy od rzeczywistości; i nie tylko od Boga wówczas uciekamy, ale również od samych siebie, a nawet od sensownego radowania się wartościami doczesnymi. Wcześniej czy później okaże (i okazuje) się, że umieściliśmy swoje życie w jakichś wymiarach ułudy, gdzie króluje nicłość i śmierć.

Bóg na ten nasz bunt odpowiada prawdziwie po Bożemu: „Jakaż nieprawość znaleźli we Mnie wasi przodkowie, że odeszli daleko od Mnie?” (Jr 2,5). To przecież po to, żeby nas uratować, dał nam swojego Jednorodzonego Syna. Również nikogo z nas Bóg nie chce potępić, ale chce wszystkich i każdego z nas doprowadzić do zbawienia (por. J 3,17; 1 Tm 2,4; 4,10). Jednak podobnie jak głod-

nego nie nasycą rozmowy o jedzeniu, tylko musi zacząć jeść, tak samo przez słuchanie opowieści o powszechnym zbawieniu nie wyjdziemy z bram piekła, w które ewidentnie, całymi społeczeństwami zaczynamy już wchodzić. My musimy się po prostu nawracać do Boga i w Nim składać całą naszą nadzieję.

Podsumujmy ostatni fragment rozważań: Ażeby nasze mówienie o potępieniu wiecznym nie było ideologiczne, lecz żeby było to mówienie w wierze, musi się w nim znaleźć miejsce na uprzytamnianie sobie, jak złe i niezgodne z najgłębszymi potrzebami ludzkiej natury jest bycie daleko od Boga; musimy ponadto wyraźniej zobaczyć, jak wiele niepotrzebnych i przeklętych rachunków płacimy za to, że błąkamy się w oddaleniu od Boga.

Jest zresztą coś błogosławionego w tym, że nie ma prawdziwego szczęścia poza Bogiem. Już ojcowie Kościoła domyślali się, że to, co Pismo Święte nazywa gniewem Bożym, jest w gruncie rzeczy przejawem miłości Boga do grzeszników i znakiem Jego opieki nad buntownikami.

Nie opuścił Bóg Adama – wyjaśniał św. Jan Złotousty – kiedy nakazał mu opuścić raj. Nakazał mu to nie z innego powodu, tylko ze względu na Jego przyjaźń do człowieka (*philantropia*)... Wyrzucenie z raju było dziełem raczej Bożej opieki niż gniewu. Takie są bowiem obyczaje naszego Pana, że przez zesłanie kary okazuje nam nie mniejszą troskę, niż kiedy udziela dobra, gdyż wymierza nam tę karę w celu upomnienia. Przecież gdyby wiedział, że bezkarność grzechu nie uczyni nas gorszymi, nigdy by nas więcej nie karał. Żeby jednak powstrzymać nasze staczanie się ku gorszemu i usunąć wzmagającą się przewrotność, jest konsekwentny

w swojej przyjaźni do człowieka i dlatego wymierza karę... Zauważ, nasz Pan okazuje stałą swoją dobroć dla człowieka w poszczególnych swoich dziełach. Również poszczególne rodzaje Jego kar pełne są Jego wielorakiej dobroci.

Również przejawem raczej opieki Bożej nad nami niż porzucenia nas przez Boga jest to, że – oddaliwszy się od Niego – wprowadziliśmy w nasze życie tyle bezsensu, zakłamania i śmierci. Rozpoznawszy początki piekła już na tej ziemi, możemy niejako empirycznie przekonać się, że prawdziwa nasza nadzieja jest tylko w Bogu, i w ten sposób uniknąć piekła wiekuistego.

Nauka o potępieniu jako słowo miłości

Ostrzeżenia przed potępieniem wiecznym będą jednak dla nas prawdą martwą i szkodliwą, jeśli nie zobaczymy, że są one słowem Bożej miłości do nas. Każde zdanie Ewangelii jest słowem miłości. Również kiedy Pan Jezus mówi nam o potępieniu wiecznym, jest to słowo Jego miłości do nas.

Co to znaczy i co z tego wynika dla głoszenia tej prawdy? Znaczy to, że mamy głosić nowinę o zbawieniu, a nie zajmować się informowaniem ludzi, że mogą osiągnąć zbawienie albo dostać się do piekła; tym bardziej nie wolno nam okłamywać ludzi, że ewangeliczna nauka o potępieniu wiecznym to tylko takie Pana Jezusowe straszenie kominiarzem.

Podstawową prawdą naszego głoszenia musi być nowina, że Jezus chce i może nas zbawić. „Syn Człowie-

czy przyszedł szukać i zbawić to, co zginęło” (Łk 19,10). Przypowieść o synu marnotrawnym i o Pasterzu poszukującym zagubionej owieczki, i duchowa obietnica zawarta w Chrystusowych uzdrowieniach, i konkretny los ocalonej przez Niego cudzołożnicy, i licznych celników, i łotra wraz z Nim ukrzyżowanego, i wreszcie sama Jego śmierć i zmartwychwstanie – krótko mówiąc, cała Ewangelia jest jedną wielką obietnicą zbawienia i wezwaniem do tego, żeby się na nie otworzyć.

Wezwaniem do zbawienia przeniknięte są również Chrystusowe ostrzeżenia przed potępieniem wiecznym. Podobnie jak znaki drogowe informujące o utrudnieniach i ostrzegające przed niebezpieczeństwami zawierają obietnicę bezpiecznego przejazdu przez tę drogę, a ostrzeżenia mass mediów przed muchomorami – nadzieję, że zbieracze przyniosą pełne kosze grzybów jadalnych, i tylko jadalnych.

Gdybyśmy zgubili w nauce Chrystusa Pana o potępieniu wiecznym zawartą w niej miłość, głosilibyśmy nie prawdę, tylko jakąś jej imitację, podróbkę, falsyfikat. Owszem, prawdziwa miłość sięga niekiedy po środki twarde i ostre: jeśli nie ma innego sposobu, żeby doprowadzić do opamiętania tego, kogo się kocha. Serce ludzkie może bowiem obrosnąć tłuszczem albo kamieniem. Może do tego stopnia utracić wrażliwość, że nie rozumie nawet moralnego i duchowego elementarza. Wtedy nie ma rady, trzeba nieraz sięgnąć nawet po młotek, żeby ten kamień rozbić i dotrzeć do żywego serca.

Pan Jezus próbował dostać się nawet do takich serc i używał wówczas środków różnych. Potrafił w oczy po-

wiedzieć faryzeuszom, że są plemieniem żmijowym i grobami pobielanymi, ostrzegał nas wszystkich, żebyśmy sobie nie przygotowywali ognia wiecznego. Są to środki ostateczne, którymi usiłował dotrzeć do zatwardziałych serc, niewrażliwych już na inne argumenty. Sięgał po nie dlatego, że nas kocha, że nie jest Mu obojętny los faryzeuszy ani los kogokolwiek. Przecież to miłość kazała Mu tak często mówić o potępieniu wiecznym. Bo On jest pierwszym, który chciałby, żeby piekło było puste.

Bardzo trafnie domysły o piekle pustym, domysły, że nauka o potępieniu wiecznym to ze strony Boga tylko zabieg pedagogiczny, skomentował św. Jan Złotousty:

Bóg karze, a ty powiadasz, że to tylko pogrożka. Gdyby tak było, czybyś nie był skłonniejszy do upadku? Gdyby Ninivici byli wiedzieli, że mieli do czynienia tylko z groźbami, nie byłiby uczuli skruchy; ponieważ zaś oddali się pokucie, zatrzymali pogrożkę na słowach. Chcesz, żeby to była tylko pogrożka? Od ciebie to zależy. Stań się lepszym, a zatrzyma się na pogrożce, jeżeli zaś, czego ci nie życzę, lekceważysz pogrożki, doświadczysz samej rzeczy. Gdyby ludzie przed potopem zlekli się byli groźby, nie byłiby ponieśli kary. I my, jeżeli się będziemy bali gróźb, nie narazimy się na ukaranie.

Niekiedy (jednak bardzo rzadko!) wolno – jak sądzę – powiedzieć komuś: „Ty idziesz prosto do piekła, czeka cię potępienie wieczne”. Wolno powiedzieć tak człowiekowi, który własnej niedołążnej matce powtarza ze złością: „Kiedy ty wreszcie zdechniesz?”. I temu, kto cynicznie i bez wstydu żeruje na cudzej biedzie czy nieporadności.

I seksualnemu zboczeńcowi, który demoralizuje dzieci. Ale przecież celem tego tak ostrego słowa nie jest wydawanie wyroku, tylko doprowadzenie do opamiętania. Celem takiego mówienia komuś: „Ty przecież pójdziesz do piekła”, jest właśnie to, żeby go przed piekłem uchronić. Zatem to bardzo mocne słowo jest nie tylko obroną tych, którzy doznają krzywdy, ale zarazem posługą miłości wobec krzywdziciela.

Ratowanie ludzi zagrożonych potępieniem wiecznym

Z powyższych rozważań jasno wynika, że złą przysługę oddawałby ortodoksji katolickiej taki teolog czy duszpasterz, który głosiłby po prostu, że niektórzy ludzie będą zbawieni, niektórzy zaś potępieni. Prawdy o potępieniu wiecznym nie wolno głosić z perspektywy akceptującego obserwatora. O potępieniu wiecznym należy myśleć jako o czymś, co się nie może stać ani ze mną, ani z kimkolwiek. Miłość podpowiada nawet, że gdyby w ogóle kogoś miało spotkać potępienie, to już lepiej mnie niż kogokolwiek innego.

W ten sposób rozumieli tę prawdę wielcy mistycy.

Lepiej będzie dla mnie – modliła się św. Katarzyna ze Sieny – jeśli wszyscy będą zbawieni, a ja sama będę znosić męki piekielne, bylebyś tylko mi zostawił miłość do Ciebie... Jeśli Twoja prawda i sprawiedliwość zgodzą się na to, chciała-bym zupełnego zniszczenia piekła albo przynajmniej, żeby

żadna dusza tam się więcej nie dostała. A najbardziej bym się cieszyła, gdybyś położył mnie na paszczę piekła, żeby ją zamknąć i żeby nikt więcej tam się nie dostał. Bo w ten sposób wszyscy moi bliźni byłiby zbawieni.

Niektóre świadectwa modlitewnej walki o dusze zatwardziałych grzeszników przypominają walkę Jakuba z Bogiem (Rdz 32,25–33) czy słynny werset Ez 22,30: „Szukałem wśród nich męża, który by wystawił mur [przeciwko Mnie] i stanął w wyłomie przede Mną, by bronił tej ziemi i przeszkodził Mi w jej niszczeniu, a nie znalazłem takiego”.

Pan sprawiał, że często musiałam przechodzić stany bolesne – pisze św. Małgorzata Maria Alacoque. – Raz wśród nich ukazał mi kary, jakie chciał wymierzyć pewnym duszom. Rzuciłam się wtedy do Jego stóp świętych, mówiąc doń: „O mój Zbawicielu, wyładuj raczej na mnie cały swój gniew i wymaż mnie z księgi żywota, niż miałbyś gubić te dusze, które Cię tak wiele kosztowały!”. A Pan mi odrzekł: „Ależ one cię nie kochają i nie przestaną cię nękać”. „Nie nie szkodzi, o mój Boże, byle Ciebie miłowały. Nie zaprzestaną Cię błagać, byś im przebaczył”. „Nie opieraj mi się, już ich więcej nie mogę znosić”. A ja objąwszy Zbawiciela jeszcze mocniej: „Nie, mój Panie, nie puszczę Cię wcale, póki im nie przebaczysz”.

Błogosławiona siostra Faustyna ma poczucie, że swoją modlitwą wyrwała z paszczy piekła wiele zagrożonych dusz. Kiedyś, po jednej ze swoich wielkich modlitw za zatwardziałych grzeszników, miała następujące widzenie:

Obstąpiło mnie mnóstwo psów czarnych, wielkich, skacząc i wyjąc, chcąc mnie poszarpać na kawałki. Spostrzegłam, że nie są to psy, ale szatani. Jeden z nich przemówił ze złością: „za to, żeś nam odebrała tej nocy tyle dusz, to my cię poszarpiemy na kawałki”. Odpowiedziałam, że jeżeli taka jest wola Boga najmiłosierdnieszego, to szarpicie mnie na kawałki, bo na to słusznie zasłużyłam, bo jestem najniebezpieczniejsza z grzeszników, a Bóg jest zawsze święty, sprawiedliwy i nieskończenie miłosierny. Na te słowa odpowiedzieli wszyscy razem szatani: „uciekajmy, bo nie jest sama, ale jest z nią Wszechmocny”.

Zwycięska walka, jaką jeszcze w dzieciństwie stoczyła św. Teresa od Dzieciątka Jezus o duszę pewnego zbrodniarza, zapoczątkowała w niej wzrastające przez całe życie pragnienie, aby nieustannie walczyć o uratowanie dusz, którym grozi potępienie wieczne:

Od tej łaski jedynej w swoim rodzaju moje pragnienie ratowania dusz wzrastało z każdym dniem. Zdawało mi się, że słyszę Jezusa mówiącego do mnie jak do Samarytanki: „Daj mi pić!”. Była to prawdziwa wymiana miłości. Duszą dawałam krew Jezusową, a Jezusowi ofiarowywałam te same dusze ożywione Boską rosą. Sądziłam, że w ten sposób ugaszę Jego pragnienie; im więcej dawałam Mu pić, tym bardziej wzrastało równocześnie pragnienie mojej biednej małej duszy, a to żarliwe pragnienie dawał mi On, jako najśłodszy napój swej miłości.

Jakby podsumowaniem tej wielkiej tradycji mistycznej są słowa, jakie – być może pod wpływem objawień z Fatimy – napisał papież Pius XII w swojej encyklice *Mystici Cor-*

poris Christi, 46: „Zaiste, straszliwa to tajemnica, i trzeba się bez końca nad nią zastanawiać: oto zbawienie wielu ludzi zawisło od modlitw i dobrowolnych umartwień członków mistycznego Ciała Jezusa Chrystusa”.

We współczesnym Kościele obserwujemy raczej kryzys tej postawy duchowej, która przymuszała wielu Bożych przyjaciół do wielkiego błagania za tymi, którzy wydają się najbardziej zagrożeni utratą zbawienia. Można pytać, czy kryzys ten świadczy o tym, że bakcyl indywidualizmu zniekształca w nas samą nawet nadzieję zbawienia, czy może jest to efekt szerzenia się łatwej nadziei na powszechne zbawienie i w konsekwencji lekceważenia sobie niebezpieczeństwa utraty zbawienia.

To tylko zauważmy, że fałszywe jest takie uznawanie prawdy o potępieniu wiecznym, któremu towarzyszy łatwe pogodzenie się z istnieniem piekła. Ale może jeszcze bardziej odbiega od prawdy „pocieszanie się” domysłami, że piekło zapewne jest puste, zwłaszcza jeżeli postawie tej towarzyszy brak osobistego zaangażowania, ażeby zbawienie, jakim Bóg nas obdarza w Jezusie Chrystusie, dotarło do wszystkich, również do tych, którzy wydają się całkowicie na nie zamknięci.

Obie postawy – zarówno pogodzenie się z istnieniem piekła, jak odrzucanie jego istnienia – budują fałszywe wyobrażenia o Bogu i, co za tym idzie, wypaczają religijny stosunek do Niego. Tam, gdzie istnienie piekła nie budzi religijnego sprzeciwu, łatwo kształtuje się obraz Boga jako surowego Władcy, a lęk może stać się jednym z najistotniejszych wymiarów religijności. Tam z kolei, gdzie z góry

się wie o tym, że piekła nie ma, miłosierdzie Boga, który pragnie uzdrowić i napęłnić swoją kochającą obecnością nawet największego grzesznika, łatwo rozumieć fałszywie jako pobłażliwość Boga dla naszego zła. Zatem ostatecznie jest to postawa beznadziei co do możliwości naszego wyzwolenia z grzechu; człowiek liczy jedynie na to, że Bóg w swojej pobłażliwości i tak go doprowadzi do szczęśliwego końca.

Skoro odrzucamy oba człony tego dylematu, to jaką postawę zająć? Osobiście bardzo chciałbym, żeby piekło było puste. Wiem, że sam Pan Jezus tego chce. Ale jedno wiem z całą pewnością: że nawet jeżeli faktycznie jest ono puste, ja mogę się w nim znaleźć. I powinienem całym swoim sercem i wszystkimi czynami zawierzać samego siebie Panu Jezusowi, ażeby się w nim nie znaleźć – i robić wszystko, ażeby możliwie nikt tam się nie znalazł!



„Gdy Syn Człowieczy
przyjdzie w swej chwale”

(Mt 25,31)

Żyjemy w czasach ostatecznych!

Sądzę, że wielu chrześcijan czuje podobnie, jak autor poniższego listu:

Gdy otworzymy dwudziesty czwarty rozdział Ewangelii Mateusza, jest tam mowa o znakach końca: wojnach, głodzie i trzęsieniach ziemi. Wydaje mi się, że Chrystus przyjdzie już teraz, by położyć kres temu, w co się uwikłaliśmy i z czego nie ma wyjścia. W wojnach światowych „królestwa stanęły przeciw królestwom” i od tej pory nie ma dnia, żeby kilkanaście państw nie było uwikłanych w wojnę. A cechą dzisiejszych wojen jest zabijanie masowe, na wielką skalę. Według mnie gorzej już być nie może. Wystarczy, że dołączy się jeszcze kilka państw, wkroczą mocarstwa – i zagłada gotowa. Można powołać się na postępujące rozbrownienie, ale czyż nie napisano: „Kiedy będą mówić: Pokój i bezpieczeństwo – wtedy nastąpi koniec”? Jeśli chodzi o problem głodu, chyba nigdy nie obserwowaliśmy takich dysproporcji między krajami bogatymi i biednymi.

W czasach ostatecznych ludzie „bardziej będą się lubować w rozrywkach niż w Bogu” (2 Tm 3,5). Czy Bóg będzie

spokojnie czekał, aż fala niemoralności, która ogarnęła Zachód, opanuje cały świat? Czy również u nas ma dojść do tego, że niemoralność stanie się rzeczą legalną i powszechnie akceptowaną jako rzecz ludzka, normalna?

Najgorsze wydaje mi się to, że Kościół mało nas przygotowuje na powrót Pana. Co tydzień powtarzamy słowa: „oczekujemy Twego przyjścia w chwale”, ale one nie spełniają swego zadania. Cała moja katolicka rodzina na myśl o końcu świata mówi: „Broń, Panie Boże!”. Mam nadzieję, że moim najbliższym pomogę zmienić zdanie na ten temat. Zresztą dla większości (nawet wierzących) ludzi przyjście Chrystusa właśnie teraz byłoby bardzo nie na rękę. Każdy ma jakieś swoje plany i na spotkanie z Panem Jezusem mało komu się spieszy.

On zaś porównał czasy ostateczne z czasami potopu: „Tak jak za dni Noego: jedli, pili, żenili się i nie zauważyli, kiedy przyszła na nich zagłada”. Czy Kościół patrzy na znaki końca? Słyszałam kiedyś wypowiedź pewnego zakonika, który mówił, że wojny były zawsze, zarazy też, a znaki czasu dokonują się w sercu człowieka. Chrystus jednak powiedział: „Gdy ujrzycie to wszystko, wiedźcie, że to, co ma się stać, bliskie jest. (...) Nim przeminie to pokolenie, to wszystko się stanie. (...) Gdy się te rzeczy zaczną dziać, podnieście głowy: Zbliża się wasze wybawienie!”.

Czy Kościół kiedyś powie: Wprawdzie nie znamy dnia ani godziny, ale Pan przyjdzie już niedługo, już w czasach naszego już pokolenia; nasze wybawienie jest już blisko!?

Nie koniec świata, ale wypełnienie dziejów

Najpierw zauważmy różnicę między chrześcijańskim oczekiwaniem końca świata a katastrofizmem, który – poza tym,

że lubi się powoływać na eschatologiczne wypowiedzi Nowego Testamentu – niewiele ma wspólnego z wiarą chrześcijańską. Katastrofizm jest to pesymistyczny pogląd, że ludzkie dzieje zmierzają do coraz głębszego upadku i do nieuniknionej katastrofy ostatecznej. Według katastrofistów zło coraz wyżej podnosi głowę, dobro jest coraz słabsze i zostałoby zupełnie zwyciężone, ale na szczęście Chrystus wkroczy w końcu w tę przygnębiającą sytuację i położy kres powszechnemu panowaniu zła. Koniec świata będzie, w tej interpretacji, prawie wyłącznie dniem gniewu i kary Bożej, ocalona zostanie jedynie garstka sprawiedliwych. Dzisiaj motywy takie szczególnie często pojawiają się w nauczaniu świadków Jehowy.

Coś zupełnie innego na temat końca świata mówi słowo Boże. Już sam termin *synteleia tou aionos* (Mt 13,39), który po polsku oddajemy jako „koniec świata”, zawiera w sobie sugestię, że nie chodzi tu o kres, ale o koniec pozytywny, w sensie uwieńczenia, wypełnienia się. Pozytywne uwieńczenie dziejów świata jest bowiem czymś już przesądzonym. Momentem rozstrzygającym było zstąpienie Jednorodzonego Syna Bożego z wyżyn swojej boskiej transcendencji, aby – przez przyjęcie człowieczeństwa – stać się uczestnikiem ludzkich dziejów. Jako człowiek, Syn Boży odniósł druzgoczące – choć pokorne i bardzo bolesne – zwycięstwo nad złem. Jest ono nieprzemijające: mimo swojego historycznego odejścia z naszej ziemi, Chrystus jest przecież z nami „przez wszystkie dni aż do skończenia świata” (Mt 28,20) i czyni uczestnikami swojego zwycięstwa wszystkich, którzy do Niego należą. Zło

nie ma już żadnych szans na to, żeby zniweczyć sens ludzkich dziejów.

I w tym przede wszystkim sensie Nowy Testament mówi o tym, iż żyjemy już w czasach ostatecznych (Hbr 1,1 i nast.). Sens ludzkich dziejów jest już – dzięki Chrystusowi Panu – rozstrzygnięty ostatecznie. Nierozstrzygnięta jest jedynie ostateczna sytuacja każdego z nas, ona się dopiero rozstrzyga: każdy z nas powinien włączyć się w to dojrzewanie ludzkich dziejów ku swemu wiekuistemu spełnieniu, choć może się również z niego wyłączyć. Zatem czasy ostateczne, w których – Bogu niech będą za to dzięki! – żyjemy, są to czasy powszechnego i bardzo realnego wezwania do udziału w zwycięstwie Chrystusa i do życia wiecznego. „Oto teraz czas upragniony, oto teraz dzień zbawienia!” (2 Kor 6,2).

Chwalebne przyjście Chrystusa

To zwyciężanie Chrystusa w nas i w ludzkich dziejach dokonuje się zazwyczaj pokornie, bez znamion oczywistości, na podobieństwo Jego krzyża. Ale nadejdzie dzień, w którym zwycięstwo to zostanie doprowadzone do końca i ujawni się w całej oczywistości. Spójrzmy na trzy główne terminy, za pomocą których Nowy Testament opisuje chwalebne przyjście Chrystusa w dniu ostatecznym. Terminem *parousia* (1 Kor 15,23; 2 P 1,16; 3,12) starożytni określali triumfalne wejście wodza podczas uroczystego świętowania odniesionego zwycięstwa. Z kolei *epiphane-*

ia (2 Tm 6,14; 2 Tes 2,8) wskazuje na objawienie się Chrystusa w majestacie swojej boskości, natomiast *apokalypsis* (2 Tes 1,7; 1 P 4,13) mówi o odsłonięciu tego, co dotychczas było ukryte. We wszystkich trzech terminach zawiera się radosna aprobata dla tego wszystkiego, co stało się w ludzkich dziejach dzięki Chrystusowi.

Owszem, w opisach dnia ostatecznego sporo jest wzmianek budzących grozę, ale, po pierwsze, dotyczą one zła, które ujawni wówczas cały swój bezsens i utraci wszelkie możliwości zadawania szkody; po wtóre, wzmianki te odnoszą się do wszystkiego, co niedoskonałe, bo ustąpi ono temu, co będzie już doskonałe bez reszty. Toteż świadomość owych rzeczy budzących grozę nie przeszkadza chrześcijanom oczekiwać tego dnia z niecierpliwością, wzmacnia tylko naszą czujność, aby to oczekiwanie nasycone było świętym postępowaniem i zawierzeniem siebie Bogu.

Wczytajmy się w słynną wypowiedź apostoła Piotra:

Skoro to wszystko ulegnie zagładzie, to jakimi winniście być wy w świętym postępowaniu i pobożności, gdy oczekujecie i staracie się przyspieszyć przyjście dnia Bożego, który sprawi, że niebo zapalone pójdzie na zagładę, a gwiazdy w ogniu się rozsypią. Oczekujemy jednak, według obietnicy, nowego nieba i nowej ziemi, w których będzie mieszkała sprawiedliwość (2 P 3,11–13).

Zatem zagłada świata jest tu przedstawiona jako przeciwieństwo katastrofy, jako droga do „nowego nieba i nowej ziemi”. Jest z tym trochę podobnie jak z urodzeniem się: dla dziecka nie jest ono katastrofą, tylko wejściem w zu-

pełnie nowe życie. Dopiero w tej perspektywie staje się zrozumiałe, dlaczego chrześcijanie z ufnością czekają na ten dzień, a nawet starają się go przyspieszyć.

Czasy ostateczne zostały ogłoszone w dniu zesłania Ducha Świętego (Dz 2,17). Apostołowie bardzo realnie liczyli się z tym, że być może Chrystus Pan zechce powrócić już za ich życia. Ta postawa winna cechować każde kolejne pokolenie chrześcijan. Każde bowiem pokolenie powinno trwać w gotowości na przyjście Pana. Zarazem jednak nigdy dość przypominania, że dzień ten zostanie wyznaczony suwerenną decyzją Boga: „Nie nasza to rzecz znać czasy i chwile, które Ojciec ustalił swoją władzą” (Dz 1,7; por. Mt 24,36). Nam wystarczy wiedzieć, że Chrystus Pan przyjdzie już niedługo: „Już za krótką, za bardzo krótką chwilę przyjdzie Ten, który ma nadejść i nie spóźni się” (Hbr 10,37; por. Flp 4,5).

Czy Chrystus Pan przyjdzie już za naszych dni?

Jednakże owo „niedługo” należy liczyć Bożą miarą, nie ludzką: „Jeden dzień u Pana jest jak tysiąc lat, a tysiąc lat jak jeden dzień” (2 P 3,8). Czy Chrystus Pan przyjdzie już za naszych dni? Bardzo to możliwe i bardzo pożądane! Ale nie wolno nam nadstawiać ucha ani na słowa tych, którzy „wiedzą”, iż za naszych dni to jeszcze nie nastąpi (por. 2 P 3,3 i nast.), ani na „pewność” tych, którzy twierdzą, że niewątpliwie stanie się to już w naszym pokoleniu (por. 2 Tes 2,1 i nast.). Najważniejsze, abyśmy w owym „nie-

długo” usłyszeli wezwanie, że czas, jaki nam pozostał, jest krótki i trzeba go poświęcić na rzetelną służbę Bożą: „Dopóki mamy czas, czynmy dobrze wszystkim, a zwłaszcza naszym braciom w wierze” (Ga 6,10). Żeby pobudzić nas do takiej postawy, Pan Jezus nie waha się nawet porównać siebie do złodzieja, który przychodzi zazwyczaj właśnie wtedy, kiedy nikt się go nie spodziewa (Mt 24,43 i nast.; 1 Tes 5,2–4).

Żeby jeszcze bardziej pobudzić nas do czujności oraz do odnawiania w sobie postawy gorliwej wiary, Pan Jezus zostawił nam pouczenie o znakach, które zapowiadają Jego przyjście. Wielka szkoda, że wciąż niedostępny jest w języku polskim obszerny, o objętości niewielkiej książeczki, *List 199* św. Augustyna, poświęcony w całości tematowi znaków końca świata. Augustyn zwraca tam uwagę na to, że im dalej od czasów apostoelskich, tym większe prawdopodobieństwo, że Chrystus Pan przyjdzie właśnie w naszym pokoleniu. Ale zarazem nawet ostatnie pokolenie ludzkości nie będzie wiedziało, czy przypadkiem na dzień ten nie trzeba będzie czekać jeszcze tysiące lat.

Już w pokoleniu apostoelskim, powiada biskup Hippony,

były dni ostateczne. O ileż bardziej teraz są dni ostateczne, choćby nawet do końca pozostawało tyle dni, ile upłynęło od Pańskiego wniebowstąpienia aż do dzisiaj. Zostało ich mniej czy więcej? Tego zupełnie nie wiemy, gdyż „nie nasza to rzecz znać czasy i chwile, które Ojciec ustalił swoją władzą” (Dz 1,7). Wiemy natomiast, że – podobnie jak apostołowie – działamy w czasach ostatecznych, w dniach ostatecznych, w ostatniej godzinie (*List 199*, 24).

Co to znaczy „miłować przyjsie Pana”?

Kluczowym pytaniem, za pomocą którego św. Augustyn chce pomóc czytelnikowi w zobaczeniu, jaki sens religijny zawiera się w nauce Pana Jezusa o znakach końca świata, jest – inspirowane tekstem 2 Tm 4,8 – pytanie: Co to znaczy miłować przyjsie Pańskie i kto je naprawdę miłuje? Otóż przyjsie Pańskie

można kochać i serdecznie za nim tęsknić, niezależnie od tego, czy przyjdzie On wcześniej, czy później, niż jest spodziewany. Sługa, który sobie powiada: „Mój pan ociąga się z powrotem”; i który bije swoich współtowarzyszy, je i pije razem z pijakami (Łk 12,45), nie miłuje przyjsia Pańskiego. (...) Natomiast tęskni gorąco za swoim Panem ten, który mówi: „Dusza moja pragnie Boga żywego: kiedyż więc przyjdę i ujrzę oblicze Boże?” (Ps 42,3). Mówiąc: „kiedyż przyjdę?”, daje wyraz temu, jak ciężko znosi zwłokę. To, co wytęsknione, nawet jeśli nadchodzi szybko, wydaje się przychodzić zbyt powoli. (...) Przyjsie Pana miłowali apostołowie. I rozdzielali na czas pożywienie swoim współslugom, nie krzywdzili ich swoją żądzą władzy ani – pod pozorem, że „mój Pan ociąga się z powrotem” – nie zabawiali się niegodnie z miłośnikami świata (*List 199, 1*).

Krótko mówiąc, „nie ten miłuje przyjsie Pańskie, który twierdzi, że ono już się zbliża, ani ten, który twierdzi, że ono jeszcze daleko. Miłuje je raczej ten, kto – niezależnie od tego, czy ono jest blisko, czy daleko – oczekuje go szczerą wiarą, niezłomną nadzieją i gorącą miłością” (*List 199, 15*).

Chrystus Pan porównał czasy ostateczne do czasów przed potopem (Mt 24,38–39). Rzecz jasna, nic złego nie było w tym, że ludzie „w czasie przed potopem jedli i pili, żenili się i za mąż wydawali”. Złem był brak Boga w ich życiu, złe było ich życie. Synowie światłości – powiada św. Augustyn – starają się zgodnie z prawem Bożym jeść i pić, żenić się i wydawać za mąż.

Wprawdzie już przed wielu laty, w czasach apostoelskich, powiedziano: „Czas jest krótki” (1 Kor 7,29). Oni jednak wsłuchują się pilnie w te słowa. Większość z nich uprawia ziemię, buduje domy, prowadzi handel, posiada rzeczy na własność, piastuje godności, poślubia żony. Mówię o tych, którzy, choć oczekują Pana, nie powstrzymują się od cielesnego małżeństwa. Jednakże z miłością okazują posłuszeństwo pouczeniom apostoła, jak powinni żyć mężowie z żonami, żony z mężami, dzieci z rodzicami, rodzice z dziećmi, podwładni z przełożonymi, przełożeni z podwładnymi (*List 199*, 38).

Może właśnie dzisiaj znaki końca świata osiągają swoją pełnię?

Hezychiusz, który był adresatem tego listu, sądził – a był to rok 419 – że wszystkie zapowiedziane w Piśmie Świętym znaki końca świata właśnie osiągają swoją pełnię. Wydawało mu się na przykład, że zapowiedziana w 2 Tm 3,1–5 niemal powszechna bezbożność i niemoralność dochodzi swoich szczytów. Święty Augustyn odpowiada mu na to, że to prawda, bardzo wielu jest dzisiaj ludzi zepsutych.

„Nie wiadomo jednak, czy po nas nie będzie ich jeszcze więcej, zaś wprost bez miary będzie ich tuż przed końcem. Kiedy on jednak nastąpi, nie wiemy” (*List 199*, 23). Wiemy za to, że powinniśmy unikać zarażenia się tymi złymi postawami, grzesznikom zaś winniśmy pomagać w opamiętaniu się i nawróceniu.

Podobna postawa jest naszą powinnością w obliczu takich wydarzeń, jak wojny, głód, zaraza i różne kataklizmy, w których Pan Jezus każe się dopatrywać znaków zbliżającego się Jego przyjścia. Przecież On wyraźnie powiedział, że wówczas, „kto będzie na dachu, niech nie schodzi, by zabrać rzeczy z domu, a kto będzie na polu, niech nie wraca, żeby wziąć swój płaszcz” (*Mt 24,17 i nast.*). Czyż nie chciał On nas w ten sposób pouczyć, że nawet w najcięższej próbie należy pilnować tego, co najważniejsze? Święty Augustyn w słowach tych słyszy pouczenie następujące: Nawet w sytuacjach, kiedy potrzeby ciała stają się szczególnie dotkliwe, nie wolno z ich powodu opuszczać wyżyn ducha ani porzucać pola, na które zostaliśmy posłani przez Boga (por. *List 199*, 32).

Nie po to słowo Boże każe nam się wpatrywać w znaki przyjścia Pańskiego, żebyśmy próbowali przywłaszczyć sobie tę wiedzę, jakiej Boski Mistrz nie przekazał nawet apostołom. Znaki te mają nas mobilizować do lepszej służby Bożej. Toteż nawet jeśli zdarzy się czasem, że znaków tych będzie jakby mniej, nie powinno to osłabić naszego oczekiwania, ale warto przypomnieć sobie wówczas słowa: „Dzień Pański przyjdzie jak złodziej w nocy. Kiedy bowiem będą mówić: Pokój i bezpieczeństwo – tak niespo-

dzianie przyjdzie na nich zagłada, jak bóle na brzemienną, i nie ujdą” (1 Tes 5,2 i nast.).

Tę biblijną i katolicką naukę o znakach końca świata św. Tomasz z Akwinu potrafił wyrazić z właściwym sobie charyzmatem ujmowania samej istoty rzeczy:

Znaki te mają wskazywać na to, że w pewnym momencie świat się skończy, a nie na określony moment, w którym się to stanie. Są bowiem wśród nich takie znaki, które zdarzają się poniekąd od początku ludzkich dziejów. (...) Wprawdzie kiedy będzie nadchodził koniec świata, będzie się to zdarzało częściej. Nie możemy jednak wiedzieć, jaka przed końcem świata będzie miara tych znaków. (...) Dlatego ten, kto mówi, że nie wie, kiedy Pan przyjdzie – czy już wkrótce, czy dopiero po długim czasie – wyraża naukę Ewangelii. Natomiast spośród dwóch, którzy mówią, że to wiedzą, bardziej niebezpiecznie błądzi ten, kto powiada, że już wkrótce przyjdzie Chrystus i nastąpi koniec świata. Jeśli bowiem nie stanie się tak, jak to zostało zapowiedziane, ktoś może z tej okazji całkowicie zwątpić w Jego przyjście (*De potentia Dei*, q. 5 a. 6).

Zatem nie wiemy, kiedy Pan nasz przyjdzie. Tylko tyle wiemy, że niedługo i że powinniśmy być nieustannie na Jego przyjście gotowi. I to jeszcze wiemy, że tęsknota za Jego przyjściem jest czymś chwalebny. Byleby tylko była to tęsknota rzetelna, wyrażająca się całą naszą duchową postawą.

Pytanie o antychrysta

Kiedy stajemy przed jakimś trudnym do rozwikłania lub obrosłym w różne zaciemniające interpretacje problemem biblijnym, dobrze jest najpierw ustalić konkretny kontekst historyczny biblijnych wypowiedzi wokół tego problemu oraz ten ich sens, który owym kontekstem jest uwarunkowany. Zabezpieczy to nas dość dobrze przed bezwiednym widzimisię w zastanawianiu się nad tym, jakie przesłanie Boże wynika dla nas dzisiaj z tego natchnionego tekstu.

Fałszywi mesjasze

Temat antychrysta pojawia się w Nowym Testamencie w czterech różnych kontekstach. Najpierw w mowie eschatologicznej Pana Jezusa:

Strzeżcie się, żeby was kto nie zwiódł. Wielu bowiem przyjdzie pod moim imieniem i będą mówić: Ja jestem Mesjaszem. I wielu w błąd wprowadzą. (...) Wtedy jeśli by wam

kto powiedział: Oto tu jest Mesjasz!, albo: Tam! – nie wiercie. Powstaną bowiem fałszywi mesjasze i fałszywi prorocy i działać będą wielkie znaki i cuda, by w błąd wprowadzić, jeśli to możliwe, także wybranych (Mt 24,4 i nast.; 23 i nast.).

Doraźnie wypowiedź ta stanowi przestrogę pod adresem pierwszych chrześcijan, aby byli odporni na nastroje mesjańskie, które w społeczności żydowskiej były bardzo żywe aż do upadku powstania Bar Kochby (r. 135). Późniejsi zaś chrześcijanie spontanicznie przypominali sobie te słowa Pana Jezusa, ilekroć spotykali się z roszczeniem, iż jakaś nauka dopełnia objawienie ewangeliczne albo że jakiś prorok przyszedł zająć miejsce Chrystusa. Nie było chyba stulecia, w którym by nie pojawili się jacyś pretendenci do godności Chrystusa, którym udawało się zwieść większą lub mniejszą grupę osób.

Tym, co wyróżnia czasy najnowsze, jest pojawienie się mesjanizmów świeckich. Hitleryzm na przykład miał klasyczną wręcz strukturę idei mesjańskiej, skrajnie bezbożnej, a zarazem całkowicie świeckiej. Führer zajął w nim miejsce Chrystusa, idea wybrania przybrała postać doktryny rasistowskiej, idea łaski wypaczyła się w pojęcie nadczłowieka, obietnica zbawienia zaś – w perspektywę tysiącletniej Rzeszy. Strukturę idei mesjańskiej miał również bolszewizm – tutaj miejsce ewangelistów zajęli Marks, Engels, Lenin i Stalin, mesjaszem (zbiorowym) mianowany został proletariatus, czynem zbawczym rewolucja, a nadzieję zbawienia złożyli bolszewicy w komunistycznej utopii.

Ci, którzy odbierają chrześcijaństwu samą jego istotę

Po raz drugi temat antychrysta pojawia się w Nowym Testamencie w takim kontekście, w którym doraźnie chodzi o przeciwstawienie się doketyzmowi. Dokeci kwestionowali tajemnicę wcielenia – głosili, jakoby Jezus Chrystus był człowiekiem tylko pozornie. Krótko mówiąc, przyznawali się do chrześcijaństwa, przeinaczając je jednak dogłębnie, pozbawiając wiarę chrześcijańską samej jej istoty.

Každy duch – powiada apostoł Jan – który uznaje, że Jezus Chrystus przyszedł w ciele, jest z Boga. Každy zaś duch, który nie uznaje Jezusa, nie jest z Boga i to jest duch Antychrysta, który, jak słyszeliście, nadchodzi i już teraz przebywa na świecie (1 J 4,2 i nast.; por. 2,22; 2 J 7).

Nawiasem mówiąc, termin „antychryst” występuje wyłącznie w tym drugim zespole tematycznym i tylko w liściach apostoła Jana, a wyjaśnijmy od razu, że grecki wyraz *anti* oznacza zarówno „przeciw”, jak „zamiast”.

Tu nasuwają się dwa spostrzeżenia. O antychryście apostoł Jan mówi w taki sposób, że jest on jednocześnie kimś pojedynczym i wieloosobowym: „Dzieci, jest już ostatnia godzina, i tak, jak słyszeliście, Antychryst nadchodzi, bo oto teraz właśnie pojawiło się wielu antychrystów” (1 J 2,18). Po wtóre, obecność antychrysta jest znakiem „ostatniej godziny”, a przecież on „już teraz przebywa na świecie” (4,3). Niżej spróbujemy jeszcze spostrzeżenia te skomentować.

Antychryst w moim wnętrzu i w różnych przedsionkach piekła

Po raz trzeci sięga po ideę antychrysta apostoł Paweł, a to w celu naprostowania w swoich podopiecznych postawy eschatologicznej. Owszem – wyjaśnia Paweł Tesaloniczanom – żyjemy w czasach ostatecznych, ale należy zaniechać podniecania się konkretnymi zapowiedziami, jakoby przyjście Pańskie miało nastąpić tuż-tuż. „Najpierw przyjdzie odstępstwo i objawi się człowiek nie liczący się z prawem Bożym, syn zatracenia, który się sprzeciwia i wynosi nad wszystko, co nosi imię Boga lub co odbiera Boską cześć, aż zasiądzie w świątyni Bożej, podając się za Boga” (2 Tes 2,3 i nast.).

Byłoby kompletnym nieporozumieniem, gdybyśmy wypowiedź tę zrozumieli jedynie jako próbę zamrożenia, odsunięcia na następne pokolenia postawy ekscytowania się zapowiedziami rychłej Paruzji. Apostołowi na pewno nie chodziło też o rozładowanie atmosfery eschatologicznej wśród współczesnych sobie chrześcijan, z pewnością nie chciał powiedzieć, że wprawdzie żyjemy już w czasach ostatecznych, ale jeszcze nie tak zupełnie, bo przecież nie przyszedł jeszcze „syn zatracenia”.

Duch słowa Bożego jest inny. Jego celem nie jest sprzyjanie atmosferze sensacji czy arbitralnych podejrzeń i potępień, ale budowanie atmosfery nawrócenia. Apostoł powiada mniej więcej tak: Oczekiwanie na przyjście Pana nie na tym ma polegać, że nadstawiacie ucha na szalbiercze proroctwa, „jakoby już nastawał dzień Pański” (2 Tes

2,2). Raczej starajcie się przeciwstawić temu odstępstwu, które zauważacie teraz lub zauważycie w przyszłości, również temu, które być może dokonuje się w was samych. Przewyciężaj w sobie, chrześcijanie, tego starego niegodziwca, który nie chce się liczyć z prawem Bożym. To przecież pozbawia twoje życie sensu i czyni cię synem zatracenia. W świątyni twego serca ten nicpoń – twoje bezbożne ego – chciałby bowiem zająć miejsce należne samemu tylko Bogu. Dlatego ubiegaj się o to, aby Pan Jezus coraz pełniej zamieszkał w tobie, bo On nawet nie musi walczyć z tym niegodziwcem, On przez samo swoje przyjście do twego wnętrza „zgładzi go tchnieniem ust swoich i zatraci objawieniem swego przyjścia” (2 Tes 2,8).

Błędem byłoby, oczywiście, redukować problematykę antychrysta tylko do wymiaru naszego wnętrza, ale z kolei tego wymiaru nie uwzględniać, znaczyłoby sprowadzać ją nieuchronnie na manowce. Antychryst przemienia się wówczas w tajemniczą postać mitologiczną, którą raz po raz ktoś będzie usiłował zidentyfikować z jakąś konkretną osobą lub społecznością. A to musi prowadzić do uzurpujących prerogatywy sądu Bożego potępień oraz do autokanonizacji samego siebie oraz swojej grupy religijnej. (Warte to może zauważenia, że te grupy chrześcijańskie, które czynnie zwalczają kult świętych, rzadko potrafią się ustrzec pokusy autokanonizacji). W ten sposób poprzez błędnie rozumianą ideę antychrysta wchodzi w myślenie chrześcijańskie zupełnie obcy chrześcijaństwu manicheizm, wyobrażanie sobie, jakoby świat był miejscem zmagania się Boga z jakimś Antybogiem, Chrystusa z jakimś Antychrystem.

Owszem, obraz walki dość często pojawia się na kartach Nowego Testamentu, ale najważniejszym jej miejscem są ludzkie wnętrza. Bo nie jest niestety tak, że ja – chociaż ochrzczony, chociaż spożywający Ciało Pańskie – już cały bez reszty należę do Boga i do Chrystusa. Co więcej, może się zdarzyć, że zło we mnie zwycięża i króluje, a ja staję się wówczas siewcą zła na zewnątrz.

To prawda, również świat zewnętrzny jest miejscem walki ostatecznej. Bo ciemności emanujące z naszych wewnątrz mają niestety moc przemieniania różnych miejsc, w których przychodzi przebywać człowiekowi, w przedśmionek piekła. Ale Chrystus nie jest stroną w tej walce. Najpełniej ujawniło się to na krzyżu. Kto tego nie rozumie, nowotestamentalne obrazy walki będzie odczytywał bezbożnie, będzie tylko nimi karmił swój manicheizm.

Czy Chrystus na krzyżu z kimś walczył? Na pewno siły zła z szatanem na czele przypuściły na Niego potężny atak. Ale czy On walczył? On po prostu był sobą. Bardzo wiele to Go kosztowało, ale siłom zła nie udało się nawet o odrobinę osłabić w Nim miłości, jaką był przepełniony. I okazało się, że jest z nimi podobnie jak z ciemnością, która jest mocna tylko tam, gdzie nie ma światła. Podobnie siły zła są mocne tylko tam, gdzie nie ma tej miłości, która jest mocniejsza niż śmierć, czyli tej miłości, której źródłem jest Chrystus. Walka Chrystusa z siłami Mu przeciwnymi polega po prostu na tym, że gdzie On naprawdę się pojawi – czy to w moim wnętrzu, czy to w różnych przedśmionkach piekła – tam nikną one pod samym tchnieniem ust Jego i na samo objawienie Jego przyjścia (por. 2 Tes 2,8).

Nie wyobrażam sobie, żeby można było inaczej rozumieć opisy walki ostatecznej, które znajdują się zwłaszcza na kartach Apokalipsy. Opisy te stanowią czwarty kontekst, w którym pojawia się temat antychrysta – temat ten jest obecny zwłaszcza w obrazach Bestii i Fałszywego Proroka (Ap 13 i nast.).

Trzy literackie sylwetki antychrysta

Sądzę, że po naszkicowaniu biblijnych źródeł naszego tematu mamy już jakiś jego ogólny obraz. Wydaje się, że temat ten warto drążyć w trzech kierunkach. Po pierwsze, antychrysta należy szukać tam, gdzie głosi się jakąś konkurencyjną wobec Chrystusa ideę zbawienia lub osobę zbawcy. Po wtóre, duch antychrysta działa wszędzie tam, gdzie istotnie zniekształca się prawdę o Chrystusie lub wyznaje moralność istotnie niezgodną z Jego nauką. Wreszcie po trzecie, przejawem obecności antychrysta jest każda sytuacja, w której zło króluje nad dobrem, zwłaszcza jeśli zło jest w stanie ekspansji.

Wielkie wrażenie zrobiła na mnie niedawno nowela Lagerkvista pt. *Kat*. Jest to najgłębszy chyba utwór o antychryście, jaki w życiu zdarzyło mi się przeczytać. Pisarz wychodzi od starego ludowego przeświadczenia o leczniczej jakoby sile zła: przy sporządzaniu rozmaitych maści i leków składnikiem przez farmaceutykę przednaukową ogromnie cenionym były różne rzeczy związane z czyjaś egzekucją lub samobójstwem. Otóż to obłąkane prze-

świadczenie – rozwija swą myśl Lagerkvist – towarzyszy całym dziejom ludzkim. Począwszy od śmierci, jaką Kain zadał Ablowi, działa wśród ludzi Kat, który walczy o ustanowienie dobra na naszej ziemi poprzez zadawanie zła. Jego zdaniem, Chrystus był naiwnym marzycielem, niezającym sobie sprawy z tego, że bez uciekania się do zła dobro nigdy nie zwycięży. Prawdziwym waszym Chrystusem – powiada w pewnym momencie – jestem ja, Kat.

I jeszcze dwa groźne spostrzeżenia formułuje Lagerkvist na temat tego antychrysta. Mianowicie ten Kat zamknięty jest w więzieniu naszych wnętrz. Tam również uwieczniona jest kobieta Kata, która stara się podtrzymać go na duchu i obdarzyć poczuciem, że jest kochany i potrzebny. Bez niej Kat obrzydłby samemu sobie i utraciłby wiarę w sens swojej katowskiej roboty. Moim zdaniem, genialna to intuicja, że ducha antychrysta, który sam w sobie jest przecież jawnie wstrętny, staramy się dopieścić i za pomocą różnych sztuczek ukryć jego brzydotę.

Skoro już sięgnąłem do literatury, warto tu może przypomnieć postać Kiriłłowa z *Biesów* Dostojewskiego, która, zdaniem Ryszarda Przybylskiego, jest właśnie antychrystem. Przesłanie Kiriłłowa, choć sformułowane inaczej niż przez antychrysta-Kata, jest w gruncie rzeczy to samo: ludzie osiągną zbawienie, jeśli zdołają stanąć ponad dobrem i złem, jeśli uda im się zrozumieć, że świat nie ma celu, a poczucie grzechu jest nonsensem, z którego należy się wyzwolić. Perspektywą, jaką ma ludziom do zaproponowania ten antychryst, jest, oczywiście, unicestwienie. W tym względzie Kiriłłow w pełni zgadza się z Katem Lagerkvista.

Pod jednym względem obraz antychrysta, nakreślony przez Dostojewskiego w postaci Kiriłłowa, odbiega jednak, jak sądzę, od antychrysta rzeczywistego: Kiriłłow nie ma w sobie nic uwodzicielskiego, jego nihilizm jest jawny, odpychający. Rzeczywisty antychryst jest takim dopiero w momencie, kiedy już pożera człowieka, kiedy człowiek utracił już nadzieję, że z jego łap może się jeszcze wyrwać.

Za to odurzające uroki uwodzicielskie roztacza wokół siebie antychryst ze znanej opowieści Włodzimierza Sołowjowa. Nie tylko głosi on powszechny pokój, dobrobyt i zgodę, ale potrafi je rzeczywiście wprowadzić. Swoją przewrotność skupił na jednym jedynym: nie wierzy, że Chrystus jest Synem Bożym, który zmartwychwstał. Krótko mówiąc, nie wierzy w życie wieczne, nadzieję i wartości człowieka chce zamknąć bez reszty w tym świecie doczesnym. I w tym utożsamia się on zarówno z Katem, jak z Kiriłłowem: ostateczną perspektywą, jaką jest on w stanie roztoczyć przed ludźmi, jest śmierć. Właśnie dlatego jest on antychrystem: Chrystus jest przecież Życiem i Drogą do wiecznej pełni.

Bardzo zależało mi na tym, żeby przedstawiając problem, wyeksponować tego antychrysta, który może siedzieć w każdym z nas. On zwalcza – zarówno w nas samych, jak na zewnątrz – to, co Boże i Chrystusowe. Apostoł Jan mówi jednak również o jakimś jednym Antychryście. Nie wydaje się, żeby miał na myśli konkretną osobę. Chodzi tu raczej o to, że siły zła potrafią się niekiedy ukształtować w jakiś przerażający organizm moralny, zięjący nienawiścią do wszystkiego, co szlachetne i co

prowadzi do zbawienia wiecznego. Przejmującym przykładem tych strasznych zdolności zła jest hitleryzm.

Zapewne z tego względu temat antychrysta skojarzony jest – zwłaszcza w Ewangelii Mateusza oraz w Apokalipsie – z uciskiem czasów ostatecznych. Pod żadnym pozorem nie wolno nam tylko zapomnieć o tym, że o ucisku czasów ostatecznych mówi Nowy Testament nie w duchu katastrofizmu czy cierpiętnictwa, ale w duchu serdecznej i radosnej nadziei, iż w obliczu Chrystusa żaden antychryst – choćby najpotężniejszy, choćby najbardziej uwodzicielski – nie ma żadnych szans.

Ostatnia próba Kościoła

Fragment pod takim tytułem, jaki znajduje się w *Katechizmie Kościoła Katolickiego*, zaczyna się od następujących stwierdzeń:

Przed przyjściem Chrystusa Kościół ma przejść przez końcową próbę, która zachwieje wiarą wielu wierzących. Prześladowanie, które towarzyszy jego pielgrzymce przez ziemię, odsłoni tajemnicę bezbożności pod postacią oszukańczej religii, dającej ludziom pozorne rozwiązanie ich problemów za cenę odstępstwa od prawdy. Największym oszustwem religijnym jest oszustwo Antychrysta, czyli oszustwo pseudomesjanizmu, w którym człowiek uwielbia samego siebie zamiast Boga i Jego Mesjasza, który przyszedł w ciele (KKK, 675).

**Zwycięzca śmierci, piekła i szatana jest
aż tak słaby?**

Niewielki ten tekst przywołuje w odnośnikach aż osiem wypowiedzi Pisma Świętego, między innymi niepokoi-

jące pytanie Pana Jezusa: „Czy jednak Syn Człowieczy znajdzie wiarę na ziemi, gdy przyjdzie?” (Łk 18,8). Zresztą nie jest to kompletna lista odniesień biblijnych na temat ostatniej próby Kościoła. Na przykład nie umieszczono tam – wydawałoby się, najważniejszej w zakresie tego tematu – zapowiedzi Pana Jezusa z mowy eschatologicznej:

Wtedy wydadzą was na udrękę i będą was zabijać, i będziecie w nienawiści u wszystkich narodów, z powodu mego imienia. Wówczas wielu zachwieje się w wierze; będą się wzajemnie wydawać i jedni drugich nienawidzić. Powstanie wielu fałszywych proroków i wielu w błąd wprowadzą; a ponieważ wzmoże się nieprawość, oziębnie miłość wielu (Mt 24,9–12).

Pod wpływem takich zapowiedzi ogarniają nas coraz to nowe niepokojące pytania. Bo skoro wyznawcy Chrystusa wystawieni są na prześladowania – ale co gorsza: my sami nie mamy pewności, że w wierze i miłości nie oziębniemy, a może nawet grozi nam załamanie i odejście – to co znaczą słowa Chrystusa: „Jam zwyciężył świat” (J 16,33)? Czy naprawdę zwyciężył, skoro ten świat ciągle może tyle szkody wyrządzić zarówno Kościołowi, jak poszczególnym wierzącym?

Jeżeli zwyciężył ten świat, który jest Jego i naszym wrogiem, to dlaczego mu pozwala nadal zwyciężać? Skoro wierzący w Niego tracą wiarę, to co znaczą słowa, jakie wypowiedział On o swoich owcach, że „nikt nie wyrwie ich z mojej ręki” (J 10,28)? Jeżeli odejścia od wiary mogą

przybrać przed Jego ostatecznym przyjściem postać może nawet jakiejś lawiny, to na czym polega Jego zwycięstwo?

I jeszcze jedno pytanie: Jeżeli pod koniec naszych ludzkich dziejów zło ma się szczególnie rozpanoszyć, to czyżby świat został do tego zaprogramowany? Czyżby Ten, któremu „jest dana wszelka władza na niebie i na ziemi” (Mt 28,18), nie chciał z niej skorzystać? Dlaczego? O co tu chodzi?

Nie zwolennicy, ale współzwycięzcy

Niekiedy najlepszą metodą szukania odpowiedzi na trudne pytania jest postawienie pytania następnego. Spróbujmy tej metody teraz i zapytajmy, dlaczego liczne świadectwa prześladowań Kościoła i wyznawców Chrystusa nie budzą na kartach Nowego Testamentu żadnych niepokojów doktrynalnych. Przecież natchnieni autorzy nie mieli najmniejszych wątpliwości co do tego, że Chrystus Pan jest ostatecznym i nieodwołalnym Zwycięzcą śmierci, piekła i szatana! Dlaczego zatem nie widać na kartach Nowego Testamentu nawet śladu pytania następującego: Jak to możliwe, że Zwycięzca ostateczny dopuszcza do prześladowania swoich uczniów i zwolenników?

Wręcz przeciwnie, z całym spokojem się tam stwierdza, że „wszystkich, którzy chcą żyć zbożnie w Chrystusie Jezusie, spotkają prześladowania” (2 Tm 3,12). I wielokrotnie znajdziemy tam pouczenia: „Jeśli kto chce pójść za Mną, niech się zaprze samego siebie, niech weźmie krzyż swój i niech Mnie naśladuje” (Mt 16,24), oraz przy-

pomnienia: „Jeżeli Mnie prześladowali, to i was będą prześladować” (J 15,20).

Bezcenne światło na ten problem rzucił – wtedy, ok. roku 108, już skazany na śmierć męczeńską – stary biskup Antiochii, Ignacy. Mianowicie mając nadzieję, że dzięki łasce Chrystusa przez śmierć męczeńską przejdzie zwycięsko, Ignacy pisze do młodego wówczas biskupa Polikarpa: „Wielki to zawodnik, który jest bity, a zwycięża”. Mimo woli ciśnie się na usta pytanie: A co z takim chrześcijaninem, który w obliczu prześladowań się załamał, który był bity i przegrał? Odpowiedź jest tutaj, niestety, oczywista: Ktoś taki był chrześcijaninem tylko powierzchownie i w prześladowaniu to się ujawniło. Rzecz jasna, natychmiast dodajmy pokornie: „Niech ten, komu się zdaje, że stoi, baczy, aby nie upadł” (1 Kor 10,12).

Mówiąc krótko: Chrystus Pan, Zwycięzca ostateczny, dopuszcza prześladowania i odstępstwa, dlatego że On nie potrzebuje zwolenników, On chce w nas mieć współwycięzców. Jemu zależy na tym, żebyśmy w jedności z Nim, w jedności w Jego krzyżu i w znoszonych przez Niego sztyderstwach, i w oparciu o Jego łaskę, mieli udział w Jego zwycięstwie nad śmiercią, piekłem i szatanem.

Poruszające świadectwo tej prawdy złożył św. Tomasz More († 1534), męczennik angielski z czasów Henryka VIII. Kiedy zaczęto go nękać żądaniem, aby wyraził swoją aprobatę dla poddania Kościoła angielskiego królowi, nastały dla niego dni pełne niepokoju. Pewnego razu, po jakimś przesłuchaniu przed komisją lordów, Tomasz wracał do domu radosny i odprężony. Towarzyszącemu mu zię-

ciowi wydawało się więc, że wiszące nad nim niebezpieczeństwo zostało zażegnane. Wielkie zatem było jego zdumienie, kiedy teść wyznał mu, dlaczego był tak radosny: „Radowałem się, że diabeł poniósł z mej ręki tak sromotną klęskę, bo tak dalece posunąłem się wobec owych lordów, iż teraz nie mógłbym już wycofać się bez hańby”.

Jeden tylko Bóg wie, jak wielu tych, którzy niosło swój krzyż i naśladowali Chrystusa, „złączy się z Nim w jedno przez podobne zmartwychwstanie” (Rz 6,5), i jak wielu należących do Chrystusa zawodników było bitych, a nawet zabijanych, i zwyciężyło! Na pewno jest to „wielki tłum, którego nie może nikt policzyć, z każdego narodu i wszystkich pokoleń, ludów i języków” (Ap 7,9).

Starożytna opowieść o apostołe Bartłomieju

Nie podjęliśmy jeszcze pytania, dlaczego „przed przyjściem Chrystusa Kościół ma przejść przez końcową próbę, która zachwieje wiarą wielu wierzących”. Dwóch prawd nie wolno naruszyć podczas szukania odpowiedzi na to pytanie. Po pierwsze, nic „nie zdoła odłączyć od miłości Boga, która jest w Chrystusie Jezusie, Panu naszym”, takich Jego wyznawców, którzy naprawdę i bez reszty do Niego należą (por. Rz 8,30). I prawda druga: podobnie jak nawrócenie Niniwy oddaliło od niej zagrożenie, jakie nad nią zawisło z wyroku samego Boga (por. Jon 3,4–10), tak samo może się stać z czekającą nas próbą ostateczną. Jeżeli jednak – w skali całej ludzkości – się nawrócimy!

Odpowiedź Pisma Świętego na pytanie, dlaczego ta próba ma nastąpić, jest tyleż prosta, co tajemnicza: „Biała ziemia i biała morza – bo zstąpił do was diabeł, palając wielkim gniewem, świadom, że mało ma czasu” (Ap 12,12).

Od razu stanowczo wykluczmy taką interpretację tej sytuacji, jakoby w czasach ostatecznych miała się zmniejszyć władza Chrystusa nad Kościołem czy światem. „Jezus Chrystus wczoraj i dziś, ten sam także na wieki” (Hbr 13,8). Nie władza Chrystusa wtedy się zmniejszy, ale nasze Jemu oddanie. I to słusznie budzi w nas trwogę. Tym mocniej starajmy się do Niego przyłgnąć. Tym mocniej prosimy Go, zgodnie ze słowami pieśni eucharystycznej: „Nie dopuść mi oddalić się od Ciebie”. Starajmy się – nie deklaratywnie, ale naszym życiem – realizować to wezwanie, od którego św. Jan Paweł II zaczął swój pontyfikat: „Otwórzcie drzwi Chrystusowi!”.

Czy wobec tego władza szatana nad naszą ziemią wtedy się zwiększy? Straszliwą potęgę szatana, ale zarazem jego bezsilę wobec tych, którzy należą do Chrystusa, świetnie przedstawia starochrześcijańska opowieść o apostołe Bartłomieju. Mianowicie kiedy zmartwychwstały Chrystus objawił się apostołom, Bartłomiej poprosił Go: „Panie, pokaż nam tego nieprzyjaciela ludzi – on musi być straszny, skoro doprowadził do tego, że Ciebie ukrzyżowano”. Na co Pan Jezus: „Nie wiesz, o co prosisz”. Wtedy jednak inni apostołowie zaczęli Go prosić: „Panie, pokaż go nam, pokaż”. „Sami tego chcecie” – powiedział Jezus i dał rozkaz, żeby diabła przyprowadzić. Pięciuset sześćdziesięciu anio-

łów wprowadziło potężną, zionącą ogniem bestię, związaną ognistymi sznurami. Apostołowie są przerażeni. Wtedy Pan Jezus każe Bartłomiejowi: „Zbliź się do tej bestii i postaw stopę na jej karku”. Na to Bartłomiej: „Przepraszam, Panie Jezu, nie wiedziałem, o co Cię proszę!”. A Pan Jezus: „Postaw stopę!”. Kiedy Bartłomiej zbliżył się do bestii, diabeł przemienił się w trzęsącą się ze strachu galaretkę.

Szukałem jakiegoś drugiego tekstu, który by równie mądrze przekazywał samą istotę prawdy o tym naszym nieprzyjacielu: że jest on bardzo potężny i nie mamy szans, żeby własnymi siłami się przed nim obronić. A zarazem że jesteśmy całkowicie bezpieczni i to diabeł nas się boi, jeżeli tylko jesteśmy blisko Pana Jezusa.

Wydaje mi się, że taki tekst znalazłem. Jego autorem jest sam Adam Mickiewicz. Jest to jego dwuwiersz pt. *Nocny ptak*:

Szatan w ciemnościach łowi; jest to nocne zwierzę;
Chowaj się przed nim w światło: tam cię nie dostrzeże.

Trąba Sądu Ostatecznego

Zapewne wielu współczesnych inteligentów czuje podobnie, jak autor poniższego listu:

Przykro mi się zrobiło, kiedy w Ewangelii św. Mateusza trafiłem na to zdanie, że Syn Człowieczy „pośle swoich aniołów z trąbą o głosie potężnym, i zgromadzą Jego wybranych z czterech stron świata, od jednego krańca nieba aż do drugiego” (24,31). W przypisie podano dwa odnośniki do innych miejsc w Nowym Testamencie na ten sam temat i zrobiło mi się jeszcze bardziej przykro. Bo proszę spojrzeć: „W jednym momencie, w mgnieniu oka, na dźwięk ostatniej trąby – zabrzmi bowiem trąba – umarli powstaną nienaruszeni, a my wszyscy będziemy odmienieni” (1 Kor 15,52). I w drugim miejscu: „Sam bowiem Pan zstąpi z nieba na hasło i na głos archanioła, i na dźwięk trąby Bożej, a zmarli w Chrystusie powstaną pierwsi” (1 Tes 4,16).

Czy takimi naiwnymi wyobrażeniami musimy się w naszej wierze przejmować?

Biblijne metafory

Przywołam kilka równie „naiwnych” obrazów, jakich używa Pismo Święte w swoim mówieniu o samym Bogu. „Pan ma tron swój na niebiosach – to słowa Psalmu 11,4 – oczy Jego patrzą, powieki Jego badają synów ludzkich”. Mamy zatem i obraz tronu Bożego, i oczu, i powiek. W słynnej wizji proroka Daniela pojawi się obraz szaty Bożej, a nawet włosów Jego głowy (Dn 7,9). Natomiast w dziesiątkach tekstów biblijnych mówi się o Bożym obliczu, Bożej ręce i ramieniu.

Na ogół w obrazach tych spontanicznie rozpoznajemy przekazy na temat Bożej transcendencji, Jego wszechobecności i wszechmocy, miłości i miłosierdzia. Prawdopodobnie bierze się to stąd, że jesteśmy z tego rodzaju wypowiedziami „osłuchani” i nauczyliśmy się je rozumieć zgodnie z rzeczywistym sensem, jaki w sobie zawierają.

Natomiast ten obraz budzi w nas zaniepokojenie, ponieważ jest niemal nieobecny w naszej wyobraźni religijnej, toteż nawet kiedy spotykamy go czasem na kartach Pisma Świętego, w ogóle go nie zauważamy. Zamiast obrazu „dźwięku trąby” dochodzi wówczas do nas tylko informacja o jakichś – zapewne metalowych – trąbach. I rzeczywiście człowieka może ogarnąć zażenowanie: Przecież to niemożliwe, żeby Kościół wierzył w takie za przeproszeniem głupstwa, że na Sąd Ostateczny będziemy zwoływani za pomocą trąby!

Nie ludzie wybierają Boga, ale Bóg zwołuje swój lud

Przyjrzyjmy się zatem tym głębokim treściom, jakie zawiera w sobie biblijny obraz dźwięku trąby. Pierwsze w Piśmie Świętym wspomnienie na ten temat znajduje się w Księdze Liczb: dwie srebrne trąby „będą służyły do zwoływania całej społeczności i dawania znaku do zwijania obozu” (Lb 10,2). Toteż nic dziwnego, że kiedy prorok Izajasz zapowiada zgromadzenie ludu Bożego rozproszonego w różnych krajach wygnania, sięga właśnie po symbol gry na trąbie i z całą pewnością nie mówi tu o żadnym metalowym instrumencie: „W ów dzień zagrają na wielkiej trąbie i wtedy przyjdą zagubieni w kraju Asyrii i rozproszeni po kraju egipskim, i uwielbią Pana na świętej górze w Jeruzalem” (Iz 27,13).

Ponadto, w tejże księdze do głosu trąby porównana jest działalność kaznodziejska, wzywanie do nawrócenia i do traktowania swojej wiary na serio: „Krzycz na całe gardło, nie przestawaj! Podnoś głos twój jak trąba! Wytknij mojemu ludowi jego przestępstwa i domowi Jakuba jego grzechy!” (Iz 58,1). Intuicja stojąca za tym obrazem jest dość podobna, co w tekście poprzednim: prorok ma zwoływać lud Boży, też rozproszony, tyle że nie po krainach Asyrii czy Egiptu, ale po rozmaitych manowcach grzechu. Nawiązując do tej kaznodziejskiej symboliki, apostoł Paweł napisze, że to „trąbienie” powinno zasługiwać na swą nazwę: „Bo jeśli trąba brzmi niepewnie, któż będzie się przygotowywał do bitwy?” (1 Kor 14,8).

W czasach Starego Testamentu głosem trąby zwoływano też lud Boży do walki z nieprzyjacielem, ażeby bronić zagrożonej tożsamości: „Gdy w waszym kraju będziecie wyruszać na wojnę przeciw nieprzyjacielowi, który was napadnie, będziecie przeciągle dąć w trąby. Wspomni wtedy na was Pan, wasz Bóg, i będziecie uwolnieni od nieprzyjaciół” (Lb 10,9). Rzecz ciekawa, zawarte w ostatnim zdaniu przekonanie, że głos trąby wzywa również do wiary w pomoc Bożą, przywoływane jest także w innych tekstach, zarówno tych wzywających do walki (Ne 4,14), jak tych ogłaszających zwycięstwo (2 Krn 20,28 i nast.).

Symbol Bożej wszechmocy

Najbardziej spektakularnym, ale i teologicznie niezwykle głębokim wydarzeniem należącym do naszego tematu, jest opisane w szóstym rozdziale Księgi Jozuego zburzenie murów Jerycha. Cała ta siedmiodniowa jakby-liturgia, która skończyła się runięciem murów miasta, objawia z wielką wyrazistością dwie proste prawdy: że sam Bóg wspiera walkę swego ludu, a czyni to poprzez zwyczajne okazanie swojej mocy, nie wchodząc w jakiekolwiek zmagania z wrogami tego ludu.

Później Apokalipsa w analogicznych kategoriach opíše walkę ostateczną z mocami ciemności, jaka poprzedzi chwalebne przyjście Pana i ostateczne ogłoszenie Jego zwycięstwa. „Trębaczami” w tej walce, która nie będzie miała żadnych cech bitwy, tylko po prostu ujawni całą bez-

siłę sił wrogich Bogu, są w opisie Apokalipsy już nie ludzie, tylko aniołowie. Podobnie jak pod Jerychem, trąbienie aniołów – oraz idące w ślad za nim klęski sił zła – jest rozpisane na siedem etapów (Ap 8–11).

Jeszcze jeden aspekt naszego symbolu jest bardzo podkreślony w Piśmie Świętym: głos trąby, z swojej natury dominujący nad dźwiękami innych instrumentów, nieraz symbolizuje Bożą obecność wśród swego ludu. Już podczas teofanii na Synaju głos trąby podkreślał, że jest to obecność Wszechmogącego, a nie potężne przejawy bezosobowych i irracjonalnych sił przyrody (Wj 19,16.19; 20,18). Później prawdę obecności Boga wśród swojego ludu wyrażała dominacja trąb nad innymi instrumentami podczas liturgii przed Arką Przymierza i w Świątyni.

Bóg jest sprawcą naszej jedności

Poruszająco opisane jest objawienie Bożej obecności w dniu poświęcenia świątyni:

Kiedy tak zgodnie, jak jeden, trąbili i śpiewali, tak iż słyhać było tylko jeden głos wysławiający majestat Pana, kiedy podnieśli głos wysoko przy wtórze trąb, cymbałów i instrumentów muzycznych przy wychwalaniu Pana, że jest dobry i że na wieki Jego łaskawość, świątynia nappełniła się obłokiem chwały Pańskiej, tak iż nie mogli kapłani tam pozostać i pełnić swej służby z powodu obłoku, bo chwała Pańska wypełniła świątynię Bożą (2 Krn 5,13 i nast.; por. 1 Krn 15,28).

Poniekąd streszczeniem tego ostatniego wątku jest zapisane w Psalmie 47 proroctwo o widzialnym panowaniu Boga nad wszystkimi narodami:

Wstąpił Bóg wśród radosnych okrzyków,
Pan przy dźwięku trąby.
Śpiewajcie naszemu Bogu, śpiewajcie!
Śpiewajcie naszemu Królowi, śpiewajcie!
Gdyż Bóg jest Królem całej ziemi,
Hymn zaśpiewajcie!
Bóg króluje nad narodami,
Bóg zasiada na swym świętym tronie.
Połączyli się władcy narodów
Z ludem Boga Abrahama.
Bo możni świata należą do Boga,
On zaś jest najwyższy.

Jak zatem widzimy, „trąba” Sądu Ostatecznego jest symbolicznym skrótem, wyrażającym wszystkie zasygnalizowane tu aspekty. Zapowiada z jednej strony nieuchronną i bezdyskusyjną klęskę i rozpad wszystkich sił bezbożnych, z drugiej zaś strony – ostateczne i doskonałe zjednoczenie wszystkich Bożych przyjaciół. Przede wszystkim zaś wyraża radość pełnego i ostatecznego panowania Boga.

„Będziemy porwani w powietrze,
na obłoki, naprzeciw Pana”

(1 Tes 4,17)

Poświęciłem trochę czasu poszukiwaniom, w jaki sposób i jak często werset powyższy pomagał objaśniać wiarę wielkim nauczycielom Kościoła. Podjąłem je pod wpływem młodego człowieka, który w swojej drodze do wiary potknął się o to zdanie. „W głowie mi się nie mieści – mówił – żeby wiara w Chrystusa żądała ode mnie otwarcia na tak prymitywne wyobrażenia”.

Uświadomiłem sobie wówczas, że ja sam w ciągu dziesiętności lat mojej posługi duszpasterskiej chyba ani razu nie przywoływałem przytoczonych w tytule słów apostoła Pawła. Czyżby ten fragment słowa Bożego stał się w mojej duszy martwy? To był drugi powód, dla którego zabrałem się do wspomnianych poszukiwań.

Oszalałające bogactwo interpretacji patrystycznych

W pismach ojców Kościoła znalazłem bezmiar objaśnień, nawiązań i aluzji do tych słów, że „będziemy porwani w powietrze, na obłoki, naprzeciw Pana”. Tutaj przytoczę tylko niewielką część tego, co znalazłem. I pierwsze zdumienie: Ani razu nie nawiązuje do tych tekstów św. Tomasz z Akwinu w swoich największych dziełach, tylko kilka, banalnych zresztą odniesień znajduje się w jego komentarzach biblijnych i może gdzieś tam jeszcze.

Pierwsze wyjaśnienie tego faktu narzucało się samo: św. Tomasz jest tym teologiem, który zdecydowanie bardziej woli myśleć pojęciami niż symbolami. Stąd wstępna hipoteza: Być może stępiła się nasza wrażliwość na symboliczne wymiary rzeczywistości, a zarazem jednak podświadomie czujemy, że sam apostoł Paweł nie traktował przecież swojej wypowiedzi z materialną dosłownością.

Bliższy kontakt z tekstami ojców Kościoła potwierdza tę hipotezę. Oto na przykład Tertulianowi (*Przeciw Marcjonowi*, 3, 24, 11), ok. roku 210, słowa apostoła Pawła, że będziemy porwani na obłoki naprzeciw Pana, natychmiast kojarzą się z dwoma obrazami ze Starego Testamentu. Po pierwsze, z fragmentem zarysowanej przez proroka Izajasz wizji odnowionej Jerozolimy: „Kto to są ci, co lecą jak chmury i jak gołębie do okien swego gołębnika?” (Iz 60,8), i po wtóre, z wizją proroka Daniela, że „oto na obłokach nieba przybywa jakby Syn Człowieczy” (Dn 7,13). Za-

tem nie ma najmniejszej wątpliwości co do tego, że Tertulian myśli tu symbolicznie.

Święty Hieronim, w roku 406, zauważy, że nasze wznoszenie się do nieba zaczyna się już teraz:

Przez obłoki należy rozumieć proroków i apostołów. Jeżeli więc ktoś zostaje pochwycony do Chrystusa, wstępuje nad obłoki Prawa i Ewangelii, nad proroków i apostołów, a wziąwszy skrzydła gołębiczy i przez ich naukę podniesiony na wysokości kieruje się nie na dół, lecz w powietrze i ku duchowemu rozumieniu Pisma (*List 119*, 10).

Kilkanaście lat później św. Augustyn będzie mówił dość podobnie: że chmurami, które wnoszą do nieba, czyli do Pisma Świętego, są nauczyciele wiary. I zakończy Augustyn swoje uwagi osobistym westchnieniem: „Oby i mnie Pan Bóg raczył zaliczyć pomiędzy którąś z tych chmur” (*Objaśnienie 1 Psalmu*, 103, 11).

Najbardziej monumentalnie obraz porwania nas na obłoki naprzeciw Pana objaśnia duchowy ojciec Augustyna, św. Ambroży. Znajduje on dwie starotestamentalne antycypacje tej obietnicy: wniebowzięcie Henocha (Rdz 5,24) oraz proroka Eliasza (2 Krl 2,11). Oba te tajemnicze wydarzenia zapowiadały, zdaniem św. Ambrożego, przyszłe wniebowzięcie Kościoła. Wielki biskup Mediolanu wskazuje jednak na dwie zasadnicze różnice: Henoch został wzięty, aby złość nie zmieniła jego serca, Kościół zostanie przeniesiony do nieba, kiedy już Chrystus przemieni go ostatecznie w „swoją oblubienicę chwalebną, świętą, nieskalaną i bez zmyzy”. Eliasza został wzięty tylko sam jeden,

Kościół będzie wzięty jako niedające się policzyć „Miasto, które żyć będzie na wieki” (*Wykład Ewangelii Łukasza*, II 88).

I przedstawia św. Ambroży trwającą poprzez tysiąclecia i kontynuowaną dzisiaj budowę tego Bożego Miasta:

Do budowy Kościoła wielu jest wysłanych. Są posłani patriarchowie, prorocy, archanioł Gabriel, niezliczeni aniołowie i mnóstwo niebieskiego wojska, które wielbiło Boga, kiedy nadszedł pierwszy Budowniczy tego Miasta (por. Łk 2,13). Wiele jest do niego wysłanych, ale buduje je sam Chrystus.

Zarazem Chrystus Pan pragnie, aby piękno tego Miasta było zasługą wielu budowniczych. Podczas budowy świątyni Salomona, która była figurą Kościoła, siedemdziesiąt tysięcy robotników nosiło ciężary na swoich ramionach, i drugie siedemdziesiąt tysięcy obrabiało kamienie. Podobnie do budowy Kościoła – rozwija swoją myśl Ambroży – „niech przybędą Aniołowie, niech ociosują to, co w naszych kamieniach zbyteczne, niech wygładzą w nich to, co chropawe. Niech przyjdą i niech na swoich ramionach podnoszą je [to święte Miasto] do góry”.

Mentalność, która tworzyła takie interpretacje, była zupełnie niepodatna na naiwną dosłowność. Zarazem cechowała ją taka wrażliwość na symboliczne wymiary rzeczywistości, która od niej nie odciągała, ale przeciwnie, pomagała ją głębiej i coraz głębiej rozumieć. Kiedy na przykład Orygenes (*Homilie o Księdze Jozuego*, 4, 1) kontrastuje owo porwanie na obłoki naprzeciw Pana z cu-

downym przeprowadzeniem przez Morze Czerwone, to przecież niewątpliwie nie wyobrażał sobie tej drogi astro-nomicznie. To tylko nasza skażona materializmem mental-ność skłonna jest niekiedy przypisywać aż taką naiwność dawnym wypowiedziom o niebie i o szukaniu przez nas tego, co jest w górze.

Biblijna symbolika obłoków

Biblijna kontekstualność powyższych interpretacji wręcz rzuca się w oczy. Zobaczmy to jeszcze wyraźniej, je-śli przypomnimy sobie biblijną symbolikę obłoków. Bo przecież kiedy apostoł Paweł mówił o obłokach, na któ-re będziemy porwani, z całą pewnością nie chodziło mu o chmury, z których pada deszcz. Obłoki są w Piśmie Świę-tym symbolem obecności Boga przychodzącego do ludzi.

Przypomnijmy, że na Górze Przemienienia „obłok świetlany osłonił ich, a z obłoku odezwał się głos: To jest mój Syn umiłowany, w którym mam upodobanie, Jego słuchajcie!” (Mt 17,5). Również w dzień wniebowstą-pienia Pana Jezusa „obłok zabrał Go im sprzed oczu” (Dz 1,9). „Na obłokach niebieskich, z wielką mocą i chwa-łą” (Mt 24,30; por. Ap 1,7) przyjdzie Pan Jezus na Sąd Ostateczny. W podobnych słowach mówił On o swoim ostatecznym, chwalebnym przyjściu przed sądem Kajfasza (por. Mt 26,64).

Odnosił w ten sposób Pan Jezus do siebie starotesta-mentalną symbolikę życiodajnej obecności Boga wśród

swojego ludu. „A Pan szedł przed nimi podczas dnia, jako słup obłoku, by ich prowadzić drogą” (Wj 13,21) – informacja ta powtarza się później w Piśmie Świętym wielokrotnie. Dość przypomnieć sobie gęsty obłok, jaki wśród grzmotów, błyskawic, ognia i dymu, i trzęsienia ziemi spowił Górę Synaj w dniu zawarcia Przymierza Boga ze swoim ludem i obdarzenia Dekalogiem (por. Wj 19,16–18); dość przypomnieć sobie kontynuację tego symbolu później (por. Wj 40,34–38; Lb 9,15–23), również po wybudowaniu świątyni (por. 1 Krl 8,10 i nast.) – żeby zrozumieć oburzenie, jakie wspomniane słowa Pana Jezusa wzbudziły w Kajfaszu.

Dla tego arcykapłana było czymś oczywistym, że zapowiadając swoje przyjście na obłokach niebieskich, Jezus przypisywał sobie boskość i że w ten sposób dopuścił się bluźnierstwa. Twarde serce Kajfasza nie rozpoznało czasu nawiedzenia swego i nie było zdolne uwierzyć, że Jezus naprawdę jest Synem Bożym i że w Dniu Ostatnim naprawdę „ujrzymy Syna Człowieczego, siedzącego po prawicy Wszechmocnego, i nadchodzącego na obłokach niebieskich” (Mt 26,64).

Podsumujmy

Podsumujmy: Pawłowy obraz porwania na obłoki na przeciw Pana, aby już zawsze być z Panem, wyraża to, co niewyrażalne: że kresem drogi wszystkich przyjaciół Chrystusa będzie niedające się wyobrazić uwielbienie

i przebóstwienie nas całych, którzy będziemy wtedy bez reszty rozkochani w naszym Panu i Zbawicielu.

Skorzystajmy z okazji i przypomnijmy sobie kilka innych zapisów, jakie znajdują się w Nowym Testamencie, na czym będzie polegało to przekraczające wszelką wyobraźnię szczęście wieczne.

Poruszające są te słowa Pana Jezusa, że to również Jego szczęście, iż będzie nas u siebie gościł: „Szczęśliwi owi słudzy, których pan zastanie czuwających, gdy nadejdzie. Zaprawdę, powiadam wam: Przepasze się i każe im zasiąść do stołu, a obchodząc będzie im usługiwał” (Łk 12,37).

W katechezach i na kazaniach chyba najczęściej powtarzamy mądre słowa apostoła Pawła z 1 Kor 2,9: „Ani oko nie widziało, ani ucho nie słyszało, ani serce człowieka nie zdołało pojąć, jak wielkie rzeczy przygotował Bóg tym, którzy Go miłują”.

Słowa, jakie w tymże liście napisał apostoł Paweł pod koniec sławnego hymnu o miłości, wielu wierzącym w Chrystusa przypominają, że w życiu wiecznym będziemy w Nim po prostu rozkochani: „Teraz widzimy jakby w zwierciadle, niejasno; wtedy zaś [zobaczymy] twarzą w twarz: Teraz poznaję po części, wtedy zaś poznam tak, jak i zostałem poznany” (1 Kor 13,12).

Apostoł Jan w krótkiej formule poucza nas jednocześnie o tym, iż życie wieczne będzie polegało na przebóstwieniu naszego człowieczeństwa, i o tym, że przekracza ono wszelkie nasze obecne wyobrażenia: „Umiłowani, obecnie jesteśmy dziećmi Bożymi, ale jeszcze się nie

ujawniło, czym będziemy. Wiemy, że gdy się objawi, będziemy do Niego podobni, bo ujrzymy Go takim, jakim jest” (1 J 3,2).

Na pewno odnotować jeszcze warto bardziej pojęciowe niż obrazowe sformułowanie apostoła Piotra, że przez swoją chwałę i doskonałość Pan Jezus udziela nam „drogocennych i największych obietnic, abyście się przez nie stali uczestnikami Boskiej natury” (2 P 2,4).



„Nasza Ojczyzna
jest w niebie”

(Flp 3,20)

„Siedzi po prawicy Boga, Ojca wszechmogącego”

Aż dwadzieścia razy pojawia się na kartach Nowego Testamentu obraz zwycięskiego Jezusa, który siedzi po prawicy Boga. Sama nawet liczba świadczy o tym, że za pomocą tego obrazu wyrażano szczególnie ważną prawdę o Panu Jezusie. W Kościele czasów apostołskich obraz ten był bez porównania bardziej zrozumiały niż dla nas dzisiaj, obraz siedzenia po czyjejs prawicy był bowiem używany w mowie potocznej. Dość przypomnieć prośbę matki Jakuba i Jana, która prosiła Pana Jezusa, „żeby ci dwaj synowie moi usiedli w Twoim królestwie, jeden po Twej prawicy, a drugi po lewicy” (Mt 20,21; por. Mk 10,37).

Otwórzmy ewangelie i pisma apostołskie

Po raz pierwszy sam Pan Jezus odniósł ten obraz do siebie. Wszyscy trzej synoptycy odnotowali, że wyjaśniał On

faryzeuszom – było to już po uroczystym wjeździe mesjańskim do Jerozolimy – iż Mesjasz jest kimś więcej niż zwyczajnym potomkiem Dawida. Przypomniiał im wtedy początek Psalmu 110:

Jakżeż Dawid natchniony przez Ducha może nazywać Go Panem, gdy mówi: Rzekł Pan do Pana mego: Siądź po prawicy mojej, aż położę Twoich nieprzyjaciół pod stopy Twoje. Jeśli więc Dawid nazywa Go Panem, to jak może być [tylko] jego synem? (Mt 22,42–45; por. Mk 12,35–37; Łk 20,41–43).

Skoro Mesjasz – spróbujmy wejść w logikę tego argumentu – jest nie tylko synem Dawida, ale również jego Panem, to znaczy, że, jak to napisał prorok Micheasz (5,1), „pochodzenie Jego od początku, od dni wieczności”.

Obraz ten znalazł się również w uroczystej deklaracji mesjańskiej, jaką złożył Pan Jezus przed sądem Sanhedrynu. Właśnie ona ostatecznie skłoniła Sanhedryn do wydania wyroku śmierci:

A najwyższy kapłan rzekł do Niego: Poprzysięgam Cię na Boga żywego, powiedz nam: Czy Ty jesteś Mesjasz, Syn Boży? Jezus mu odpowiedział: Tak, Ja Nim jestem. Ale powiadam wam: Odtąd ujrzycie Syna Człowieczego, siedzącego po prawicy Wszechmocnego, i nadchodzącego na obłokach niebieskich (Mt 26,63–64; por. Mk 14,61–62; Łk 22,68–69).

Ewangelista Marek stwierdzi później sucho, bez żadnego komentarza, że po rozmowie z uczniami „Pan Jezus został wzięty do nieba i zasiadł po prawicy Boga” (Mk 16,19). Za to już apostoł Paweł wyjaśni nam, co konkretnie za obrazem siedzenia po prawicy Ojca się kryje:

Ojciec wskrzesił Go z martwych i posadził po swojej prawicy na wyżynach niebieskich, ponad wszelką Zwierzchnością i Władzą, i Mocą, i Panowaniem, i ponad wszelkim innym imieniem wzywany nie tylko w tym wieku, ale i w przyszłym. I wszystko poddał pod Jego stopy, a Jego samego ustanowił nade wszystko Głową dla Kościoła, który jest Jego Ciałem, Pełnią Tego, który napędza wszystko wszelkimi sposobami (Ef 1,20–24; por. 1 P 3,22).

Sam Pan Jezus powiedział to o wiele krócej: „Dana Mi jest wszelka władza w niebie i na ziemi” (Mt 28,18). Że jest to władza miłości, obdarzająca nas na życie wieczne, obdarzająca samym wręcz Duchem Świętym – mówił o tym już w pierwszym kazaniu, jakie w dziejach Kościoła zostało wygłoszone, apostoł Piotr. Jezus – mówił Piotr w dniu Zielonych Świąt do zgromadzonego pod wieczernikiem tłumu – „wyniesiony na prawicę Boga, otrzymał od Ojca obietnicę Ducha Świętego i zesłał Go, jak to sami widzicie i słyszycie. Bo Dawid nie wstąpił do nieba, a jednak powiada: Rzekł Pan do Pana mego: Siądź po prawicy mojej, aż położę nieprzyjaciół Twoich podnóżkiem stóp Twoich” (Dz 2,33–34).

W tym kluczu – że Siedzący po prawicy Ojca w różnorodny sposób nas obdarza – przemawiali różni apostołowie. Wspomniany dopiero co apostoł Piotr, przyprowadzony na przesłuchanie przed Sanhedryn, daje świadectwo, że Jezus jest Zbawicielem swojego ludu, Izraela: „Bóg wywyższył Go na prawicę swoją jako Władcę i Zbawiciela, aby dać Izraelowi nawrócenie i odpuszczenie grzechów” (Dz 5,31).

Z kolei apostoł Paweł widzi w Jezusie Tego, który siedząc po prawicy Boga, skutecznie przyczynia się za nami:

„Któż może wydać wyrok potępienia? Czy Chrystus Jezus, który poniósł [za nas] śmierć, co więcej – zmartwychwstał, siedzi po prawicy Boga i przyczynia się za nami?” (Rz 8,34). Toteż jeżeli Jezus naprawdę stanie się naszą Nadzieją, ostatecznie do Boga niezawodnie dojdziemy: „Jeśliście więc razem z Chrystusem powstali z martwych, szukajcie tego, co w górze, gdzie przebywa Chrystus, zasiadając po prawicy Boga” (Kol 3,1). W Apokalipsie On sam nam to obiecuje: „Zwycięzcy dam zasiąść ze Mną na moim tronie, jak i Ja zwyciężyłem i zasiadłem z mym Ojcem na Jego tronie” (Ap 3,21; por. Mt 19,28).

Nie będziemy tu omawiać wszystkich nowotestamentalnych tekstów, w których nasz obraz się pojawia – na przykład w samym tylko Liście do Hebrajczyków występuje on aż pięć razy (1,3,13; 8,1; 10,12; 12,2). Jednego jednak miejsca w Nowym Testamencie nawet nie wypada nie zauważyć. Chodzi o znamienny szczegół, odnotowany w opisie śmierci pierwszego męczennika, Szczepana: „Szczepan, pełen Ducha Świętego, patrzył w niebo i ujrzał chwałę Bożą i Jezusa, stojącego po prawicy Boga. I rzekł: Widzę niebo otwarte i Syna Człowieczego, stojącego po prawicy Boga” (Dz 7,55–56).

W kazaniach, w których zatrzymywano się nad tym werselem, nieraz zauważano zmianę w tradycyjnym obrazie: Jezus nie siedzi, ale stoi po prawicy Boga. Bo wspomagał wtedy Szczepana – wyjaśniali ojcowie – żeby nie osłabł, żeby wytrwał w swoim męczeństwie do końca!

Sędziemu przystoi, żeby siedział, postawa zaś stojąca temu, kto walczy lub w walce pomaga – mówił papież Grzegorz

Wielki w kazaniu na Wniebowstąpienie. – Otóż Szczepan, kiedy toczył swoją ciężką walkę, zobaczył stojącego Jezusa, który go wspierał. Zesłana przez Jezusa łaska walczyła w jego obronie, aby Szczepan zwyciężył na ziemi niedowiarstwo prześladowców.

Wywyższenie naszego człowieczeństwa

Prawda o wywyższeniu Chrystusa dotyczy, rzecz jasna, Jego natury ludzkiej. Bo w swojej boskiej naturze Syn Boży przedwiecznie jest jedno ze swoim Ojcem – i to w żaden sposób nie zmieniło się wówczas, kiedy „za sprawą Ducha Świętego przyjął ciało z Maryi Dziewicy i stał się człowiekiem”.

To w swojej naturze ludzkiej Chrystus Pan zasiadł po prawicy Boga i został wywyższony ponad całe stworzenie. „Do któregoż bowiem z aniołów – pyta retorycznie autor Listu do Hebrajczyków – Bóg kiedykolwiek powiedział: Siądź po mojej prawicy, aż położę nieprzyjaciół Twoich jako podnózek Twoich stóp” (Hbr 1,13).

Czcimy pamiątkę owego dnia – mówił w uroczystość Wniebowstąpienia, w połowie V wieku, papież Leon Wielki – w którym Chrystus wyniósł naszą słabą ludzką naturę na tron Ojca, ponad wszystkie wojska niebieskie, ponad chóry anielskie i wszystkie moce niebios. (...) Święci apostołowie pojęli wówczas duchem, że Ten, który do nich zstąpił, nie opuścił swego Ojca, a wstępując do Niego, nie opuścił swoich uczniów. Teraz więc, najmilsi, Syn Człowieczy dał się poznać doskonale i w sposób bardziej święty jako Syn

Boży, gdy powrócił do chwały majestatu Ojca. I także wtedy w niewysłowny sposób stał się nam bardziej bliski jako Bóg, kiedy oddalił się od nas jako człowiek.

Spójrzmy jeszcze na syntetyczne ujęcie tej prawdy, że Chrystus Pan siedzi po prawicy swojego Ojca, jakie zawdzięczamy św. Tomaszowi z Akwinu. Najpierw jednak warto przypomnieć proste wyjaśnienie, jakie znajduje się w *Wykładzie wiary prawdziwej* – jest to doskonały skrót teologii dogmatycznej, napisany w pierwszej połowie VIII wieku przez św. Jana z Damaszku:

Twierdzimy wprowadzić, że po prawicy Boga Ojca zasiada Chrystus cielesnie, lecz nie pojmujemy prawicy Ojca w sensie miejsca. Bo jakże Niewymierny mógłby mieć lokalnie pojętą prawą stronę? O prawej czy lewej stronie można mówić tylko u bytów przestrzennie wymiennych.

Natomiast wykład św. Tomasza z Akwinu – znajdujący się w trzeciej części *Sumy teologicznej* (q. 58), napisanej na początku lat siedemdziesiątych XIII wieku – wart jest zapamiętania dlatego, że znakomicie podkreśla jedno i drugie: zarówno wywyższenie człowieczeństwa Pana Jezusa ponad wszelkie stworzenie, jak obietnicę i początek naszego wywyższenia w Jego wywyższeniu:

Mówimy o Chrystusie, że siedzi po prawicy Ojca, ponieważ w swej boskiej naturze jest równy Ojcu, a swą ludzką naturą góruje nad pozostałymi stworzeniami przez doskonałe posiadanie wszelkiego dobra Bożego. Oba te tytuły odnoszą się wyłącznie do Chrystusa. Toteż nikomu innemu, żadnemu aniołowi, ani żadnemu człowiekowi nie przysługuje zasiedanie po prawicy Ojca, a tylko Chrystusowi.

Skoro Chrystus jest naszą Głową, to, co zostało udzielone Chrystusowi, stało się w Nim również naszym udziałem. I dlatego apostoł mówi, że Bóg wskrzesił nas poniekąd razem z Nim, bo On już powstał z martwych. Nie jesteśmy jednak jeszcze wskrzeszeni osobiście; jeszcze nas to czeka, jak powiada apostoł: „Ten, który z martwych wzbudził Jezusa Chrystusa, ożywi i nasze śmiertelne ciała” (Rz 8,11). W innym zaś miejscu apostoł napisze: „posadził nas razem z sobą na wyżynach niebieskich” (Ef 2,6), ponieważ zasiada tam Chrystus, nasza Głowa.

Tajemnica przebóstwienia człowieka

Spróbujmy się zastanowić najpierw nad tym, co to jest niebo. Byłem kiedyś świadkiem kłopotliwej sytuacji, która zaczęła się od tego, że ktoś niezbyt rozsądnie zapytał przedszkolaka, czy chciałby pójść do nieba. „Nie – odpowiedział malec rezolutnie – bo bym spadł”. Rzecz jasna, kiedy Jezus i apostołowie mówią o niebie jako o naszym przeznaczeniu ostatecznym, nie chodzi im o przestrzeń, którą penetrują rakiety kosmiczne. Jakże zatem niebo mają na myśli?

Obietnica tak wspaniała, że przekraczająca wyobraźnię

Przypatrzmy się paru świętym wypowiedziom, w których mówi się o niebie. „Nie gromadźcie sobie skarbów na ziemi – mówił Pan Jezus. – Gromadźcie sobie skarby w niebie, gdzie ani mól, ani rdza nie niszczą, i gdzie złodzieje

nie włamują się i nie kradną” (Mt 6,19 i nast.). „Nie z tego się cieszcie – mówił do apostołów – że duchy [nieczyste] się wam poddają, lecz cieszcie się, że wasze imiona zapisane są w niebie” (Łk 10,20). „Cieszcie się i radujcie – pociesza Chrystus Pan prześladowanych za wiarę w Niego – albowiem wasza nagroda wielka jest w niebie” (Mt 5,12). Wielokrotnie obiecuje On swoim uczniom królestwo niebieskie (np. Mt 5,19 i nast.; 7,21; 8,11). „Będziesz miał skarb w niebie – obiecuje młodemu bogaczowi – jeśli tylko rozdasz swój majątek ubogim” (Mt 19,21).

W podobnym duchu wypowiadają się apostołowie. „Nasza ojczyzna jest w niebie, stamtąd też jako Zbawcy wyczekujemy Pana naszego Jezusa Chrystusa” (Flp 3,20). Apostoł Paweł mówi o „nadziei odłożonej dla was w niebie” (Kol 1,5), apostoł Piotr o „dziedzictwie niezniszczalnym i niepokalanym, i niewiednącym, które jest zachowane dla was w niebie” (1 P 1,4). Wszystkie tego rodzaju stwierdzenia są odpowiedzią wiary na obietnicę, jaką zostawił nam Chrystus przy swoim odejściu z tego świata: „W domu Ojca mego jest mieszkań wiele – mówił podczas Ostatniej Wieczerzy. – Idę przecież przygotować wam miejsce. A gdy odejdę i przygotuję wam miejsce, przyjdę powtórnie i zabiorę was do siebie, abyście i wy byli tam, gdzie Ja jestem” (J 14,2 i nast.).

Gdybyśmy chcieli niebo jako miejsce życia wiecznego utożsamiać z jakąkolwiek przestrzenią, do wiary chrześcijańskiej wprowadzalibyśmy mitologię. Wszystkie bowiem powyższe teksty mówią o niebie jako o miejscu, w którym jest Bóg. Ileż to razy Boga nazywał Pan Jezus „Ojcem, który

jest w niebie” (Mt 5,16; 6,9; 7,11; 10,32; 16,19; 18,10.14.19; 23,9). A przecież Bóg jest wszędzie, „w Nim żyjemy, poruszamy się i jesteśmy” (Dz 17,28). Zarazem cała dla nas niewyobrażalna przestrzeń kosmiczna nie jest w stanie Go ogarnąć. „Przecież niebo i niebiosy najwyższe nie mogą Cię objąć” – modlił się król Salomon (1 Krl 8,27).

Starajmy się unikać jakiegokolwiek eschatologicznej „geografii”. Wiarę chrześcijańską należy chronić przed wyobrażeniami mitologicznymi, bo one oddalają od Boga Żywego. My naprawdę nie musimy wiedzieć, gdzie obecnie znajduje się zmartwychwstały Człowiek, któremu na imię Jezus Chrystus, a który prawdziwie jest Synem Bożym. Najprawdopodobniej żadna przestrzeń naszego materialnego kosmosu nie dostąpiła zaszczytu, żeby Go sobą ogarniać. Niech nam wystarczy, iż wiemy, że On – w swoim prawdziwie ludzkim ciele – jest niewyobrażalnie blisko swojego Przedwiecznego Ojca, „siedzi po prawicy Boga”, a zarazem na naszych oczach realizuje się Jego obietnica: „A oto Ja jestem z wami przez wszystkie dni aż do skończenia świata” (Mt 28,20).

Podobnie my naprawdę nie musimy znać konkretnych okoliczności, w jakich Bóg zamierza obdarzyć nas życiem wiecznym. Dwie najistotniejsze prawdy, które zostały nam objawione na temat ostatecznej sytuacji zbawionych, i tak przekraczają nasze wyobrażenia. Po pierwsze, Bóg obiecuje nam, że zbawieni będziemy w naszych ciałach i że zostaną one przemienione na wzór zmartwychwstałego Ciała Chrystusa: „On przekształci nasze ciało poniżone na podobne do swego chwalebego ciała, tą potęgą, jaką może On

także wszystko, co jest, sobie podporządkować” (Flp 3,21; por. 1 Kor 15,49). Po wtóre, życie wieczne będzie polegało na niedającej się wyobrazić bliskości z Bogiem: „Teraz widzimy jakby w zwierciadle, niejasno, wtedy zaś zobaczymy twarzą w twarz” (1 Kor 13,12; por. 1 J 3,2; 2 Kor 3,18).

Zatem kiedy czytamy w Nowym Testamencie, że „nasza ojczyzna jest w niebie” i że tam winniśmy gromadzić swoje skarby, starajmy się powściągać naszą wyobraźnię. W słowach tych usłyszymy przede wszystkim wspańiałą obietnicę, że już na zawsze będziemy z Bogiem – i to bez porównania bliżej niż podczas najbardziej nawet zażytych spotkań z Nim w naszym życiu doczesnym. To niebo zaczyna się dla nas już na tej ziemi. Czy również miejscem życia wiecznego będzie ziemia? Bóg to wie. Patrząc na zmartwychwstałego Chrystusa, możemy się spodziewać, że będzie to sytuacja niepojętej dla nas w tej chwili transcendencji wobec obecnych ograniczeń przestrzennych. Ale to jakby mało ważne. Najważniejsze jest to, że będziemy bez reszty przepełnieni obecnością kochającego Boga i sami będziemy Go kochać już naprawdę ze wszystkich sił i z całego serca.

Miłość Boża czyni nas naprawdę jedno z Chrystusem!

Czymś fundamentalnym dla zrozumienia ostatecznego powołania człowieka jest zdanie sobie sprawy z tego, co znaczą słowa, które powtarzamy w wyznaniu wiary o Chrystusie Synu Bożym: że jest On „zrodzony, a nie

stworzony”. Pismo Święte nazywa Go Jednorodzonym Synem Boga. Znaczy to, że istnieje nieskończona przepaść między Synem Bożym a wszelkimi osobami stworzonymi. Wszystkie stworzenia zostały – wszechmocną i miłującą wolą Bożą – powołane do bytu z nicości. Ale On nie jest stworzeniem, On jest Synem – zrodzonym z Boga, a nie stworzonym z nicości – nieskończonym Bogiem, równym i współwiecznym Temu, który w nieprzemijającej wieczności udziela Mu całej nieskończoności swego Bóstwa.

I oto Nowy Testament głosi obietnicę, którą – gdyby nie była słowem Bożym – trzeba by uznać za absurd i szaleństwo: również nas, ludzi, Ojciec Przedwieczny chce zrodzić z siebie jako swoje dzieci! Pierwszym naszym odruchem wobec tej obietnicy jest chęć niedosłyszenia jej albo nawet sprzeciwu. Przecież już samo bycie człowiekiem jest darem Bożym tak wielkim, że nie potrafimy zgłębić całej jego wspaniałości! Kiedy pomyślimy sobie, że Chrystus obiecuje uzdrowić do końca nasze człowieczeństwo i że Jego mocą staniemy się zdolni do miłości doskonałej, spontanicznie ogarnia nas uczucie, że niczego więcej już nam nie trzeba. Skoro już te dary przekraczają naszą wyobraźnię, to czy w ogóle możliwe jest, żeby Bóg dawał człowiekowi dary jeszcze większe? Zresztą czyż Syn Boży nie jest Synem Jednorodzonym? Po ludzku biorąc, niemożliwe jest, aby ktokolwiek inny mógł się narodzić z Boga! Owszem, pamiętamy o tym, że Bóg jest naszym Ojcem, a my Jego dziećmi. Ale może chodzi tu tylko o ojcostwo i synostwo w sensie przenośnym?

Wszystkie te nasze zastrzeżenia i sprzeciwy są jawnie niezgodne ze słowem Bożym. „Jeśli się ktoś nie narodzi powtórnie – powiada jasno Pan Jezus – nie może ujrzeć królestwa Bożego” (J 3,3). A nie ma wątpliwości co do tego, że chodzi Mu o nasze narodzenie z Boga. „Wszystkim, którzy przyjęli Słowo, udzieliło Ono moc, aby się stali dziećmi Bożymi – tym, którzy ani z krwi, ani z żądz ciała, ani z woli męża, ale z Boga się narodzili” (J 1,12 i nast.). Bóg i Ojciec Pana naszego Jezusa Chrystusa „na nowo zrodził nas do żywej nadziei” (1 P 1,3; por. Jk 1,18). Zatem jest w nas – jeśli uwierzyliśmy w Chrystusa i trwamy w Jego łasce – już nie tylko życie ludzkie, życie stworzone, ale jest w nas (strach pomyśleć!) życie samego Boga i właśnie na tym polega nasz udział w Bożej naturze. Jako ludzie jesteśmy stworzeni przez Boga, ale jako należący do Chrystusa jesteśmy z Boga zrodzeni. Już teraz został w nas złożony „zarodek życia boskiego” (1 J 3,9), który będzie się w nas rozwijał, aż dar przebóstwienia osiągnie w nas miarę wyznaczoną przez kochającego nas Ojca. „Umiłowani, już jesteśmy dziećmi Bożymi, ale jeszcze się nie ujawniło, czym będziemy. Wiemy, że gdy się objawi, będziemy do Niego podobni, bo ujrzemy Go takim, jakim jest” (1 J 3,2).

Rzecz jasna, nieskończona przepaść dzieli nie tylko Stwórcę od stworzenia, ale również zrodzenie Syna Jednorodzonego i nasze zrodzenie z Boga. Syn Jednorodzony jest Bogiem Prawdziwym, my nigdy nie przestaniemy być stworzeniami powołanymi do bytu z nicości. On jest Synem z natury, my – synami adoptowanymi. Ale jakżeż

cudowna to adopcja! Polega ona na tym, że miłość Boża czyni nas naprawdę jednym z Chrystusem. Otrzymaliśmy przecież tego samego Ducha Świętego, który „przenika wszystko, nawet głębokości samego Boga” (1 Kor 2,10). Pomyśleć, że ten sam Duch Święty przenika również nas, to właśnie dzięki Niemu możemy prawdziwie wołać: Abba, Ojcze!

Na tym właśnie polega tajemnica Kościoła i dokonującego się w nim zbawienia, że coraz bardziej stajemy się jednym z Chrystusem i wszyscy razem zrastamy się w Jego Ciało. Jak to cudownie wyraził sam Chrystus Pan: „Trwajcie we Mnie, a Ja w was... Ja jestem krzewem winnym, wy – latoroślami... To wam powiedziałem, aby radość moja w was była i aby radość wasza była pełna” (J 15,4 i nast.;11). Bo dziećmi Bożymi możemy być tylko poprzez włączenie w Jego jedyne synostwo, On przecież jest Synem Jednorodzonem. Ale też „jeśli jesteśmy dziećmi, to i dziedzicami: dziedzicami Boga, a współdziedzicami Chrystusa” (Rz 8,17). Słowa te nie pozostawiają wątpliwości, co będzie naszym dziedzictwem: w Nim i wraz z Nim odziedziczymy samego Ojca Przedwiecznego, który udziela Mu bez reszty samego siebie. Jeśli również dobra stworzone będą wówczas naszą radością, to tylko dlatego, że „nowe niebo i nowa ziemia” będą w niepojętej dla nas pełni ogarnięte Jego obecnością.

Wierzę w ciała zmartwychwstanie!

Obietnica zakorzeniona w prawdzie o stworzeniu

Wiarę w zmartwychwstanie ciał znajdziemy wyłącznie w tych religiach, które wyznają prawdę, że Bóg jest Stwórcą wszystkiego, co istnieje. Przypatrzmy się na przykład radykalnej różnicy między chrześcijańską wiarą w życie wieczne i zmartwychwstanie ciał a eschatologią starogrecką. Grekom nie było znane pojęcie stworzenia świata przez Boga. Na początku – wierzyli starożytni Grecy – był chaos, jakaś samoistna odwieczna pramateria, którą boski demiurg musiał dopiero ogarnąć swoją myślą i uporządkować, czyli przekształcić w kosmos. Ów demiurg nie jest jednak stwórcą, jest jedynie kimś, kto pierwotnemu bezsensowi nadał sens, pierwotnemu chaosowi narzucił porządek. To dopiero dzięki objawieniu biblijnemu dowiedzieliśmy się, że wszystko, co istnieje, dosłownie wszystko, pochodzi od Boga.

Odrębność w punkcie wyjścia prowadzi do niezmiennie daleko idących konsekwencji. Jeśli dobre jest to, co boskie – a ten dogmat, jak się wydaje, obowiązuje we wszystkich religiach – to skoro Bóg stworzył wszystko, wobec tego wszystko jest dobre. Autor opisu stworzenia podkreśla to starannie, zaznaczając kilkakrotnie dobroć wszystkiego, co Bóg powołał do istnienia: „Bóg widział, że wszystko, co uczynił, było bardzo dobre” (Rdz 1,31). Zło – poucza Biblia – pojawiło się dopiero na skutek tego, że niektórzy obdarzone inteligencją stworzenia świadomie stanęły przeciwko Bogu. Zło z natury jest wtórne w stosunku do dobra; gdyby nie było dobra, nie byłoby też i zła. Zło jest jakby rakiem, który toczy dobro, który do swojego istnienia potrzebuje dobra.

Inaczej w wizji greckiej. Według Greków, odwieczny i niestworzony chaos, a więc materia, a więc również ciało, nie jest ani dobre, ani złe, albowiem nie pochodzi od Boga ani nie jest Bogu przeciwne. Istnieją całe dziedziny życia, które Grek traktuje życzliwie – często nawet potrafi się nimi cieszyć żywiołowo – ale nie przykładą do nich miary dobra i zła. Tylko to, co duchowe, sądzili starożytni Grecy, pochodzi od Boga. Słowem, jeśli chrześcijanin widzi rzeczywistość ludzką jako dobro zmieszane ze złem, przy czym zmieszanie to obejmuje zarówno sferę duchową, jak i cielesną człowieka, to Grek widzi ją raczej jako ducha zmieszanego z materią.

Jak to rzutuje na eschatologię? Dla Greka zbawienie polega na wyzwoleniu ducha z więzów ciała, zbawienie dla chrześcijanina to wyzwolenie dobra z więzów zła. Zbawie-

nie według koncepcji greckiej dotyczy więc tylko duszy, natomiast my, chrześcijanie, wierzymy, że zbawiony ma być cały człowiek. Chrześcijańska nadzieja na zbawienie polega na tym, że duch zjednoczy się z Bogiem, i w ten sposób uleczony, wzmocniony i wywyższony przeduchowi ciało.

To, co od Boga wyszło, do Boga powinno wrócić: wyszliśmy od Boga niezależnie od naszej woli, wrócimy do Niego w sposób wolny. Ponieważ od Boga wyszedł cały człowiek, cały człowiek powinien do Niego wrócić. Obietnica zmartwychwstania tkwi więc już w samym fakcie stworzenia człowieka i mimo naszego grzechu zostanie spełniona; a to dzięki zbawczemu przyjściu Syna Bożego, dzięki Jego śmierci i zmartwychwstaniu.

Grecy nie mają jasnej idei stworzenia człowieka. Mity greckie podają kilka różnych antropogonii, ale w żadnej z nich człowiek nie jest stworzony przez Boga. Pierwszego człowieka lepi z gliny jakiś niższy bóg, Hefajstos lub Prometeusz, albo też pierwsi ludzie rodzą się z kamieni, które rzucają za siebie ocaleni z potopu tytani, Deukalion i Pyrra; mamy co najmniej dwa opisy powstania ludzi z zębów smoka, pracownicy Myrmonidzi zaś powstałi po prostu z mrówek.

Wspólne tym mitom jest przeświadczenie, że człowiek nie pochodzi od Boga, a zatem nie jest powołany do zażyłości z Bogiem. Owszem, bogowie opiekują się człowiekiem, ale człowiek musi się pogodzić z tym, że jego życie jest nietrwałe i pełne trosk. Ta pesymistyczna antropologia doprowadziła Greków – jak to wnikliwie przedstawia Mircea Eliade – do odkrycia specyficznej dla niedoskonałego bytowania ludzkiego radości życia: Skoro nasze życie jest nietrwałe, należy

korzystać ze wszystkiego, co może dać teraźniejszość: z młodości, zdrowia, fizycznej przyjemności i okazji wykazania się cnotami. (...) Skoro bogowie nie pozwalają człowiekowi wykroczyć poza narzucone mu granice, w tychże granicach urzeczywistni on doskonałość, a zatem i sakralność ludzkiej kondycji. (...) Odkryta przez Greków „radość życia” nie ma charakteru świeckiego użycia: ma objawiać szczęśliwość istnienia, współuczestniczenie – nawet przelotne – w spon-taniczności życia i majestacie świata.

Światopogląd grecki otwarty był jednak na tezę, że od Boga pochodzi to, co w człowieku najważniejsze, mianowicie dusza, toteż dusza, ale tylko dusza, jest niezniszczalna (w zasadzie przekraczało to duchową wyobraźnię starożytnych Greków, żeby nawet tylko dusza mogła być zdolna do wiekuistego połączenia się z Bogiem). Stąd tak wiele sprzeciwu wśród starożytnych pogan budziła chrześcijańska prawda o zmartwychwstaniu ciał. Trudno się temu dziwić: skoro nie znali prawdy o stworzeniu, nie umieli patrzeć na swoje ciała jako na dar otrzymany od samego Stwórcy – dar dany nam na zawsze, nawet jeżeli tracimy go chwilowo przez śmierć. Tak, dzięki objawieniu Bożemu, zaczął patrzeć na swoje ciało dopiero człowiek biblijny.

Pismo Święte na temat zmartwychwstania ciał

Już w Starym Testamencie wiara w zmartwychwstanie ciał ukształtowała się bardzo wyraźnie. „Wielu zaś, co posnęli w prochu ziemi – czytamy w Księdze Daniela – zbudzi się:

jedni do wiecznego życia, drudzy ku hańbie, ku wiecznej odrazie” (Dn 12,2). Warto pamiętać, że język hebrajski nie miał jeszcze wtedy wyrazu na określenie pojęcia „wszyscy”; kiedy pojawiała się potrzeba wyrażenia tego pojęcia, używano wyrazu „wielu”.

Świadkiem wiary w przyszłe zmartwychwstanie jest również Psalmista: „bo nie pozostawisz mojej duszy w Szeolu i nie dozwolisz, by wierny Tobie zaznał grobu. Ukazesz mi ścieżkę życia, pełnię radości u Ciebie, rozkosze na wieki po Twojej prawicy” (Ps 16,10 i nast.). Warto przypomnieć, że właśnie ten psalm przywołał apostoł Piotr w pierwszym kazaniu, jakie zostało wygłoszone w historii Kościoła (por. Dz 2,25–28).

Wręcz niezwykłym świadectwem tej wiary jest opis męczeństwa siedmiu braci z czasów machabejskich. Wiara w zmartwychwstanie dodawała tym ludziom mocy do oddania życia w obronie prawa Bożego: „Król świata nas, którzy umieramy za Jego prawa, wskrzesi i ożywi do życia wiecznego” – mówił swojemu prześladowcy jeden z tych męczenników (2 Mch 7,9); i podobnie drugi: „Konając, tak powiedział: Lepiej jest nam, którzy ginimy z ludzkich rąk, w Bogu pokładać nadzieję, że znów przez Niego będziemy wskrzeszeni” (2 Mch 7,14).

Z kolei matka tych bohaterów wiary dobrze wie, że fundamentem wiary w przyszłe zmartwychwstanie jest wiara w Boga, Stwórcę wszystkiego:

Nie wiem, w jaki sposób znaleźliście się w moim łonie, nie ja wam dałam tchnienie i życie, a członki każdego z was nie ja ułożyłam. Stwórca świata bowiem, który ukształtował

człowieka i wynalazł początek wszechrzeczy, w swojej li-
tości ponownie odda wam tchnienie i życie, dlatego że wy
gardzicie sobą teraz dla Jego praw (2 Mch 7,22 i nast.).

Fakt faktem, że w czasach Pana Jezusa wiara w zmar-
twychwstanie była już mocno zakorzeniona w świadomości
ludu Bożego. Kwestionowali ją tylko saduceusze, a więc
przedstawiciele tej grupy w społeczeństwie żydowskim,
która była najbardziej otwarta na mentalność grecką. W
Ewangelii mamy zapis, iż saduceusze „twierdzą, że nie
ma zmartwychwstania” (Mt 22,23). Otóż przyszli oni kie-
dyś do Pana Jezusa z wymyśloną przez siebie, mającą na
celu ośmieszenie wiary w zmartwychwstanie, opowieścią
o kobiecie, która była kolejno żoną siedmiu braci i siódme-
go też pochowała. Czyją żoną będzie po zmartwychwsta-
niu? – pytają Go szyderczo, sądząc, że udało im się grun-
townie tę prawdę skompromitować.

Pan Jezus w krótkich słowach podał im dwa argumen-
ty: „Nie znacie Pisma ani mocy Bożej” (Mt 22,29). Po
pierwsze, „nie znacie Pisma” – innymi słowy: przecież wy,
saduceusze, uznajecie Pismo Święte, a właśnie tam znaj-
duje się obietnica zmartwychwstania, co znaczy, że sam
Bóg ludziom to obiecuje. Po wtóre, „nie znacie mocy Bo-
żej” – a Bóg jest przecież wszechmocny, skoro zatem obie-
cał, że zmartwychwstaniemy, to ma moc się z tej obietnicy
wywiązać.

Prawda o zmartwychwstaniu stanowiła istotną część
zbawczego orędzia Pana Jezusa: „Zaprawdę, zaprawdę po-
wiadam wam: nadchodzi godzina, a nawet już jest, kiedy to
umarli usłyszą głos Syna Bożego, a ci, którzy usłyszą, żyć

będą” (J 5,25). On zresztą nie tylko obiecywał nam zmartwychwstanie, On jest jego źródłem. „Ja jestem zmartwychwstanie i życie – mówił do Marty, w cztery dni po śmierci jej brata – kto we Mnie wierzy, choćby i umarł, żyć będzie” (J 11,25). To przecież dlatego, że On jest życiem i zmartwychwstaniem, Eucharystia jest pokarmem na życie wieczne: „Kto spożywa moje Ciało i pije moją Krew, ma życie wieczne, a Ja go wskreszę w dniu ostatecznym” (J 6,54).

Zmartwychwstanie było do tego stopnia przedmiotem głoszenia Ewangelii, że słuchacze odbierali to tak, jak gdyby apostołowie głosili przede wszystkim zmartwychwstanie: „Kiedy przemawiali do ludu, podeszli do nich kapłani i dowódca straży świątynnej oraz saduceusze, oburzeni, że nauczają lud i głoszą zmartwychwstanie umarłych w Jezusie” (Dz 4,2 i nast.). Nawet w Atenach na Areopagu, kiedy apostoł Paweł dotarł do samej elity intelektualnej tego miasta, nie zaniedbał dania świadectwa o przyszłym zmartwychwstaniu, chociaż mógł przecież przewidywać, że naraża się w ten sposób na odrzucenie i szyderstwo (por. Dz 17,32).

Ponieważ już w pierwszym pokoleniu Kościoła wielu pogan uwierzyło w Chrystusa, jest czymś zrozumiałym, że niektórzy z nich próbowali uciec od tej prawdy i dostosować ją do swojej pogańskiej mentalności. Apostoł Paweł niezmiennie reagował na takie próby z wielką stanowczością:

Jeżeli głosimy, że Chrystus zmartwychwstał, to dlaczego twierdzą niektórzy spośród was, że nie ma zmartwychwstania? Jeśli nie ma zmartwychwstania, to i Chrystus nie zmartwychwstał. A jeśli Chrystus nie zmartwychwstał, daremne

jest nasze nauczanie, próżna jest także wasza wiara. Okazuje się bowiem, żeśmy byli fałszywymi świadkami Boga, skoro umarli nie zmartwychwstają, przeciwko Bogu świadczyliśmy, że z martwych wskrzesił Chrystusa. Skoro umarli nie zmartwychwstają, to i Chrystus nie zmartwychwstał. A jeżeli Chrystus nie zmartwychwstał, daremna jest wasza wiara i aż dotąd pozostajecie w swoich grzechach. Tak więc i ci, co pomarli w Chrystusie, poszli na zatracenie. Jeżeli tylko w tym życiu w Chrystusie nadzieję pokładamy, jesteśmy bardziej od wszystkich ludzi godni politowania (1 Kor 15,12–19).

Kiedy później niejaki Hymenajos i Filetos próbowali zamaskować swoje zwątpienie w zmartwychwstanie i starali się je ubrać w piękne i pobożne słówka, apostoł Paweł z całą stanowczością napisze: „Oni odpadli od prawdy, mówiąc, że zmartwychwstanie już nastąpiło, i wywracają wiarę niektórych” (2 Tm 2,18). Zauważmy, że napisał tak ten sam apostoł, który wielokrotnie pouczał, że nasze zmartwychwstanie już się zaczęło: „Jeśliście więc razem z Chrystusem powstali z martwych, szukajcie tego, co w górze, gdzie przebywa Chrystus zasiadając po prawicy Boga. Dążcie do tego, co w górze, nie do tego, co na ziemi” (Kol 3,1; por. Rz 6,4; Ef 2,4–6; 5,14).

Godność ciała ludzkiego

Dlaczego poganie tak się oburzali na samo nawet wspomnienie o zmartwychwstaniu ciał? Dlaczego nawet po uwierzeniu w Chrystusa niektórym Grekom trudno było

w tę prawdę uwierzyć? Błędne poglądy prawie zawsze mają w sobie jakieś ziarno prawdy. Zatem postawmy pytanie: Jaką prawdę odzwierciedlały intuicje starożytnych pogan, jakoby sfery tego, co cielesne, i tego, co boskie, były od siebie gruntownie oddzielone i jakoby nie było między nimi żadnego styku?

Tym, co człowieka naprawdę oddziela od Boga i od tego, co boskie, jest grzech. Starożytni poganie byli mało świadomi swojej grzeszności. Toteż prawdę o poniżeniu, jakie stało się naszym losem wskutek naszych grzechów, rozpoznawali w sposób zdeformowany. Wydawało im się, że to poniżenie jest konsekwencją naszej cielesności. Stoicy posunęli się aż do tezy, że mędrzec powinien wykarczować w sobie wszelkie uczucia, ponieważ wypływają one z naszej cielesności, twórca zaś neoplatonizmu, Płotyn, nie ukrywał, iż wstydzi się tego, że posiada ciało.

Filozofowie ci trafnie wyczuwali poniżenie, w jakim znalazł się człowiek. W tym nie mieli racji, że wiązali je z naszą cielesnością. Tymczasem nie ciało nas poniża, poniża nas grzech. Ciało jest wielkim darem Bożym. To grzech nas poniża, poniża również nasze ciała. Dzieje się to wtedy, kiedy człowiek bezcześci swoje ciało rozpustą albo pijaństwem, albo utratą panowania nad swoimi lękami czy uczuciami. Apostoł Jakub powie nawet, że ciała nasze doznają poniżenia wskutek grzechów języka: „Język jest wśród wszystkich naszych członków tym, co bezcześci całe ciało” (Jk 3,6).

Zatem wiara w zmartwychwstanie ciał to nie jest tylko kwestia doktryny, którą jako chrześcijanie uznajemy i gło-

simy. Żeby nie była to w nas wiara pusta i jałowa, musimy zabiegać o to, by ciała nasze już teraz były naprawdę świątyniami Ducha Świętego (1 Kor 6,19). Już teraz musimy pracować nad przywracaniem naszym ciałom ich godności. Rzecz jasna, tylko w Chrystusie i tylko dzięki Jego łasce ta nasza praca może być skuteczna.

Na czym ona polega? Apostoł Paweł daje nam dyrektywę ogólną: „Jak oddawaliście członki wasze na służbę nieczystości i nieprawości, tak teraz wydajcie członki wasze na służbę sprawiedliwości, dla uświęcenia” (Rz 6,19). Praktycznie znaczy to: naszych rąk, nóg i języka używajmy do czynienia dobra, a nie zła; naszą seksualność podporządkujmy prawu moralnemu i oddajmy na służbę prawdziwej miłości; nasze lęki, uczucia i pożądania niech przenika zawierzenie Bogu i miłość bliźniego; te nasze choroby, cierpienia, starość oraz inne utrapienia, jakich nie da się uniknąć, starajmy się przemieniać w krzyż przybliżający nas do Boga.

Tym wszystkim, którzy lękają się, że taki program przywracania godności naszym ciałom i takie wyrażanie naszej wiary w przyszłe zmartwychwstanie przerasta ludzkie siły, odpowiem w trzech punktach: Po pierwsze, u Boga nie ma nic niemożliwego, starajmy się tylko w tej naszej pracy liczyć mocno na Bożą łaskę. Po wtóre, to tylko z pozycji zewnętrznego obserwatora program ten wydaje się zbyt trudny, a nawet niemożliwy do wypełnienia – w miarę jak przyjmujemy go za swój program życiowy, życie według niego stanie się dla nas czymś wręcz słodkim i lekkim, nawet jeśli nieraz przyjdzie nam się przekonać

o swojej słabości. Wreszcie po trzecie, w podejmowaniu tej pracy nad sobą i trwaniu w niej możemy i powinniśmy sobie wzajemnie pomagać – i na tym między innymi polega tajemnica świętych obcowania.

Jeżeli zaś komuś trudno uwierzyć w przyszłe zmartwychwstanie, niech spróbuje uwrażliwiać się na moc Bożą, która przemienia człowieka – również naszą cielesność – już dzisiaj. Przecież już teraz człowiek może zaznać transcendencji wobec zła, które usiłuje nas sobie podporządkować. Już teraz nasze dzieci mogą mieć czystych rodziców, a ciałami naszymi nie muszą rządzić nerwy ani namiętności, ale rozum i pokój Boży. Już teraz człowiek może być coraz mniej podatny na manipulację i uprzedmiotowienie i coraz bardziej odzyskiwać swoją osobową podmiotowość. Już teraz rany naszych grzechów Chrystus Zbawca chce cudownie przemieniać w znaki, wzywające do ofiarnej miłości. Już teraz nasze ciała mogą częściowo się cieszyć swoją pierwotną, przez Stwórcę zamierzoną, celowością: same będąc świątyniami Ducha Świętego, mają przecież wyrażać i objawiać przepełnioną Bogiem duszę.

Kto tego wszystkiego doświadcza – bodaj trochę, choćby tylko przeczuciem i pragnieniem – zobaczy wagę nauki o zmartwychwstaniu ostatecznym w wewnętrznej logice wiary chrześcijańskiej. Zrozumie też nieco głębiej, dlaczego Chrystus do zmartwychwstania szedł przez krzyż. Nie sposób przecież uzyskać owej antycypacji zmartwychwstania, o której mówił apostoł Paweł w cytowanym powyżej fragmencie z Listu do Kolosan 3,1, bez

wejścia razem z Chrystusem na drogę krzyżową. Przecież zanurzeni jesteśmy w śmierci. Wejście w wymiar zmartwychwstania wymaga przekraczania granic śmierci, wyznaczonych przez siły zła i bezwładu. Przekraczanie tych granic – rzecz jasna – boli, jest krzyżem. To dlatego takie to ważne, żebyśmy różne nasze utrapienia starali się przemieniać w krzyż i żebyśmy naszym bliźnim pomagali przechodzić przez ich utrapienia.

Toteż kiedy przychodzą na nas myśli, że zmartwychwstanie ciał jest jakieś takie nieprawdopodobne, pytajmy nie tylko o to, czy ja naprawdę wierzę w Chrystusa, Syna Bożego. Zatrwóźmy się ponadto, że może o wiele za mało, niż dzięki łasce Bożej byłoby to już dziś możliwe, jestem przemieniony mocą Zmartwychwstałego Zbawiciela. Może lękam się trudu bardziej skutecznych ataków na granice śmierci, którymi jestem oddzielony od Boga? I wzmóźmy naszą duchową pracę. A jednocześnie tym bardziej liczymy na miłosierdzie Tego, który za nas umarł na krzyżu i jako Pierworodny spośród umarłych chce nas wprowadzić w rzeczywistość transcendentną wobec zła i śmierci.

Będziemy upodobnieni do zmartwychwstałego Chrystusa

Postawmy sobie jeszcze ostatnie pytanie: Czy wiemy coś o tym, na czym będzie polegało nasze istnienie w ciałach zmartwychwstałych? Odpowiedź na to pytanie znajduje

się w Liście do Filipian: „Nasza ojczyzna jest w niebie. Stamtąd jako Zbawcy wyczekujemy Pana naszego Jezusa Chrystusa, który przekształci nasze ciało poniżone, na podobne do swego chwalebnego ciała, tą potęgą, jaką może On także wszystko, co jest, sobie podporządkować” (Flp 3,20–21).

Zatem jeżeli chcemy coś wiedzieć na temat sytuacji ciał naszych po zmartwychwstaniu, wpatrujemy się w zmartwychwstałego Chrystusa. Otóż w chwalebnym ciele Chrystusa Pana wiara Kościoła rozpoznaje cztery następujące cechy: Jego ciało było bez reszty wypełnione Bożą obecnością (*claritas*) i przeduchowione (*subtilitas*) – dzięki tej drugiej cesze mógł On w swoim realnym ciele przyjść do uczniów mimo drzwi zamkniętych. Jego ciało cechowała transcendencja wobec przestrzeni (*agilitas*) – i to dlatego nie musiał Zmartwychwstały odbywać podróży, ażeby objawić się w Jerozolimie, a potem nad Jeziorem Tyberiadzkim. Wreszcie, Jego zmartwychwstałe ciało było wolne od cierpień i niedostępne jakimkolwiek wrogim Mu osobom czy siłom (*impatibilitas*).

Wszystkie te cztery cechy – rzecz jasna, na razie tylko zaczątkowo i jeszcze niewidzialnie – możemy osiągać już teraz. Natomiast w Dniu Ostatecznym nasza cielesność uzyska swoją ostateczną celowość, swój ostateczny sens i piękno – i będziemy już widzialnie podobni do naszego zmartwychwstałego Pana.

Toteż naprawdę warto tęsknić za tym, żeby w niebie znaleźć się również w naszych ciałach. Warto ciągle na nowo zachwycać się tym, że wówczas również naszymi

ciałami będziemy niepojęcie blisko Boga, niewyobrażalnie rozkochani w Bogu. Stawiamy sobie czasem pytanie: Na czym będzie polegać nasza szczęśliwość w niebie? Wszystko, co Pismo Święte mówi na ten temat, przekracza naszą wyobraźnię. Z własnego doświadczenia wiemy, jak to wspaniale – choć siedem razy dziennie upadamy – żyć w stanie łaski uświęcającej. Nie możemy jednak mieć pojęcia o tym, o ileż wspanialej być dosłownie bezgrzesznym, kiedy będziemy „święci i nieskalani przed Jego obliczem” (Ef 1,4).

Już na tej ziemi człowiekowi „dobrze jest być blisko Boga, w Panu znaleźć schronienie” (Ps 73,28) i wiemy coś niecoś o tym, co to znaczy być rozkochanym w Bogu. Jednak przekracza naszą wyobraźnię ta bliskość z Bogiem, kiedy będziemy z Nim przebywali „twarzą w twarz” (1 Kor 13,12). Na tej ziemi doświadczamy w różnorodny sposób przedsmaku tego, że „Bóg jest Światłością” (1 J 1,5), bo wiara rozświeśla wszystko, co dla nas ważne. W niebie Bóg będzie naszą Światłością w sensie niepojęcie namacalnym. Teraz po prostu rozkwitamy, kiedy możemy naśladować Boga i różne Jego przymioty, kiedy możemy Go naśladować nawet w miłosierdziu. Tam „będziemy do Niego podobni, bo ujrzymy Go takim, jakim jest” (1 J 3,2). Krótko mówiąc, nawet nie wysilajmy się, żeby zrozumieć wspaniałość nieba, bo „ani oko nie widziało, ani ucho nie słyszało, ani serce człowieka nie zdoła pojąć, jak wielkie rzeczy przygotował Bóg tym, którzy Go miłują” (1 Kor 2,9).

Dlatego trudno nawet sobie wyobrazić, żeby możliwe było realne traktowanie przez nas obietnicy życia wiecz-

WIERZĘ W CIAŁA ZMARTWYCHWSTANIE!

nego inaczej, niż poprzez wzrastanie w życiu modlitwy i coraz większą tęsknotę za tym, żeby modlić się jak najprawdziej. I trudno sobie wyobrazić, żeby możliwa była wiara w przyszłe zmartwychwstanie inaczej, niż poprzez oddawanie ciał naszych na służbę dobru, niż poprzez otwieranie ciał naszych na posłuszeństwo Bożym przykazaniom, niż poprzez pochylanie się nad chorymi i udręczonymi ciałami naszych bliźnich w posłudze miłosierdzia.

Ostateczny horyzont naszej wspólnoty wierzących

Nie porzucajmy prawdy niepopularnej

Czy na przykład sprzeciwiając się rozwodom i odmawiając sakramentów ludziom, którzy za życia współmałżonka związali się z kimś innym, Kościół nie postępuje przeciwko własnemu interesowi? Przecież w ten sposób zraża do siebie wielu ludzi!

Któż z nas nie słyszał takich argumentów? Szczególnie przekonująco brzmią one w społeczeństwach nawykłych do tego, że różne partie zabiegają o społeczne poparcie i popularność poprzez wychodzenie naprzeciw różnym zbiorowym oczekiwaniom. Czyżby Kościół został dotknięty osłabieniem instynktu samozachowawczego? Dlaczego nie chce odstąpić od tych elementów swojej nauki, które stają w poprzek oczekiwaniom bardzo wielu ludzi?

Zdarza się oczywiście, że jakiś kapłan czy biskup znacznie stawiać społeczne oczekiwania wobec Kościoła po-

nad naukę i ducha Ewangelii. W przeświadczeniu, że w ten sposób chroni Kościół i zatrzymuje w nim wielu ludzi, taki poprawiacz Pana Jezusa degraduje Kościół do poziomu jednego z tych ugrupowań, których trwanie i znaczenie zależy od zdobycia i zatrzymania w swoich szeregach odpowiedniej liczby zwolenników.

Tymczasem jeśli to Chrystus założył Kościół i jeśli Kościół jest królestwem nie z tego świata (por. J 18,36), to coś chyba z tego wynika. Nie naszą sprawą jest niepokoić się, czy Kościół zdoła przetrwać burzę dziejową albo kolejną rewolucję świadomości. Te zmartwienia zostawmy Panu Jezusowi. My starajmy się pilnować tego, co do nas należy. Wystarczy, że w Ewangelii będziemy szukać światła na każdy dzień naszego życia, że będziemy się starali czerpać z dóbr wiekuistych, jakie Bóg złożył w swoim Kościele, i że będziemy próbowali tym światłem i tymi dobrami dzielić się jak najwięcej z innymi.

Jeśli ludzie od Kościoła odchodzą, z pewnością jest to często również nasza wina: może za mało jest wśród nas miłości braterskiej, może zbyt bezdusznie prowadzona jest nauka wiary, może nie umiemy dostatecznie wsłuchać się w te oczekiwania pod adresem Kościoła, które zgodne są z duchem Ewangelii. To wszystko warto czynić przedmiotem naszych rachunków sumienia i postanowień poprawy.

Ale biada nam, gdybyśmy próbowali odchodzących zatrzymywać w Kościele za pomocą pochlebstwa i poprawiania nauki Bożej stosownie do gustów współczesnych. Warto sobie przypomnieć, jak sam Pan Jezus zachował się w sytuacji, kiedy Jego nauka nie zgadzała się z gustami

i oczekiwaniami słuchaczy, tak że „wielu uczniów od Niego odeszło i już z Nim nie chodziło” (J 6,66). On nie próbował ich zatrzymywać ani się im przypochlebiać przez wprowadzenie retuszy do swojej nauki. Zwrócił się tylko do Dwunastu: „Czyż i wy chcecie odejść? Na to odpowiedział Mu Szymon Piotr: Panie, do kogóż pójdziemy? Ty masz słowa życia wiecznego!”.

Nie ma chrześcijaństwa bez wiary w życie wieczne

To są słowa absolutnie kluczowe dla zrozumienia posługi Chrystusa Pana i Jego Kościoła: „Ty masz słowa życia wiecznego!”. Wyobrażać sobie Kościół i życie chrześcijańskie bez wiary w życie wieczne, to tak jakby wyobrażać sobie małżeństwo bez poczucia wzajemnej bliskości obojga partnerów. Jeśli zdarza się czasem, że nawet dzieci nie przybliżą małżonków wzajemnie do siebie, tak że czują się oni ludźmi obcymi, odbieramy to jako coś wynaturzonego, nienormalnego, jako coś, co się zdarzać nie powinno. Czymś podobnie wynaturzonym i nienormalnym jest należeć do Kościoła bez głębokiej wiary w życie wieczne.

Spróbuję to wyjaśnić przez odwołanie się do najmniej chyba znanej przypowieści Pana Jezusa. Przypomnijmy ją sobie w całości: „Któż z was, chcąc zbudować wieżę, nie usiadzie wpierw i nie oblicza wydatków, czy ma na wykończenie? Inaczej, gdyby założył fundament, a nie zdołałby wykończyć, wszyscy, patrząc na to, zaczęliby drwić z nie-

go: Ten, człowiek zaczął budować, a nie zdołał wykończyć” (Łk 14,28–30).

Otóż jeśli bez wiary w życie wieczne próbuję być chrześcijaninem, zachowuję się jak człowiek, który mając fundusze na zbudowanie jakiej takiej chałupy, przystępuje do budowy pałacu: włoży wszystkie swoje pieniądze oraz mnóstwo czasu i energii w coś, co nie ma żadnego sensu. Przecież przy swoich możliwościach człowiek ten być może nawet zakładania fundamentów nie zdoła doprowadzić do końca!

Absolutną rację miał apostoł Paweł, kiedy pisał: „Jeśli umarli nie zmartwychwstaną, to jedźmy i pijmy, bo jutro pomrzemy” (1 Kor 15,32). Jeśli nie ma życia wiecznego, to po co mąż i żona, którym jest ze sobą trudno, mają przezwycięzać trudności i przejmować tym, że złączył ich sam Bóg? Przecież będzie znacznie prościej, jeśli się rozejdą i każde z nich spróbuje od nowa budować swoje szczęście rodzinne. Jeśli wszystko kończy się na tej ziemi, to naprawdę niewiele mają sensu nasze wysiłki, ażeby ciało podporządkować duchowi: czyż nie wystarczy, że staramy się żyć uczciwie i nikogo nie krzywdzić? Warto zdać sobie sprawę z tego, jak wiele jest logiki we współczesnych odejściach od etyki ewangelicznej. Odejścia te wydają się konsekwencją zwątpienia w życie wieczne.

To dopiero w horyzoncie życia wiecznego etyka ewangeliczna nabiera potężnej prawdziwości. Oto kilka najczęściej powtarzanych nakazów tej etyki: „Jeżeli będziecie żyli według ciała, czeka was śmierć; jeżeli zaś przy pomocy Ducha uśmierzać będziecie popędy ciała – będzie-

cie żyli” (Rz 8,13); „Nie gromadźcie sobie skarbów na ziemi, gdzie mól i rdza niszczą i gdzie złodzieje włamują się i kradną. Gromadźcie sobie skarby w niebie, gdzie ani mól ani rdza nie niszczą, i gdzie złodzieje nie włamują się i nie kradną” (Mt 6,19 i nast.); „Nie bójcie się tych, którzy zabijają ciało, lecz duszy zabić nie mogą. Bójcie się raczej Tego, który duszę i ciało może zatracić w piekle” (Mt 10,28).

Otóż jeśli nasza nadzieja na życie wieczne jest próżna, nauki te są bezdennie głupie, a co gorsza – nadzwyczaj szkodliwe. Bo jeśli ktoś walczy z wiatrakami bawi, można się do tego nie wtrącać, można nawet jego dziwactwu przyglądać się życzliwie. Ale jeśli ten człowiek zaczyna głosić innym, że walka z wiatrakami jest najwłaściwszym sposobem na życie; co więcej – jeśli znajduje posłuch – maniak ten staje się niebezpieczny. Przecież skrzydeł wiatracznych nie sporządza się z gumy i one mogą niejednego głupca, który przejął się wezwaniem do walki z wiatrakami, porządnie pogruchotać. Jasno mówił o tym apostoł Paweł: „Jeśli tylko w tym życiu w Chrystusie nadzieję pokładamy, jesteśmy bardziej od wszystkich ludzi godni politowania” (1 Kor 15,19).

Nie bójmy się zauważyć tej słabości chrześcijaństwa w porównaniu do wszystkich innych religii: Jeśli Chrystus nie jest Synem Bożym, jeśli nie zmartwychwstał i jeśli nie potrafi nas obdarzyć życiem wiecznym, to wszystkie dobra, jakie wniósł i wnosi Kościół w ludzkie dzieje, nie zrównoważą szkód, jakie wyrządza on ludzkości przez głoszenie zwodniczych ideałów Ewangelii. W takim przypadku ra-

cję mieli starożytni poganie, którzy uważali chrześcijan za „wrogów rodu ludzkiego”. W takim przypadku nasze potrzeby religijne winniśmy zaspokajać w jakiejś innej religii (najlepiej chyba w buddyzmie, bo wydaje się on najbardziej sympatyczny wśród religii niechrześcijańskich). Bo „jeśli Chrystus nie zmartwychwstał, daremne jest nasze nauczanie, próżna jest także nasza wiara” (1 Kor 15,14).

Chrystus jednak zmartwychwstał! Naprawdę zmartwychwstał! Jego zaś owce „idą za Nim i On im daje życie wieczne. Nie zginą one na wieki i nikt nie wyrwie ich z Jego ręki” (J 10,28). Jeśli zaś Chrystus zmartwychwstał, to Jego Kościół stanowi wspólnotę tych, „którzy dostępują zbawienia” (Dz 2,47). Jeśli Chrystus zmartwychwstał, to etyka ewangeliczna jest możliwa do zachowania i każde wprowadzenie jej w czyn realnie przemienia oblicze naszej ziemi. Jeśli Chrystus zmartwychwstał, to nie ma chyba większego rozminięcia się z zasadami zdrowego rozumu, niż należeć do Kościoła bez wiary w życie wieczne.

Co jednak ma robić chrześcijanin, którego wiara w życie wieczne znalazła się w kryzysie? Sądzę, że zawsze źródłem najgłębszym tego kryzysu jest postępowanie według jakiejś innej etyki niż ewangeliczna. Choćby to była etyka w dziewięćdziesięciu pięciu procentach zbieżna z etyką chrześcijańską, jest to etyka dzieci tego świata (nawet jeśli bardzo szlachetnych i skądinąd godnych podziwu). Chrześcijanin, który chce odnowić w sobie wiarę w życie wieczne, musi stać się „szaleńcem”, który Ewangelię, całą Ewangelię, traktuje dosłownie. Moc Boża, jakiej będzie wówczas zaznawał, oraz praktyczna skuteczność

etyki ewangelicznej napełnią go radosną pewnością życia wiecznego.

Pięknie mówił o tym Orygenes w napisanym ok. roku 233 dziele *O modlitwie*: Jeśli będziemy się starali o to, żeby grzech nie królował w naszym śmiertelnym ciele i jeśli będziemy zadawali śmierć temu, co w naszych członkach przyziemne, wówczas Pan przechadzać się będzie w nas niby w duchowym raju, królując nad nami wraz ze swym Synem Chrystusem.

Jesteśmy następną częstką Kościoła wiekuistego

W horyzoncie życia wiecznego rozumie się samo przez się, że Kościół to wspólnota znacznie większa niż my wszyscy, którzy wierzymy w Chrystusa. Najwyraźniej mówi o tym List do Hebrajczyków:

Wy przystąpiliście do góry Syjon, do miasta Boga żyjącego, Jeruzalem niebieskiego, do niezliczonej liczby aniołów, na uroczyste zebranie, do Kościoła pierworodnych, którzy są zapisani w niebiosach, do Boga, który sędzi wszystkich, do duchów sprawiedliwych, które już doszły do celu, do Pośrednika Nowego Testamentu – Jezusa... (Hbr 12,22–24).

Zatem my, którzy stanowimy Kościół na ziemi, jesteśmy dopiero nowicjuszami w tym Kościele ostatecznym, jaki Bóg buduje na całą wieczność. Właśnie dlatego nasza częśćka Kościoła nazywa się Kościołem pielgrzymującym: jesteśmy bowiem dopiero w drodze, dopiero w trakcie dojrzewania do życia wiecznego. „Kiedy zaś przyjdzie to, co

jest doskonałe, zniknie to, co jest tylko częściowe... Teraz widzimy jakby w zwierciadle, niejasno, wtedy zaś zobaczymy twarzą w twarz” (1 Kor 13,10 i 12).

Nie jest jednak tak, że my na ziemi stanowimy jeden Kościół, a w niebie jest Kościół drugi, ten ostateczny. My, pielgrzymi do życia wiecznego, tworzymy, rzecz jasna, jeden Kościół wraz z tymi wszystkimi, którzy już oglądają Boga twarzą w twarz. I jest czymś nie do pomyślenia, żeby nasza pielgrzymka mogła nie obchodzić naszych starszych braci i siostr, którzy są już bez reszty złączeni z Chrystusem. To wstawianie się świętych za nami jest tym dla nas cenniejsze, że przecież ich zjednoczenie z Chrystusem dokonało się już całkowicie.

Bo kiedy ja modłę się za ciebie, moja modlitwa jest tylko w takim stopniu skuteczna, w jakim stopniu ja jestem złączony z Chrystusem. To prawda, że już na tej ziemi stopień zjednoczenia człowieka z Chrystusem może być wysoki. Apostoł Paweł mógł bez obłudy wołać: „Teraz już nie ja żyję, ale żyje we mnie Chrystus” (Ga 2,20). O to, żebyśmy już na tej ziemi coraz więcej łączyli się z Nim i z sobą wzajemnie, modlił się Chrystus Pan w Ogrodzie Oliwnym: „Chwałę, którą Mi dałeś, przekazałem im, aby stanowili jedno, tak jak My jedno stanowimy: Ja w nich, a Ty we Mnie!” (J 17,22 i nast.). Jednak całkowite, naprawdę bez reszty zjednoczenie z Chrystusem, jest dopiero darem przyszłego wieku.

Zatem jakżeż potężna musi być modlitwa, którą zanoszą za nas wszyscy zbawieni, skoro Chrystus ogarnia ich już bez reszty! W jakimś sensie za mało byłoby nawet po-

wiedzieć, że modli się za nas Chrystus i wszyscy święci. Znacznie więcej: modli się za nas tylko Chrystus! W świętych bowiem modlą się za nas jakby już nie oni sami, ale modli się w nich Chrystus! Kościół niebieski jest bowiem już całkowicie i bez reszty Ciałem Chrystusa. Nie w tym sensie, żeby święci utracili w Chrystusie swoją osobową tożsamość, bo jest wręcz przeciwnie. W tym sensie w nich modli się za nas sam Chrystus, że są oni w sposób dla nas niewyobrażalny jedno z Chrystusem, i że modli się w nich ten sam Duch Święty, który modli się w Chrystusie Synu Bożym.

Żeby powyższe stwierdzenia nie stały się dla nas pustym pięknościowym, musimy sobie jeszcze postawić następujące pytanie: Jeżeli sam Chrystus wstawia się za nami, jeżeli w Chrystusie modli się za nas cały Kościół zbawionych, to dlaczego my wciąż jesteśmy tacy grzeszni? Otóż na tym właśnie polega pokora wszechmocnego Boga, że stworzył On nas bez nas, ale ma dla nas zbyt wiele szacunku, żeby zbawiać nas bez nas. To ja muszę Go do siebie zaprosić. W tym jednym żaden święty ani sam nawet Chrystus mnie nie zastąpi. „Oto stoję u drzwi i kołaczę – mówi Chrystus Pan w Apokalipsie. – Jeśli kto posłyszysz mój głos i drzwi otworzy, wejść do niego i będę z nim wieczną, a on ze Mną” (3,20).

Spis treści

I. „Stworzyłeś nas dla siebie, Boże...”

Cel życia.	7
Medytacja o przemijaniu	19
Czy ja naprawdę wierzę w życie wieczne?	29
Dotknięcie przez kochającego Boga	39

II. „Gdzież jest, o śmierci, twoje zwycięstwo?”

Przekleństwo śmierci i śmierć w Chrystusie	51
Człowiek umierający jest naszym bliźnim	67
Pokarm na życie wieczne	79
Czy zmarli bez sakramentów będą zbawieni?	89
Zbawienie dzieci zmarłych bez chrztu	95
Czy dusza umiera?	99
Kremacja i „ogrody pamięci”	109

III. „Aby każdy otrzymał zapłatę za czyny dokonane w ciele” (2 Kor 5,10)

Wspaniałość sądu Bożego	119
„Świętej pamięci”	137
Czy w życiu wiecznym odnajdziemy naszych bliskich? ..	143
Dar czyścica	153
Ogień czyścowy	161
O czyścicu i teloniach	171
Jak mówić o potępieniu wiecznym?	179

IV. „Gdy Syn Człowieczy przyjdzie w swej chwale” (Mt 25,31)

Żyjemy w czasach ostatecznych!	199
Pytanie o antychrysta	211
Ostatnia próba Kościoła	221
Trąba Sądu Ostatecznego	229
„Będziemy porwani w powietrze, na obłoki, naprzeciw Pana” (1 Tes 4,17)	235

V. „Nasza Ojczyzna jest w niebie” (Flp 3,20)

„Siedzi po prawicy Boga, Ojca wszechmogącego”	245
Tajemnica przebóstwienia człowieka	253
Wierzę w ciała zmartwychwstanie!	261
Ostateczny horyzont naszej wspólnoty wierzących	277